

Dick K. Philip

Marsjański poślizg w czasie

(Martian Time-Slip)

Przełożyła Małgorzata Fiałkowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z głębin barbituranowej drzemki Sylwia Bohlen usłyszała wołanie. Ostry głos przebił warstwę snu i wyrwał ją ze stanu całkowitej nieświadomości.

– Mamo! – wołał z podwórka jej syn.

Usiadła i pociągnęła łyk wody ze stojącej przy łóżku szklanki. Zsunęła bose stopy na podłogę i z trudem podniosła się z łóżka. Zegarek wskazywał dziewiątą trzydzieści. Sięgnęła po szlafrok i podeszła do okna.

„Nie mogę tego więcej brać – pomyślała. – Już lepiej wpaść w schizofrenię, jak reszta świata.”

Podniosła story. Oślepiło ją słońce o znajomym, mglistym, rudawym odcieniu. Przysłoniła oczy dłonią.

– Co się stało, Dawidzie? – zawołała.

– Kanałowy przyjechał!

W takim razie musi być środa. Skinęła głową i chwiejnym krokiem przeszła z sypialni do kuchni, gdzie nastawiła ekspres do kawy, rzetelnie wykonany jeszcze na Ziemi.

„Co powinnam zrobić? – zastanawiała się. – Wszystko jest przygotowane. Zresztą mogę liczyć na Dawida.”

Odkręciła kran nad zlewem i ochlapała twarz zanieczyszczoną, wstrętną wodą. Zaczęła kasać.

„Musimy spuścić wodę ze zbiornika – pomyślała. – Oczyszczyć go, wyregulować dopływ chloru i sprawdzić, ile filtrów się zatkało; może wszystkie. Czy nie mógłby tego zrobić kanałowy? Nie, ONZ się tym nie zajmuje.”

– Jestem ci potrzebna? – zapytała otwierając tylne drzwi.

Powiało chłodnym powietrzem, duszącym od drobnego piasku. Odwróciła głowę i czekała na odpowiedź Dawida. Miał wprawę w odmawianiu.

– Chyba nie – mruknął chłopiec.

Później siedziała w szlafroku przy stole kuchennym nad talerzem tostów z dżemem jabłkowym i piła kawę. Patrzyła na kanałowego, który z urzędową miną nadpływał w stronę domu Bohlenów. Silnik jego płytkiej łódeczki głośno terkotał. Nigdy się nie spieszył, a jednak zawsze zjawiał się na czas. Był rok 1994, drugi tydzień sierpnia. Bohlenowie czekali jedenaście dni, by dostać swój przydział wody z wielkiego kanału, który znajdował się dwa kilometry na północ.

Kanałowy zacumował łódkę przy wrotach śluzy i wyskoczył na ląd, taszcząc wypchaną teczkę, w której trzymał karty rejestracyjne i narzędzia do otwierania śluzy. Miał na sobie

obryzganym błotem szary mundur i wysokie buty, brunatne od zeschniętego mułu. Niemiec? Nie był Niemcem: gdy odwrócił głowę, Sylwia zobaczyła, że jego twarz ma słowiańskie rozlane rysy, a na środku daszka czapki widnieje czerwona gwiazda. Tym razem wypadła kolej na Rosjan. Sylwia straciła już rachubę.

Widocznie nie ona jedna zapomniała, jaka jest kolejność dostaw wody ustalona przez zarząd ONZ. Rodzina mieszkająca w sąsiednim domu, Steinerowie, wyległa na ganek w komplecie, oczekując kanałowego: ojciec, przysadzista matka i cztery jasnowłose, pulchne, hałaśliwe dziewczynki. Kanałowy spuszczał właśnie wodę Steinerów.

– *Bitte, mein Hen* – zaczął Norbert Steiner, dostrzegł jednak czerwoną gwiazdę i umilkł.

Sylwia uśmiechnęła się w duchu. „Jaka szkoda!” – pomyślała.

Przez tylne drzwi wpadł do domu Dawid.

– Wiesz co, mamó? Zbiornik Steinerów zaczął w nocy przeciekać i stracili prawie połowę wody. Pan Steiner mówi, że nie starczy im wody do podlewania ogrodu i ogród uschnie.

Skinęła głową, połykając ostatni kęs tosta. Zapaliła papierosa.

– Mamó, czy to nie straszne? – zapytał Dawid.

– I Steinerowie chcą, oczywiście, żeby pozwolić im korzystać z wody trochę dłużej – domyśliła się Sylwia.

– Nie możemy dopuścić, żeby ich ogród usechł. Pamiętasz, jak mieliśmy kłopoty z burakami? I pani Steiner dała nam ten środek do tępienia chrabąszczy przywieziony z Domu? Mieliśmy dać im trochę buraków, ale nie daliśmy; wyleciało nam to z głowy.

To była prawda.

„Obiecaliśmy im... – przypomniała sobie Sylwia z nagłym poczuciem winy – ...a oni nigdy nawet o tym nie wspomnieli, chociaż na pewno pamiętali. Tymczasem Dawid ciągle chodzi się do nich bawić.”

– Proszę cię, porozmawiaj z kanałowym – błagał Dawid.

– Pod koniec miesiąca będziemy mogli dać im trochę naszej wody. Możemy przeciągnąć wąż do ich ogrodu. Nie wierzę w żaden przeciek, zawsze chcą więcej, niż im się należy.

– Wiem – powiedział Dawid spuszcżając głowę.

– Nie zasługują na więcej. Nikt nie zasługuje.

– Oni po prostu nie umieją prowadzić gospodarstwa – odparł Dawid. – Pan Steiner ani trochę nie zna się na maszynach.

– W takim razie sami są sobie winni.

Zaczynała ją ogarniać złość. Uświadomiła sobie, że nie otrząsnęła się jeszcze zupełnie ze snu. Musi wziąć dexamyę, bo inaczej nie oprzytomnieje aż do wieczora, gdy trzeba będzie zażyć następną dawkę luminalu. Poszła do apteczki w łazience, wyjęła butelkę i przeliczyła małe zielone tabletki w kształcie serduszek. Zostały jeszcze tylko dwadzieścia trzy. Wkrótce będzie

musiała wsiąść do piaskobusu i pojechać przez pustynię do miasta, by w aptece powtórzyć receptę.

Z góry dobiegło głośnie bulgotanie. Ogromna cynowa cysterna na dachu zaczęła się napełniać wodą. Kanałowy zamknął śluzę. Prośby Steinerów okazały się daremne.

Z rosnącym poczuciem winy Sylwia nalala wody do szklanki, żeby połknąć poranną pigułkę.

„Gdyby tylko Jack bywał częściej w domu – myślała. – Taka wszędzie pustka. Życie, jakie tu prowadzimy, to żalosna wegetacja. Zupełny prymityw. Nerwy, kłótnie, zamartwianie się o każdą kroplę wody: do tego się ono sprowadza. Czy to ma sens? Miało być zupełnie inaczej... Tak wiele obiecywano nam na początku.”

W sąsiednim domu zaryczało radio. Rozległa się taneczna muzyka, a potem głos spikera reklamującego jakieś maszyny rolnicze.

– ...Głębokość i nachylenie skiby – twierdził głos rozlegający się w zimnym, rześkim, porannym powietrzu – można nastawić na wybrane parametry i będą się automatycznie regulować, więc nawet najmniej doświadczony użytkownik może za pierwszym razem...

Powróciła taneczna muzyka. Widocznie sąsiedzi złapali inną stację.

Wybuchła głośna sprzeczka, to zaczęły kłócić się dzieci.

„Czy tak ma być przez cały dzień? – pomyślała Sylwia. Zastanawiała się, czy będzie w stanie to znieść. – Jack wróci z pracy dopiero pod koniec tygodnia. To tak, jakbyśmy nie byli małżeństwem, jakbym była panną z dzieckiem. Czy po to wyemigrowałam z Ziemi?” Przycisnęła rękę do uszu, żeby odgrodzić się od ryczącego radia i wrzeszczących dzieci.

Powinnam wrócić do łóżka; tam jest moje miejsce” – pomyślała, kiedy w końcu podniosła leżące przed nią ubranie.

W śródmieściu Bunchewood Park, w biurze swojego pracodawcy, Jack Bohlen rozmawiał przez radiotelefon z Nowym Jorkiem. Połączenie, uzyskane dzięki systemowi satelitarnemu przez miliony kilometrów przestrzeni, było jak zwykle nienajlepsze. Jednak za rozmowę płacił ojciec Jacka – Leo Bohlen.

– Co? Góry Franklina D. Roosevelta? – zapytał głośno Jack. – Tato, musiałeś się pomylić, tam nic nie ma, to jałowa okolica. W każdym biurze handlu nieruchomościami powiedzą ci to samo.

– Nie, Jack – dobiegł słabo słyszalny głos ojca. – Wiem, że to pewne. Chcę przyjechać, rozejrzeć się i omówić to z tobą. Jak Sylwia i dzieciak?

– Dobrze – odparł Jack. – Słuchaj, do niczego się nie zobowiązuje. Wszyscy doskonale wiedzą, że każdy, kto kupi na Marsie ziemię leżącą z dala od sieci czynnych kanałów – a pamiętaj, że działa tylko jedna dziesiąta kanałów – będzie zrobiony na szaro.

Nie mieściło mu się w głowie, jak jego ojciec, który miał za sobą lata doświadczeń

w prowadzeniu interesów, zwłaszcza dotyczących inwestowania w nie zagospodarowane ziemie, mógł do tego stopnia dać się wpuścić w maliny. Jack się przeraził. Może ojciec postarzał się od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni? Na podstawie listów trudno było coś powiedzieć; ojciec dyktował je stenografistce w swoim przedsiębiorstwie.

A może czas na Ziemi płynął inaczej niż na Marsie? Jack czytał artykuł w czasopiśmie psychologicznym, który właśnie coś takiego sugerował. Jego ojciec przyleci jako drzący, białowłosy, zgrzybiały staruszek. Czy można się jakoś wykręcić od tej wizyty? Dawid chętnie zobaczyłby dziadka, Sylwia też go lubi. Przytłumiony, daleki głos przekazywał wiadomości z Nowego Jorku, które dla Jacka nie miały najmniejszego znaczenia. Ziemia przestała być dla niego czymś realnym. Dziesięć lat temu zadał sobie ogromny trud, by wyrwać się ze swojej wspólnoty w Domu, i to mu się udało. Nie chciał więcej słuchać o Ziemi.

Mimo to więc z ojcem przetrwała i wzmocniłaby się nieco dzięki pierwszej wyprawie ojca poza Ziemię. Leo Bohlen zawsze chciał odwiedzić inną planetę, zanim będzie za późno, to znaczy przed śmiercią. Już się zdecydował. Pomimo udogodnień wprowadzonych na dużych statkach międzyplanetarnych podróży wiązała się z ryzykiem. Leo się tym nie przejmował. Nic go nie mogło odstraszyć; poza tym zarezerwował już miejsce na statku.

– Do licha, tato – powiedział Jack – to wprost cudownie, że czujesz się na tyle dobrze, żeby odbyć tak męczącą podróż. Mam nadzieję, że dasz sobie radę. – Był zrezygnowany.

Siedzący naprzeciwko pracodawca Jacka, pan Yee, rzucił mu znaczące spojrzenie i podał żółtą karteczkę, na której widniało wezwanie. Chudy, wysoki pan Yee w muszce i jednorzędowej marynarce... chiński styl ubierania pedantycznie zaszczerpiony tutaj, na obcej ziemi. Pan Yee wyglądał tak, jakby prowadził firmę w centrum Kantonu.

Chińczyk wskazał palcem kartkę, po czym wyraźnie dawał do zrozumienia, że sprawa nie cierpi zwłoki: podrygiwał, podpierał się raz lewą ręką, raz prawą, potem otarł czoło i rozluźnił kołnierz. Spojrzał na zegarek opasujący jego kościsty nadgarstek. Jack zrozumiał, że na pewnej farmie mlecznej wysiadła chłodnia. Wezwanie było pilne: mleko się zwarzy, kiedy na dworze się ociepli.

– W porządku, tato – powiedział – będziemy czekać na depezę od ciebie. – Pożegnał się i odwiesił słuchawkę. – Przepraszam, że rozmawiałem tak długo – zwrócił się do pana Yee. Sięgnął po karteczkę.

– Starsza osoba nie powinna wyruszać w taką drogę – powiedział pan Yee spokojnym, stanowczym tonem.

– Postanowił zobaczyć, jak nam się wiedzie – odparł Jack.

– A jeśli nie wiedzie się wam tak, jakby sobie tego życzył, czy będzie mógł wam pomóc? – Pan Yee uśmiechnął się pogardliwie. – Może nagle staniecie się bogaci? Powiedz mu, że tu nie ma diamentów. Zabrała je ONZ. Co do wezwania, które ci dałem: według akt ta chłodnia była

już przez nas naprawiana dwa miesiące temu z tego samego powodu. To coś w źródle zasilania albo w instalacji elektrycznej. Silnik ni stąd, ni zowąd zwalnia i bezpiecznik odcina dopływ prądu, by zapobiec przepaleniu.

– Sprawdzę, co jeszcze ciągnie prąd z ich generatora – powiedział Jack.

„Ciężko jest pracować dla pana Yee” – pomyślał, gdy szedł na dach, gdzie stały koperty firmy.

Wszystko miało racjonalną podstawę. Pan Yee wyglądał i funkcjonował jak maszyna do liczenia. Sześć lat temu, w wieku dwudziestu dwóch lat, obliczył, że na Marsie może prowadzić bardziej dochodowy biznes niż na Ziemi. Okazało się, że na Marsie trzeba koniecznie zapewnić serwis naprawczy wszystkim rodzajom urządzeń, wszystkiemu, co zawiera ruchome części, ponieważ koszty dostawy nowych urządzeń z Ziemi są zbyt duże. Stary toster, na Ziemi lekkomyślnie wyrzucany do śmietnika, na Marsie nadal był używany. Pan Yee opowiadał się za wykorzystywaniem odpadków. Wychowany w oszczędnej, purytańskiej atmosferze Chin Ludowych, nie popierał marnotrawstwa. Zdobył doświadczenie jako inżynier elektryk w prowincji Honan. Tak więc spokojnie, dobrze to sobie przemyślawszy, podjął decyzję, która dla większości ludzi wiązała się z ogromnym stresem; przygotowania do emigracji z Ziemi rozpoczął tak, jakby udawał się do dentysty po sztuczną szczękę. Wyliczył sobie co do jednego dolara, o ile może obniżyć koszty własne, kiedy już założy na Marsie zakład. Przedsięwzięcie nie było szeroko zakrojone, lecz miało wysoce profesjonalny charakter. W ciągu sześciu lat, od 1988 roku, interes rozwinął się do tego stopnia, że elektrycy pana Yee mieli pierwszeństwo w nagłych wypadkach. A cóż nie było nagłym wypadkiem w kolonii, gdzie uprawa rzodkiewek i chłodzenie niewielkich przeciwień ilości mleka wciąż stanowiły problem?

Zatrzasnąwszy drzwi koperty Jack Bohlen zapuścił silnik i wkrótce wzniósł się ponad budynki Bunchewood Park w mgliste, przyćmione niebo przedpołudnia. Stawiał się na swoje pierwsze w ciągu dzisiejszego dnia wezwanie.

W dali na prawo lądował ogromny statek z Ziemi. Osiadał na bazaltowym kole, miejscu odbioru „żywych ładunków”. Inne ładunki trzeba było odstawiać tysiące kilometrów na wschód. To był transportowiec pierwszej klasy. Wkrótce wejdą na jego pokład zdalnie sterowane urządzenia, które oczyszczą pasażerów z każdego wirusa i bakterii, każdego owada i nasiona. Pasażerowie wyłonią się nadzy, jak ich pan Bóg stworzył, przejdą przez łaźnie chemiczne, będą mamrotać rozdrażnieni w ciągu ośmiogodzinnego testu – i wreszcie zostawi się ich w spokoju, by sami troszczyli się o własne przetrwanie, bo przetrwanie kolonii zostało już zapewnione. Niektórych mogą nawet odesłać na Ziemię: stres wywołany podróżą mógł ujawnić u nich defekty genetyczne. Jack wyobraził sobie swojego ojca, jak cierpliwie znosi procedury imigracyjne. „To trzeba robić, mój chłopcze – powiedziałby ojciec. – To jest konieczne.” Starszy pan, co pali papierosa i rozmyśla... filozof, na którego formalne wykształcenie składa się siedem

klas nowojorskiej szkoły publicznej. „Dziwne – myślał Jack – jak ujawnia się prawdziwa natura człowieka.”

Starszy pan miał pewną wiedzę, która mówiła mu, jak się zachowywać, nie w sensie przestrzegania form towarzyskich, lecz kierowania własnym życiem. Jack doszedł do wniosku, że ojciec doskonale da sobie radę w tutejszym świecie. W trakcie swojej krótkiej wizyty przystosuje się lepiej niż on sam i Sylwia. Tak dobrze jak Dawid...

Ojciec i chłopak znajdą wspólny język. Obaj są sprytni i praktyczni. Jednak od czasu do czasu ulegają romantycznym zrywom, bo jak inaczej nazwać pomysł ojca, żeby kupić ziemię gdzieś w Górach F.D.R. To był ostatni zryw, nadzieja zawsze przecież żyła w duszy staruszka. Oto prawie za bezcen można było kupić ziemię, która nie znajdowała nabywców. Stanowiła prawdziwe pogranicze cywilizacji, jakim zamieszkane części Marsa zdecydowanie już być przestały. Jack ujrzał w dole Kanał im. Senatora Tafta i poleciał wzdłuż niego. Ta droga miała go zaprowadzić do farmy mlecznej McAuliffa pokrytej tysiącami akrów uschniętej trawy. Farma szczyciła się kiedyś nagrodzonym stadem jerseyśców, które zdegenerowało się: zwierzęta przypominały swoich przodków żyjących w niesprzyjających warunkach środowiskowych. To była zamieszkała część Marsa, raczej żyzny teren pokryty siecią rozgałęziających się i krzyżujących kanałów. Nadal jednak mieszkańcom marnie się tu wiodło. Leżący w dole Senator Taft sprawiał wrażenie leniwie toczącej się strugi o barwie zgniłej zieleni. Woda przeszła przez śluzę i była w końcowym stadium przefiltrowana, jednak zbierające się w niej z upływem czasu szlam, piasek i zanieczyszczenia sprawiały, że w zasadzie nie nadawała się już do picia. Bóg jeden wie, jakie związki alkaliczne wchłonęli ludzie, mimo to żyli tu nadal. Woda ich nie zabiła, chociaż była żółtobrazowa i pełna osadów. Tymczasem na zachodzie, między kanałami, rozciągały się ziemie, które czekały, by naukowcy zajęli się nimi i dokonali cudu.

Ekspedycje archeologiczne lądujące na Marsie we wczesnych latach siedemdziesiątych skwapliwie zaznaczały na mapach kolejne stadia wycofywania się starej cywilizacji, którą zaczynała teraz zastępować cywilizacja rasy ludzkiej. Dawni mieszkańcy nigdy nie osiedlili się na pustyni na dobre. Widocznie tak, jak w przypadku ludzi znad Tygrysu i Eufratu, opanowali tylko te tereny, które zdołali nawodnić. U szczytu swojego rozwoju dawna cywilizacja marsjańska zajęła jedną piątą powierzchni planety, pozostawiając całą resztę w takim stanie, w jakim ją zastała. Na przykład dom Jacka Bohlena stojący w pobliżu rozgałęzienia Kanału im. Williama Butlera Yeatsa i Kanału im. Herodota znajdował się prawie na skraju sieci kanałów, na terenie, który starano się użyźnić przez pięć tysięcy lat. Bohlenowie przybyli na Marsa stosunkowo późno, a jednak jeszcze jednaście lat temu nikt nie wiedział, że liczba emigrantów tak niepokojąco zacznie spadać.

Radio w kopterze zaszumiało od zakłóceń atmosferycznych. Potem odezwał się głos pana

Yee w metalicznym wydaniu:

– Jack, mam dla ciebie zadanie. Władze ONZ podały, że wystąpiły zakłócenia w pracy Szkoły Publicznej, a tamtejszy monter jest nieosiągalny.

Jack podniósł mikrofon i powiedział:

– Przykro mi, panie Yee, o ile sobie przypominam, mówiłem panu, że nie mam odpowiedniego przygotowania, by zbliżyć się do tych urządzeń. Lepiej, by zabrał się za to Bob albo Pete.

„Dobrze pamiętam, że panu o tym mówiłem” – dodał w duchu.

Odpowiedź pana Yee była jak zwykle nadzwyczaj logiczna:

– To bardzo ważne, nie możemy nie podjąć się tej naprawy. Jeszcze nigdy nie odmówiliśmy wykonania żadnego zlecenia. Twoje nastawienie nie jest pozytywne. Jestem zmuszony nalegać, byś się za to wziął. Gdy tylko to będzie możliwe, przyślę do szkoły drugiego montera, żeby ci pomógł. Dziękuję, Jack.

Pan Yee skończył rozmowę.

„Ja też dziękuję” – pomyślał Jack z przekąsem.

W dole ujrzał pierwsze zabudowania następnej osady. To było Lewistown – główna siedziba kolonii związku instalatorów, jednej z pierwszych, jakie zorganizowano na Marsie. Związek ten miał swoich własnych monterów. Nie należał do klienteli pana Yee. Gdyby praca stała się zbyt nieprzyjemna, Jack Bohlen mógł zawsze spakować manatki i przenieść się do Lewistown, gdzie wstąpiłby do związku i nawet dostawałby lepszą pensję. Jednak na najnowsze wydarzenia polityczne, jakie miały miejsce w kolonii związku instalatorów, Jack patrzył z dezaprobatą. Prezes Obwodu Pracowników Wodnych swój wybór zawdzięczał dość szczególnie przeprowadzonej kampanii wyborczej i dużo większym niż zazwyczaj nadużyciom podczas tajnego głosowania. Jack nie miał ochoty żyć we wprowadzonym przez niego porządku. Jak zdążył się zorientować, była to tyrania z elementami nepotyzmu. Mimo to kolonia zdawała się prosperować pod względem ekonomicznym. Miała zaawansowany program robót publicznych, a jej polityka fiskalna doprowadziła do powstania ogromnych rezerw pieniężnych. Kolonia była nie tylko prężna i kwitnąca, ale mogła zapewnić wszystkim swoim mieszkańcom przyzwoitą pracę. Poza leżącą na północy osadą Izraelitów kolonia związkowa była najbardziej żywotna na planecie. Izraelici przewagę swą zawdzięczali zaprawionym w ciężkiej pracy ochotniczym hufcom, które obozowały w sercu pustyni i były zatrudnione przy wszelkiego rodzaju pracach melioracyjnych – od hodowli drzewek pomarańczowych po rafinację nawozów chemicznych. Nowy Izrael sam zmeliorował jedną trzecią terenów pustynnych, które teraz objęto uprawą. W rzeczywistości był jedyną osadą na Marsie, która eksportowała swoje plony na Ziemię.

Kopter przeleciał nad stolicą związku instalatorów, Lewistown, a potem nad pomnikiem

Algera Hissa, pierwszego męczennika ONZ. Zaczęła się otwarta pustynia. Jack wyprostował się w siedzeniu i zapalił papierosa. Kiedy umykał spod naglącego, badawczego spojrzenia pana Yee, zapomniał zabrać termos z kawą i teraz mu jej brakowało. Odczuwał senność.

„Nie zmuszą mnie, bym coś naprawiał w Szkole Publicznej – powiedział do siebie bardziej ze złością niż z przekonaniem. – Odejdę z pracy.”

Wiedział jednak, że nie odejdzie. Polecą do szkoły, podłubie w maszynach z godzinę lub dwie i będzie udawał, że coś pilnie naprawia. Potem pojawi się Bob albo Pete i zrobi, co trzeba. Dobre imię firmy zostanie zachowane i wrócą do biura. Każdy będzie zadowolony, z panem Yee włącznie.

Jack kilkakrotnie odwiedził Szkołę Publiczną razem ze swoim synem. To jednak było co innego. Dawid znalazł się w czołówce klasowej. W trakcie realizowania programu należał do grupy prowadzonej przez najbardziej zaawansowane maszyny. Zostawał w szkole do późna. Maksymalnie wykorzystywał system indywidualnego nauczania, z którego ONZ była tak dumna. Jack spojrzął na zegarek. Była dziesiąta. O tej porze, jak pamiętał ze swoich wizyt i opowiadań syna, Dawid był u Arystotelesa i studiował podstawy nauk przyrodniczych, filozofii, logiki, gramatyki, poetyki i starożytnej fizyki. Spośród wszystkich maszyn uczących Dawidowi na szczęście najbardziej odpowiadał Arystoteles. Wiele dzieci wołało bardziej dziarskich nauczycieli: Sir Francisa Drake’a (historia Anglii, podstawy cywilizacji opartej na władzy mężczyzny), Abrahama Lincolna (historia Stanów Zjednoczonych, zasady prowadzenia nowoczesnej wojny i współczesnego państwa), lub też takie ponure osobistości jak Juliusz Cezar i Winston Churchill. Jack urodził się zbyt wcześnie, by wykorzystać szkolny system indywidualnego nauczania. Jako chłopiec chodził do sześćdziesięcioosobowej klasy, a później, w szkole średniej, razem z tysiącem innych uczniów słuchał i patrzył na lektora, który uczył za pośrednictwem zamkniętej sieci telewizyjnej. Gdyby jednak teraz mógł uczęszczać do nowego typu szkoły, z pewnością znalazłby swojego ulubionego nauczyciela. Gdy odwiedził kiedyś Dawida, a było to podczas pierwszego spotkania nauczycieli z rodzicami, zobaczył Tomasza Edisona, Maszynę Uczącą, i to mu w zupełności wystarczyło. Dawid prawie godzinę odciągał ojca od nauczyciela.

W dole pod kopterem pustynia przeszła w przypominający prerię teren pokryty z rzadka kępami trawy. Tu zaczynało się ogrodzone drutem kolczastym ranczo McAuliffa, obszar administracyjnie podlegający już stanowi Teksas. Ojciec McAuliffa był teksaskim magnatem naftowym. Aby wyemigrować na Marsa, kupił sobie statki. Był nawet lepszy od ludzi ze związku instalatorów. Jack zgasił papierosa i zaczął obniżać lot. W rażącym świetle słońca wypatrywał budynków rancza.

Warkot koptera spłoszył małe stadko krów, które puściło się galopem po pastwisku. Jack patrzył, jak się rozbiegają, i miał nadzieję, że nie zauważył tego McAuliff, niski Irlandczyk

o ponurym wyrazie twarzy, człowiek, który łatwo ulegał obsesjom. McAuliff był chorobliwie przewrażliwiony na punkcie swoich krów. Nabił sobie głowę, że czyhają na nie wszelkie rodzaje marsjańskich stworów; za ich sprawą krowy mogą stać się chude, chore i kapryśne przy udoju.

Jack włączył nadajnik radiowy.

– Tu pojazd naprawczy firmy Yee – powiedział do mikrofonu. – Jack Bohlen prosi o zezwolenie na lądowanie.

Po chwili nadeszła odpowiedź z ogromnego rancza:

– W porządku, Bohlen. Nie ma chyba sensu pytać, dlaczego zjawia się pan tak późno – powiedział McAuliff zniechęconym i jednocześnie opryskliwym głosem.

– Będę dosłownie za chwilę – odparł Jack i skrzywił się.

Dostrzegł przed sobą budynki. Były białe na tle piasku.

Z głośnika znowu dobiegł głos McAuliffa:

– Mamy tutaj ponad pięć milionów litrów mleka. I wszystko skwaśnieje, jeżeli pan szybko nie uruchomi tego przeklętego urządzenia chłodniczego.

– Już pędzę – powiedział Jack.

Zatkał uszy palcami i uśmiechnął się złośliwie pod adresem głośnika robiąc odrażającą, groteskową minę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Arnie Kott, były instalator, aktualnie Najwyższy Współobywatel w Obwodzie Pracowników Wodnych Czwartego Oddziału Planetarnego, wstał o dziesiątej rano i jak to było w jego zwyczaju, podążył prosto do łaźni parowej.

– Cześć, chłopcy.

– Hej, Arnie.

Wszyscy mówili do Arniego Kotta po imieniu i tak było dobrze. Arnie pozdrowił skinieniem Billa, Eddy'ego i Toma. Chłopcy zaś przywitali szefa. Przesycone parą powietrze skraplało się u jego stóp. Woda sączyła się po kafelkach i znikła, co sprawiało mu prawdziwą przyjemność. Wszystkie inne łaźnie skonstruowano tak, żeby nie traciły wody. Tutaj wsiąkała ona w gorący piasek i przepadała na zawsze. „Któż inny może sobie na to pozwolić? – myślał i Arnie. – Ciekawe, czy ci bogaci Żydzi w Nowym Izraelu mają łaźnię parową, która marnuje wodę?”

Stanąwszy pod prysznicem Arnie Kott powiedział do swoich towarzyszy:

– Doszła mnie pewna plotka, którą chciałbym jak i najszybciej sprawdzić. Pamiętacie ten kombinat z Kalifornii, i tych Portugalczyków, którzy początkowo mieli na własność łańcuch Gór F.D.R.? Próbowali tam wydobywać rudę żelaza, ale była niskoprocentowa i koszt wydobycia okazał się zbyt duży. Słyszałem, że sprzedali swoje posiadłości.

– Taak, my też o tym słyszeliśmy. – Chłopcy skinęli głowami. – Ciekawe, ile na tym stracili? Musieli dostać niezłe ciągi.

– Nie – odparł Arnie. – Słyszałem, że znaleźli nabywcę, który zaoferował im wyższą cenę od ceny kupna. Tak więc coś zarobili po tych wszystkich latach. Skusiły ich pieniądze. Ciekaw jestem, komu aż tak odbiło, że się połaszczył na tę ziemię. Mam tam, jak wiecie, prawa górnicze. Chciałbym, żebyście sprawdzili, kto kupił tę ziemię i kogo reprezentuje. Chcę wiedzieć, co oni tam kombinują.

– Słusznie – zgodzili się wszyscy.

Jeden z mężczyzn, chyba Fred, wyszedł spod prysznica i poszedł po ubranie.

– Sprawdzę to, Arnie – rzucił przez ramię. – Zaraz się za to zabiorę.

Arnie odwrócił się do pozostałych mężczyzn i namydlając ciało powiedział:

– Muszę przecież bronić swoich praw górniczych. Nie mogę pozwolić na to, by jakiś chłystek z Ziemi założył tu park narodowy dla niedzielnych turystów. Powiem wam, co wywęszyłem. Tydzień temu pętała się tutaj grupa urzędników komunistycznych z Rosji i Węgier. To były grube ryby. Bez wątpienia chcieli się nieco rozejrzeć. Myślicie, że dali za wygraną po tym, jak w zeszłym roku ta ich cała komuna upadła? Gdzie tam! Oni mają mózdzki jak stonka i zawsze wracają jak stonka. Ci czerwoni palą się do tego, żeby założyć na Marsie

udaną komunę. Ślina im cieknie na samą myśl o czymś takim. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że ci Portugalczycy z Kalifornii sprzedali ziemię komunistom i że już niedługo Góry F.D.R. zmienią nazwę na Góry Józefa Stalina. Przy takim obrocie sprawy byłoby to w pełni zrozumiałe.

Mężczyźni roześmieli się z uznaniem.

– Mam dzisiaj wiele do załatwienia – powiedział Arnie Kott, obfitymi strugami gorącej wody splukując z siebie mydliny. – Nie mogę więc dłużej zajmować się tą sprawą. Liczę na to, że wy wywieszycie resztę. Byłem na wschodzie, tam, gdzie trwa eksperyment z hodowlą melona sprowadzonego z Nowej Anglii, i wydaje mi się, że całkowicie nam się powiodło wprowadzenie jego uprawy w tutejszym środowisku. Wiem, że wszyscy się tym interesowaliście, bo przecież jeśli to tylko byłoby możliwe, każdy chciałby dostać rano na śniadanie porządny kawałek kantalupy.

– Pewnie że tak, Arnie – przytaknęli chłopcy.

– Ale ja – ciągnął Arnie – mam na głowie dużo więcej niż melony. Parę dni temu był tutaj facet z ONZ i złożył protest w sprawie naszych ustaw dotyczących czarnuchów. Może nie powinienem tak mówić. Może powinienem mówić jak goście z ONZ: „pozostałości ludności tubylczej” lub po prostu Murzochidzi. Chodziło mu o zezwolenie, które wydaliśmy kopalniom należącym do naszej osady, by zatrudniając Murzochidów płaciły im mniej, niż to określa minimum, bo nawet te cioty z ONZ tak naprawdę nie każą płacić tym czarnuchom Murzochidom wedle oficjalnie przyjętej taryfy. Problem w tym, że nie możemy dawać Murzochidom pensji w wysokości minimum płacowego, bo pracują tak nieskładnie, że byśmy zbankrutowali. Jednak musimy ich zatrudniać do obsługi kopalń, ponieważ jedynie oni są w stanie oddychać tam na dole. Tymczasem nie możemy na skalę masową importować aparatów tlenowych, bo ich ceny są wprost horrendalne. Ktoś tam w Domu robi mnóstwo pieniędzy na zbiornikach tlenowych, sprzężarkach i temu podobnych. To jest granda, a my nie damy się okantować. I tyle.

Wszyscy z powagą skinęli głowami.

– Nie możemy pozwolić na to, żeby biurokraci z ONZ mówili nam, jak mamy prowadzić naszą osadę – mówił Arnie. – Zaczęliśmy tutaj działać, kiedy obecność ONZ była widoczna jedynie w postaci chorągiewki wetkniętej w piasek. Zbudowaliśmy domy, zanim oni zdążyli postawić sobie wychodki. To się tyczy również tego spornego terytorium na południu między Stanami Zjednoczonymi i Francją.

– Racja, Arnie – przytaknęli chłopcy.

– Jest jednak pewien szkopuł – powiedział Arnie. – Te pedały z ONZ kontrolują drogi wodne, a wodę mieć musimy. Jest nam potrzebna jako środek transportu, źródło energii oraz do picia i do kąpieli, jak teraz. Wiecie, te gnojki mogą w każdej chwili odciąć nam wodę. Mają nas w garści.

Arnie skończył brać prysznic i stając po rozgrzanych, wilgotnych kafelkach podszedł do służącego, żeby wziąć ręcznik. Myśli o ONZ przyprawiły go o burczenie w brzuchu. Odezwął się dawny wrzód dwunastnicy. Arnie poczuł pieczenie w lewym boku, dochodzące aż do pachwiny.

„Trzeba zjeść jakieś śniadanie” – pomyślał.

Służący ubrał go w szare flanelowe spodnie, koszulkę bawełnianą, buty z miękkiej skóry i czapkę z daszkiem. Arnie wyszedł z łaźni parowej i korytarzem Gmachu Związkowego podążył w kierunku swojej jadalni, gdzie jego Murzochid, Helio, czekał ze śniadaniem. Po chwili zasiadł przed kawą, szklanką soku pomarańczowego i stertą grzanek z bekonem. W dłoni trzymał zeszytygodniowe niedzielne wydanie nowojorskiego „Timesa”.

Nacisnął przycisk umieszczony na blacie biurka.

– Dzień dobry, panie Kott – powiedziała sekretarka, zjawiając się w odpowiedzi na jego wezwanie.

Arnie nigdy wcześniej jej nie widział. Rzucił na nią okiem i uznał, że nie jest zbyt atrakcyjna. Powrócił do lektury. W dodatku dziewczyna nazwała go panem Kottem! Popijał sok pomarańczowy i czytał o statku, który przepadł w przestrzeni kosmicznej z trzystoma pasażerami na pokładzie. To był japoński statek handlowy, wiozł rowery, informacja niezmiernie Arniego ubawiła. Rowery zagubione w kosmosie! Szkoda, na planecie takiej jak Mars, o małej masie, gdzie nie istnieją w zasadzie żadne źródła energii – z wyjątkiem sieci kanałów o leniwie płynącej wodzie – a benzyna kosztuje majątek, rowery były niezwykle opłacalnym środkiem lokomocji. Człowiek mógł za darmo przejechać setki kilometrów, nawet po piasku. Jedynymi użytkownikami pojazdów o silnikach napędzanych naftą byli ludzie niezbędni dla prawidłowego funkcjonowania kolonii, tacy jak monterzy i zaopatrzeniowcy oraz, rzecz jasna, ważni urzędnicy, na przykład on sam, Arnie. Istniał oczywiście także transport publiczny w postaci piaskobusów, których trasy łączyły sąsiednie kolonie i leżące w odosobnieniu osiedla willowe z resztą świata... Kursowały jednak nieregularnie, ponieważ ich zaopatrzenie w paliwo zależało od dostaw z Ziemi. Poza tym, szczerze mówiąc, piaskobusy poruszały się tak wolno, że Arnie dostawał klaustrofobii.

Czytając nowojorskiego „Timesa” przez chwilę poczuł się tak, jakby był znowu w Domu, w Południowej Pasadenie. Jego rodzina prenumerowała „Timesa” w wydaniu z West Coast. Arnie pamiętał, że jako chłopiec przynosił go ze skrzynki na listy mieszczącej się na ulicy obsadzonej drzewkami morelowymi. To była nagrzana, zadymiona uliczka z wieloma przytulnymi jednopiętrowymi domkami, mnóstwem zaparkowanych samochodów i z trawnikami, które sumiennie strzyżono w każdy weekend. Najbardziej żałował trawnika z całym sprzętem i środkami do jego pielęgnacji: taczka nawozu, nowymi nasionami trawy, nożycami, siatką chroniącą przed ptactwem, zakładaną wczesną wiosną... i zraszaczy

działających przez całe lato, gdy tylko zezwalało prawo. Na Ziemi też występowały niedobory wody. Kiedyś aresztowano jego wujka Paula za mycie samochodu w dniu ograniczeń racji wodnych.

Studiując dalej gazetę natknął się na artykuł o przyjęciu wydanym w Białym Domu na cześć jakiejś pani Lizner, która jako urzędniczka Biura Kontroli Urodzeń dokonała ośmiu tysięcy „lecniczo wskazanych” aborcji i w ten sposób dała wspaniały przykład wszystkim amerykańskim kobietom.

„Chwalebne zajęcie dla pielęgniarce” – stwierdził Arnie Kott.

Przewrócił stronę.

Widniało na niej ogłoszenie, które Arnie osobiście pomógł zredagować. Zajmowało ćwierć strony i było napisane tłustym drukiem. Stanowiło żarliwą zachętę mającą przyciągnąć na Marsa emigrantów z Ziemi. Arnie rozparł się na krześle i złożył gazetę. Czytając ogłoszenie poczuł głęboką dumę. Uznał, że wygląda nieźle. Z pewnością przyciągnie ludzi, w każdym razie tych z charakterem, którym marzy się przygoda. Na te właśnie cechy kładła nacisk reklama.

W ogłoszeniu wymieniano, jakie profesje są poszukiwane na Marsie. Lista była długa: nie zawierała jedynie hodowców kanarków i proktologów. Zwracano uwagę na to, jak trudno znaleźć na Ziemi pracę osobie, która zdobyła jedynie tytuł magistra. Tymczasem na Marsie wystarczyło być bakałarzem, by dostać dobrze płatną pracę.

„To ich powinno zachęcić” – pomyślał Arnie.

Sam wyemigrował właśnie dlatego, że był tylko bakałarzem i wszystkie drzwi zatrzasowano mu przed nosem. Przybył na Marsa, by być zaledwie jakimś tam instalatorem, no i proszę! Kim stał się już po kilku latach? Na Ziemi jako inżynier instalacji wodnych zbierałby w Afryce zdechłą szarańczę w ramach pomocy organizowanej przez ONZ dla krajów Trzeciego Świata. Aktualnie robił to jego brat Phil, który ukończył Uniwersytet Kalifornijski i nigdy nie miał okazji pracować w swoim zawodzie, jako kontroler jakości mleka. Jego wydział skończyło ponad stu kontrolerów jakości mleka i po co? Na Ziemi nie mieli najmniejszych szans, by znaleźć pracę.

„Trzeba przylecieć na Marsa – pomyślał Arnie. – Tutaj można wykorzystać twoje umiejętności, Phil. Wystarczy spojrzeć na te anemiczne krowy w farmach mlecznych za miastem. Przydałoby im się nieco kontroli.”

Jednak w ogłoszeniu tkwił pewien kruczek. Ludziom, którzy wyemigrowaliby na Marsa, niczego nie gwarantowano. Nie mieli nawet pewności, że będą mogli wszystko rzucić i wrócić do domu. Podróż na Ziemię kosztowała znacznie drożej niż podróż na Marsa, z powodu niedogodnych warunków panujących na marsjańskich lądowiskach. Rzecz jasna, nie dawano także żadnych gwarancji, jeśli chodzi o pracę. Winę za taki stan rzeczy ponosiły wielkie mocarstwa na Ziemi: Chiny, Stany Zjednoczone, Rosja i Niemcy. Zamiast we właściwy sposób

popierać rozwój skolonizowanych planet, całą swoją uwagę skupiły na dalszej eksploracji kosmosu. Czas, pieniądze i wszystkie mózgi poświęcano gwiazdnym projektom, jak na przykład temu idiotycznemu lotowi na Centaura, z powodu którego zmarnowano już biliony dolarów i osobogodzin. Arnie Kott twierdził, że autorom gwiazdnych projektów brakuje piątej klepki. Któż chciałby wyruszyć w czteroletnią podróż do innego układu słonecznego, który być może wcale nie istnieje?

Jednocześnie Arnie obawiał się zmiany nastawienia ziemskich mocarstw. Przypuśćmy, że pewnego ranka po przebudzeniu zupełnie innym okiem spojrzą na kolonie na Marsie i Wenus. Założmy, że uważnie przyjrzą się mizernym postępom, jakie dotychczas dokonały się na tych planetach, i uznają, że należy coś uczynić w tym kierunku? Innymi słowy, jaki los czeka Arniego Kotta, gdy wielkie mocarstwa przyjdą po rozum do głowy? Ta kwestia wymagała poważnego zastanowienia.

Jednakże wielkie mocarstwa nie wykazywały jak na razie żadnych przejawów zdrowego rozsądku. Nadal kierowało nimi obsesyjne współzawodnictwo. Ku wielkiej uldze Arniego gryzły się między sobą i prawdopodobnie będą to robić przez następne dwa lata.

Arnie znowu zagłębił się w lekturze i natknął się na krótki artykuł traktujący o kobiecej organizacji w Bernie, w Szwajcarii, która zebrała się, by wyrazić swoje zaniepokojenie kwestią kolonizacji.

KOMITET DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA KOLONII ZAALARMOWANY WARUNKAMI PANUJĄCYMI NA MARSJAŃSKICH LĄDOWISKACH!

Panie, które wystosowały petycję do Wydziału Kolonialnego ONZ, wyraziły po raz kolejny przekonanie, że lądowiska na Marsie, na które przylatywały statki z Ziemi, były zbyt oddalone od zamieszkałych rejonów i sieci kanałów wodnych. Pasażerowie, nierzadko kobiety, dzieci i starcy, byli zmuszeni wędrować tysiące kilometrów przez pustkowia. Komitet do spraw Bezpieczeństwa Kolonii chciał, by ONZ wprowadziła przepis zmuszający statki do lądowania w promieniu czterdziestu kilometrów od głównych kanałów.

„Aktywistki” – pomyślał Arnie po przeczytaniu artykułu.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa żadna z nich nigdy nie opuściła Ziemi. Swoją wiedzę opierały wyłącznie na tym, co im ktoś napisał w liście, na przykład jakaś ciotka emerytka, która przybyła na Marsa, by mieszkać za darmo na terenach należących do ONZ. Jej listy chwytały za serce. Poza tym czytelniczki polegały oczywiście na członkini swojej organizacji, mieszkającej na Marsie niejakiej pani Annie Esterhazy. To ona puściła w obieg po koloniach powielony biuletyn adresowany do innych pań ogarniętych duchem społecznikowskim. Arnie otrzymał; przeczytał ten biuletyn. Tytuł, „Głos Opinii Publicznej”,

przyprawił go o mdłości. Zemdlilo go również na widok paru linijek ogłoszenia zamieszczonego między dwoma dłuższymi artykułami:

Błagaj o dar oczyszczenia!

Wejdź w kontakt z kolonialnym charyzmatykiem,
byś doświadczył filtracji wody, którą możemy się poszczycić!

„Głos Opinii Publicznej” był pisany tak specyficznym językiem, że Arnie z wielkim trudem pojmował treść niektórych artykułów. Widocznie jednak artykuł trafił do przekonania oddanym czytelniczkom, które poważnie brały sobie każdą radę do serca i wprowadzały ją w czyn. Obecnie razem z Komitetem do spraw Bezpieczeństwa Kolonii uskarżały się na niebezpieczne odległości dzielące marsjańskie lądowiska od źródeł wody i osiedli ludzkich. Spośród dwudziestu kilku lądowisk na Marsie tylko jedno leżało w promieniu czterdziestu kilometrów od jednego z głównych kanałów. Było to Lądowisko im. Samuela Gompersa, które obsługiwało kolonię Arniego. Jeśli przypadkiem naciski wywierane przez Komitet do spraw Bezpieczeństwa Kolonii odniosłyby skutek, wtedy wszystkie statki pasażerskie z Ziemi musiałyby przylatywać na lądowisko Arniego Kotta i cały dochód przypadłby jego kolonii.

Nieprzypadkowo biuletyn pani Esterhazy i jej organizacja na Ziemi opowiadały się za sprawą, której pomyslnie rozwiązanie leżało w interesie Arniego. Anna Esterhazy to przecież była żona Arniego. Pozostali dobrymi przyjaciółmi i nadal prowadzili wspólnie liczne przedsięwzięcia, które założyli lub zakupili, gdy jeszcze byli małżeństwem. Na wielu płaszczyznach wciąż pracowali razem, chociaż nie utrzymywali żadnych czysto osobistych kontaktów. Arnie uważał Annę za zbyt agresywną, władczą i niekobietą. Była wysoka, koścista, chodziła zamaszystym krokiem w butach na płaskim obcasie, w tweedowym płaszczu i ciemnych okularach, z przewieszoną przez ramię ogromną skórzaną torbą... Cechowały ją jednak duża inteligencja i rozsądek oraz zdolność do działania. Arnie mógł pozostawać z Anną w dobrych stosunkach jedynie na gruncie zawodowym.

To, że Anna Esterhazy i Arnie stanowili niegdyś parę małżeńską i nadal wiązały ich wspólne finanse, było sprawą powszechnie wiadomą. Kiedy Arnie chciał się z nią skontaktować, nie dyktował listu stenografistce. Posługiwał się małym koderem, który trzymał zawsze w swoim biurku. Taśmę z wiadomością przekazywał Annie za pośrednictwem umyślnego posłańca. Człowiek ten podrzucał taśmę do sklepu z upominkami, który była żona Arniego prowadziła w osadzie Izraelitów. Ewentualną odpowiedź składało się w podobny sposób w biurze fabryki żwiru i cementu usytuowanej nad Kanałem im. Bernarda Barucha Rockinghama, który należał do szwagra Arniego, Eda Rockinghama.

W zeszłym roku, gdy Ed Rockingham zbudował dom dla siebie, Patrycji i trójki dzieci, zdobył coś praktycznie nieosiągalnego – swój własny kanał. Wybudowanie na prywatny użytek kanału, który ciągnął wodę z publicznej sieci, stanowiło jawne pogwałcenie prawa. Nawet Arnie był tym faktem oburzony. Jednak przeciwko Edowi nie wszczęto postępowania karnego i do dzisiaj kanał, który skromnie nosił imię jego najstarszego dziecka, prowadził wodę sto trzydzieści kilometrów w głąb pustyni. Tak więc Pat Rockingham mogła sobie mieszkać w cudownym miejscu, gdzie był trawnik, basen kąpielowy i doskonale nawadniany ogród kwiatowy. Pat hodowała wielkie krzewy kamelii, które jako jedyne zniosły przeszczepienie na Marsa. Przez całe dnie na okrągło działały zraszacze, spryskując wodą krzewy, aby nie uschły i nie zmarniały.

Hodowla dwunastu wielkich krzewów kameliowych wydawała się Arniemu czymś aż nazbyt ostentacyjnym. Nie był w dobrych stosunkach ze swoją siostrą ani z Edem Rockinghamem. Po co przylecieli na Marsa? Żeby za wszelką cenę żyć tak jak na Ziemi? Arnie uważał takie postępowanie za absurd. Czemu w takim razie nie zostali w Domu? Dla Arniego Mars był nowym miejscem i oznaczał całkowitą zmianę dotychczasowego trybu życia. On i pozostali osadnicy, zarówno ważne osobistości, jak i szarzy ludzie, w czasie pobytu na Marsie zdobyli się na niezliczoną ilość drobnych kompromisów, by przystosować się do nowych warunków. Przeszli tak wiele stadiów procesu adaptacji, że właściwie ulegli ewolucji. Ich urodzone na Marsie dzieci były już całkiem nowymi, dziwnymi istotami i pod wieloma względami stanowiły dla rodziców zagadkę. Dwaj synowie Arniego i Anny mieszkali obecnie w obozie na skraju Lewistown. Gdy Arnie ich odwiedzał, nie mógł chłopców zrozumieć. Spoglądali na niego niewidzącym wzrokiem, jakby czekali, kiedy wreszcie sobie pójdzie. Jak zdążył się zorientować, nie mieli w ogóle poczucia humoru. Mimo to byli wrażliwi. Potrafili w nieskończoność mówić o zwierzętach i roślinach, a nawet o samym krajobrazie. Obaj chłopcy mieli swoich ulubieńców – marsjańskie stwory, które Arniemu wydawały się przerażające. Przypominały z wyglądu modliszki i były wielkie jak byki. Te stwory z piekła rodem nazywano bokserami, bo często widywano je w postawie wyprostowanej, jakby gotowe do walki na pięści. Zwierały się w rytualnej potyczce, która zazwyczaj kończyła się śmiercią i pożarciem jednego z przeciwników. Bert i Ned przyuczyli swoich ulubieńców do umiarkowanej zacieklej walki bez zabijania i pożerania współplemieńca. Owe stworzenia stały się prawie nieodstępnymi towarzyszami chłopców. Dzieciom na Marsie towarzyszyła samotność. Częściowo dlatego, że było ich tak mało, częściowo... Tego już Arnie nie wiedział. Marsjańskie dzieci miały wielkie, dzikie oczy o przejmującym spojrzeniu, jakby łaknęły czegoś, co na razie było niewidzialne. Miały skłonność do przebywania w samotności. Jeśli tylko nadarzała się okazja, wyruszały z obozu, by myszkować po pustkowiach. Ze swoich wypraw przynosiły bezwartościowe śmieci: garstkę kości albo jakąś pozostałość po dawnej murzyńskiej cywilizacji. Z okien koptera Arnie

za każdym razem spostrzegał tu i ówdzie samotne dziecko, które brnęło przez pustynię albo grzebało pośród skał i piasku, jakby nadaremnie usiłowało przeszyć wzrokiem powierzchnię planety i zajrzeć do środka...

Z dolnej szuflady biurka Arnie wyjął mały dyktafon na baterie i przygotował go do pracy.

– Anno – powiedział do mikrofonu – chcę się z tobą spotkać i porozmawiać. W tym komitecie jest zbyt wiele kobiet i działa on w złym kierunku. Na przykład wasze ostatnie ogłoszenie w „Timesie” niepokoi mnie, bo...

Arnie przerwał swoją przemowę, gdyż urządzenie stęknęło i przestało działać. Walnął je pięścią. Szpule poruszyły się lekko i znowu znieruchomiały.

„Sądziłem, że naprawiono dyktafon – pomyślał Arnie ze złością. – Czy ci frajerzy nic nie potrafią naprawić?”

Może będzie musiał kupić nowy dyktafon na czarnym rynku i zapłacić za niego bająską sumę. Skrzywił się na tę myśl. Skinął na niezbyt atrakcyjną sekretarkę, która siedziała naprzeciw niego, czekając na polecenia. Wyjęła ołówek i notatnik. Kott zaczął dyktować.

– Zazwyczaj potrafię zrozumieć, że trudno jest wam konserwować sprzęt, bo wiem, że nie macie prawie żadnych części zamiennych, a tutejszy klimat niszczy metal i przewody instalacji elektrycznej. Mam już jednak dość ciągłych próśb o to, by jakaś kompetentna osoba naprawiła tak ważne dla mnie urządzenie jak dyktafon. On musi działać i tyle. Skoro więc nie potraficie doprowadzić go do stanu używalności, zwolnię was i cofnę koncesję na wykonywanie napraw w obrębie kolonii. Zacznę polegać na usługach monterów spoza naszej osady.

Znowu skinął na sekretarkę, aby przestała notować.

– Czy mam zanieść dyktafon do działu naprawczego, panie Kott? – spytała dziewczyna. – Zrobię to z wielką przyjemnością.

– Nie – odburknął Arnie. – Zmykaj.

Kiedy odeszła, Arnie znowu sięgnął do swojego nowojorskiego „Timesa”. Na Ziemi można kupić nowy dyktafon za grosze. W Domu w ogóle można cholernie dużo kupić. Wystarczy spojrzeć, co reklamują... rzymskie monety, futra, sprzęt biwakowy, diamenty, statki kosmiczne i trucie na chwasty. Jezu!

Jednak dla niego najważniejszą sprawą było w tej chwili skontaktowanie się z byłą żoną bez użycia dyktafonu.

„Może wpadnę do niej i porozmawiam – pomyślał Arnie. – To będzie dobra wymówka, żeby na jakiś czas opuścić biuro.”

Nakazał telefonicznie, aby na lądowisku Gmachu Związkowego czekał na niego kopter. Szybko dokończył śniadanie, wytarł usta i ruszył do windy.

– Hej, Arnie – powitał go pilot koptera.

Był młodym człowiekiem o miłej aparycji.

– Hej, chłopcze – odpowiedział Arnie.

Pilot powiódł go do skórzanego fotela, który wykonano specjalnie dla Arniego w związkowej tapicerni. Kiedy pilot zajął miejsce przy sterach, Arnie rozparł się wygodnie w fotelu, założył nogę na nogę i rzekł:

– Wystartuj, a ja ci powiem, dokąd masz lecieć. Nie spiesz się zbyt, mamy czas. Zapowiada się ładny dzień.

– Tak, rzeczywiście – odparł pilot, gdy śmigła zaczęły się obracać. – Pomijając zamglenie nad łańcuchem F.D.R.

Ledwo wzbili się w powietrze, kiedy odezwał się głośnik:

– Komunikat specjalny. Na otwartej pustyni znajduje się grupka Murzochidów, w punkcie 4.65003 według żyrokompasu. Giną od spiekoty i braku wody. Wszystkie pojazdy będące na północ od Lewistown mają podążyć możliwie najszybciej we wskazanym kierunku, aby udzielić pomocy umierającym. Prawo Organizacji Narodów Zjednoczonych zobowiązuje do tego wszystkie statki handlowe, również i prywatne.

Suchy głos spikera ze sztucznego satelity raz jeszcze powtórzył komunikat.

– Bez przesady, chłopcze – zaprotestował Arnie, kiedy zorientował się, że kopter zmienia kurs.

– Muszę się zgłosić, proszę pana – odpowiedział pilot. – Takie jest prawo.

„Na miłość boską!” – pomyślał Arnie z niechęcią.

Zanotował w pamięci, że kiedy tylko wrócą do Lewistown, zwolni pilota lub przynajmniej zawiesi go w obowiązkach.

Znawali się nad pustynią i ze znaczną prędkością zbliżali się do punktu podanego przez spikera ONZ. „Czarnuchy Murzochidzi – pomyślał Arnie. – Każą nam wszystko rzucić, żeby ratować tych cholernych półgłówków. Jakby nie mogli dalej wędrować po tej swojej pustyni. Czyż nie robili tego bez naszej pomocy przez pięć tysięcy lat?”

Gdy Jack Bohlen przygotowywał się do lądowania na farmie mlecznej McAuliffa, usłyszał komunikat specjalny ONZ, który każdorazowo przejmował go dreszczem.

– ...Na otwartej pustyni znajduje się grupka Murzochidów – oznajmił rzeczowy głos spikera.
– ...Giną od spiekoty i braku wody. Wszystkie pojazdy będące na północ od Lewistown...

„Załamuję się” – pomyślał Jack Bohlen.

Włączył mikrofon i powiedział:

– Zgłasza się pojazd naprawczy firmy Yee. Według żyrokompasu znajduję się w pobliżu punktu 4.65003. powinienem dotrzeć na miejsce w ciągu dwóch, trzech minut.

Skierował kopter na południe i odleciał z farmy McAuliffa. Przez dobrą chwilę czuł coś w rodzaju zadowolenia na myśl o oburzeniu Irlandczyka, gdy ten zobaczy odlatujący kopter

i domyśli się przyczyny. Nikt nie miał mniejszego pożytku z Murzochidów niż wielcy farmerzy. Dotknięci biedą, prowadzący koczowniczy tryb życia krajowcy bez przerwy pojawiali się na farmach po żywność, wodę, pomoc medyczną, a czasem po prostu z prośbą o jałmużnę. Nic bardziej nie irytowało właścicieli prosperujących mleczarni, jak konieczność udzielania pomocy tym, których ziemię zdążyli już sobie przywłaszczyć.

Odezwał się pilot innego koptera.

– Jestem zaraz za Lewistown, według żyrokompasu w punkcie 4.78995, i włączę się do akcji tak szybko jak to możliwe. Mam na pokładzie racje żywnościowe, w tym dwadzieścia litrów wody.

Pilot podał swój numer identyfikacyjny i wyłączył się.

Farma mleczna z jej krowami została daleko na północy. Jack Bohlen uważnie wpatrywał się w pustynię, szukając wzrokiem Murzochidów. Wkrótce ich zauważył: pięciu tubylców leżało w cieniu małego kamiennego pagórka. Nie ruszali się. Może już nie żyli. Namierzył ich krążący po niebie satelita ONZ, lecz nie mógł im udzielić pomocy. Obrońcy Murzochidów byli w takiej sytuacji bezsilni.

„A nas, którzy możemy im pomóc – pomyślał Jack – cóż to obchodzi?”

Murzochidzi i tak wymierali. Położenie niedobitków stawało się z każdym rokiem coraz bardziej rozpaczliwe, choć znajdowali się pod opieką ONZ. „Też mi opiekali!” – pomyślał Jack.

Cóż jednak można zrobić dla ginącej rasy? Czas rdzennych mieszkańców Marsa skończył się na długo przed pojawieniem się w latach sześćdziesiątych na marsjańskim niebie pierwszych radzieckich statków kosmicznych z kamerami telewizyjnymi. Nikt się nawet nie silił, by wytepić Murzochidów. To nie było już potrzebne. Tak czy owak krajowcy na początku wzbudzali ogromną ciekawość. Byli warci bilionów dolarów, które wydano, by dotrzeć na Marsa. Byli istotami z innej planety.

Jack wylądował na płaskim terenie w pobliżu grupki Murzochidów. Wyłączył śmigła, otworzył drzwiczki i wyszedł na zewnątrz.

Szedł po piasku w kierunku nieruchomych postaci. Z przedpołudniowego nieba lał się żar. Murzochidzi żyli: mieli otwarte oczy i spoglądali na zbliżającego się człowieka.

– Zsyłam deszcz na wasze drogie osoby – pozdrowił Murzochidów w ich języku.

Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że grupa składa się z pary pomarszczonych staruszków, młodego mężczyzny i kobiety, bez wątplenia męża i żony, oraz ich dziecka. Widocznie rodzina wyruszyła pieszo przez pustynię, prawdopodobnie w poszukiwaniu wody lub żywności. Możliwe, że wyschła oaza, w której dotąd mieszkali. Leżeli, niezdolni już iść dalej, a ich skurczone ciała przypominały kupki wyschniętych roślin. Gdyby nie wypatrzył ich satelita ONZ, wkrótce by umarli. W ten sposób zazwyczaj kończyły się wędrówki Murzochidów.

Młody Murzochid dźwignął się powoli na kolana.

– Deszcz, który zsyła nam, panie, twoja cudowna obecność, dodaje sił i przywraca do życia – powiedział słabym, łamiącym się głosem.

Jack Bohlen rzucił mu manierkę. Murzochid natychmiast przysiadł, zdjął zakrętkę i podał wodę leżącym na ziemi staruszkom. Kobieta chwyciła manierkę i pociągnęła kilka łyków.

Na oczach Jacka zaszła w niej zmiana. Kobieta zdawała się wracać do życia: jakby się zaokrągliła, a jej skóra straciła popielatą barwę śmierci.

– Możemy napełnić nasze skorupy? – zapytał Jacka młody Murzochid.

Z piasku wystawało kilka jajek paka – białawych pustych skorupki. Jack spostrzegł, że nie było w nich ani kropli wody. Umiejętności techniczne Murzochidów były tak prymitywne, że nie potrafili nawet wyrabiać glinianych naczyń. Tymczasem ich przodkowie stworzyli wielki system kanałów.

– Oczywiście – odparł Jack. – Nadlatuje drugi pojazd z dużą ilością wody.

Poszedł do koptera i wyjął pudełko z lunchem. Wrócił pod pagórek i podał je Murzochidowi.

– Jedzenie – wyjaśnił, jakby tego nie wiedzieli.

Staruszkowie podnieśli się i stanęli na chwiejnych nogach z rozpostartymi ramionami.

Jack usłyszał za plecami głośny warkot lądującego koptera. Był to duży dwuosobowy pojazd. Osiadł na ziemi. Jego śmigła obracały się powoli.

– Przydam się na coś? – zawołał pilot nie opuszczając kabiny. – Jeśli nie, lecę dalej.

– Mam dla nich za mało wody – odkrzyknął Jack.

– W porządku – odparł pilot. Zatrzymał śmigła, wyskoczył z pojazdu i przyniósł dwudziestolitrowy kanister. – To dla nich.

Razem z Jackiem patrzył, jak Murzochidzi napełniają skorupy wodą z kanistra. Dobytek tubylców był nad wyraz skromny – kołczan zatrutych strzał i okrycie ze skór zwierzęcych dla każdego. Kobiety niosły ze sobą żarna, jedyne cenne rzeczy, jakie miały. Bez nich nie mogły niczego zrobić. Żarna służyły do mielenia ziaren i przyrządzania mięsa lub innego pożywienia, które udało się zdobyć na pustyni. Wędrowcy mieli też z sobą kilka papierosów.

– Mój pasażer – szepnął młody pilot – nie jest zbyt zachwycony naszym przymusowym lądowaniem. On sobie nie zdaje sprawy, że ci z ONZ mają na górze satelitę, który zauważy, jeśli nie pospieszysz z pomocą. A za to się płaci cholernie wysoki mandat.

Jack odwrócił się i popatrzył na kopter. W środku siedział łysego, zażywny mężczyzna o ciężkiej budowie ciała. Wyglądał na zadowolonego z siebie. Nie zwracał najmniejszej uwagi na Murzochidów. Na jego twarzy malowało się niezadowolenie.

– Trzeba przestrzegać prawa – ciągnął pilot. – To mnie wlepiłoby mandat.

Jack podszedł do pojazdu.

– Nie cieszy się pan, że uratował życie pięciu ludziom? – spytał łysego, przysadzistego mężczyznę.

Ten popatrzył na niego z góry i powiedział:

– Masz na myśli tych pięciu czarnuchów? Nie nazwałbym tego ratowaniem ludzi. A ty tak?

– A ja tak – odparł Jack. – I mam zamiar postępować podobnie w przyszłości.

– Proszę bardzo, rób sobie, co chcesz – rzucił łysy mężczyzna. Zaczerwienił się i przeniósł wzrok na kopter Jacka. Przypatrywał się oznaczeniom. – Zobaczysz, do czego cię to doprowadzi.

Młody pilot podszedł do Jacka i szybko go poinformował:

– Rozmawiasz z Arniem. Z panem Arniem Kottem.

Potem zawołał do pasażera:

– Możemy już lecieć, Arnie.

Pilot wdrapał się do koptera i zniknął w jego wnętrzu. Śmigła znowu zaczęły się obracać. Pojazd wzbił się w powietrze. Jack został sam z Murzochidami. Napili się i właśnie jedli z pudełka, które im podarował. Z boku leżał pusty kanister. Jaja paka były napełnione wodą i zatkane. Murzochidzi nie patrzyli na odlatujący kopter. Nie zwracali też uwagi na Jacka. Mruczełi coś do siebie w swoim języku.

– Dokąd idziecie? – zapytał Jack.

Młody Murzochid podał nazwę oazy położonej daleko na południu.

– Myślicie, że dacie radę? – Jack wskazał parę staruszków. – Zwłaszcza oni?

– Tak, panie – odparł młody Murzochid. – Teraz damy sobie radę. Mamy wodę, którą dałeś nam ty, panie, i ten drugi pan.

„Nie jestem pewny, czy sobie poradzą – pomyślał Jack. – Oczywiście odpowiedzieliby tak samo, nawet gdyby wiedzieli, że im się nie uda. To chyba duma rasowa.”

– Panie – odezwał się młody Murzochid – mamy dla ciebie prezent za to, że się zatrzymałeś.

I podał coś Jackowi.

Ich dobytek był tak znikomy, że Jack nie dowierzał. Jak mogli mieć coś do ofiarowania? Mimo to wyciągnął dłoń. Młody Murzochid podał mu coś małego i zimnego. Przedmiot był ciemny, pomarszczony i wysuszony. Przypominał kawałek korzenia.

– To jest wróżka wodna – powiedział Murzochid. – Sprowadzi wodę, źródło życia, za każdym razem, gdy będziesz jej potrzebował, panie.

– Przecież wam nie pomogła – odparł Jack.

– Pomogła, panie – odrzekł z uśmiechem Murzochid – sprowadziła ciebie.

– Jak sobie bez niej poradzicie? – zapytał Bohlen.

– Mamy drugą. My robimy wróżki wodne, panie. – Wskazał parę staruszków. – Oni się na tym znają.

Jack uważnie przyjrzał się wróżce wodnej. Miała twarz i niewyraźnie zarysowane kończyny. Była zmumifikowanym stworzeniem, które kiedyś żyło. Jack dostrzegł podkurczone nogi, uszy... przeszedł go dreszcz. Twarz była dziwnie ludzka – pomarszczona, cierpiąca, jakby istota została

zabita w chwili, gdy krzyczała.

– Co się z tym robi? – zapytał młodego Murzochida.

– Dawniej, gdy ktoś potrzebował wody, sikał na wróżkę wodną i ona ożywała. Teraz tego nie robimy, panie. Nauczyliśmy się od was, panów, że sikać nie jest dobrze. Więc zamiast tego plujemy. Ona otwiera oczy i rozgląda się wokoło, wtedy otwiera usta i przywołuje wodę. Tak wezwała ciebie, panie, i tego dużego pana, który siedział w środku i nie wyszedł, pana bez włosów na głowie.

– To bardzo potężny pan – powiedział Jack. – Jest królem osady instalatorów wodnych i należy do niego całe Lewistown.

– Jeśli to prawda – odrzekł młody Murzochid – nie zatrzymamy się w Lewistown, bo zauważyliśmy, że pan bez włosów nas nie lubi. Nie daliśmy mu wróżki za jego wodę. Jego ręce dały nam wodę, ale w tym, co zrobił, zabrakło serca.

Jack pożegnał się z Murzochidami i wsiadł do koptera. Po chwili wznosił się już w górę. Stojący na ziemi Murzochidzi z namaszczeniem machali rękami.

„Gdy wrócę do domu pod koniec tygodnia, dam wróżkę wodną Dawidowi – postanowił Jack. – Niech na nią sika, pluje, czy co tam mu przyjdzie do głowy.”

ROZDZIAŁ TRZECI

Norbert Steiner miał dużą swobodę działania, jako że pracował we własnym przedsiębiorstwie. W małym żelaznym budynku położonym za Bunchewood Park produkował zdrową żywność, wykorzystując wyłącznie miejscowe rośliny i minerały, bez środków konserwujących, chemikaliów i nawozów sztucznych. Pewna firma w Bunchewood Park pakowała jego produkty w specjalnie do tego celu przeznaczone pudełka, kartony, słoiki i paczuski. Steiner jeździł po Marsie i sprzedawał je bezpośrednio klientom.

Osiągał niezłe zyski, również i dlatego, że nie miał konkurencji: był jedynym producentem zdrowej żywności na Marsie.

Prowadził także pewną działalność uboczną. Sprowadzał z Ziemi różnorakie artykuły dla smakoszy: trufle, paszteciki z gęsich wątróbek, kawior, zupę z kangurzych ogonów, niebieski ser duński, wędzone ostrygi, jaja przepiórcze i babki rumowe. Import tych produktów był na Marsie zabroniony, ponieważ ONZ próbowała zmusić kolonie do osiągnięcia samowystarczalności w zakresie produkcji żywności. Eksperti do spraw wyżywienia twierdzili, że niebezpiecznie jest przewozić żywność w przestrzeni kosmicznej ze względu na możliwość skażenia szkodliwym promieniowaniem. Steiner jednak wiedział swoje: prawdziwą przyczyną zakazu były obawy związane z ewentualnym wybuchem wojny na Ziemi i jej wpływem na kolonie. Wstrzymane zostałyby dostawy żywności i jeśli kolonie nie byłyby samowystarczalne, w krótkim czasie groziłaby im śmierć głodowa.

Steiner, pełen podziwu dla trafności rozumowania ONZ, nie miał jednak zamiaru przestrzegać jej zakazu. Kilka przemyconych cichcem puszek francuskich trufli nie powstrzyma farmerów od produkcji mleka ani też hodowców świń, bydła czy owiec od starań o zwiększenie rentowności hodowli. Jabłonie, drzewa brzoskwiniowe i morelowe nadal będzie się sadzić, podlewać i pielęgnować, niezależnie od tego, czy w paru osadach pojawią się słoiczki z kawiosem po dwadzieścia dolarów sztuka.

Steiner nadzorował właśnie wyładunek puszek z chałwą, które przyleciały zeszłej nocy na pokładzie automatycznej rakiety. Kursowała ona między Manilą i małym lądowiskiem na pustkowiach Gór F.D.R., które Steiner zbudował, wykorzystując Murzochidów jako siłę roboczą. Chałwa sprzedawała się dobrze, zwłaszcza w Nowym Izraelu. Sprawdzając, czy na puszkach nie ma śladów uszkodzeń, Steiner wyliczył, że powinien dostać za każdą przynajmniej pięć dolarów. Wszystkie słodczy, jakie udawało mu się ściągnąć, kupował Arnie Kott, który ponadto zaopatrywał się w sery i wszelkiego rodzaju konserwy rybne, nie mówiąc już o kanadyjskim wędzonym bekonie w dwukilowych, tak jak duńskie szynki, puszkach. Arnie Kott był najlepszym klientem Steinera.

Magazyn, w którym właśnie przebywał Steiner, mieścił się nie opodal jego małego, prywatnego, nielegalnego lądowiska. Tam stała rakieta, która przybyła w nocy na Marsa. Technik Steinera, bo on sam nie miał żadnych uzdolnień manualnych, przygotowywał pojazd do drogi powrotnej do Manili. Rakieta była nieduża, miała zaledwie siedem i pół metra długości, lecz solidna, bo wykonano ją w Szwajcarii. Czerwone marsjańskie słońce kładło już na powierzchni planety długie cienie okolicznych szczytów górskich. Steiner włączył piecyk naftowy, by ogrzać magazyn. Kiedy wyjrzał przez okno, zobaczył go technik i dał znak, że rakieta jest gotowa do startu z nowym ładunkiem. Steiner na chwilę odłożył puszki z chałwą. Podeszedł do obładowanego kartonami ręcznego wózka i wypchnął go z magazynu na skalny grunt.

– To waży chyba z pięćdziesiąt kilo – stwierdził krytycznie technik, gdy Steiner zbliżył się do niego z wózkiem.

– Kartony są bardzo lekkie – zaprotestował Steiner.

Ładunek zawierał suszoną trawę, którą przetwarzano na Filipinach w taki sposób, że w rezultacie uzyskiwano coś bardzo przypominającego haszysz. Paliło się to po zmieszaniu ze zwykłym mocnym tytoniem z Wirginii. Produkt osiągał w Stanach Zjednoczonych zawrotną cenę. Sam Steiner nigdy go nie próbował. Dla niego zdrowie fizyczne szło w parze ze zdrowiem psychicznym. Wierzył w zdrową żywność, nigdy nie pił ani nie palił.

Razem z Otto załadował i zaplombował raketę. Technik nastawił automatyczny zegar. Za kilka dni Jose Pesquito w Manili odbierze ładunek, przejrzy załączoną listę i na jej podstawie przygotuje do drogi na Marsa zamówione przez Steinera artykuły.

– Zabierzesz mnie ze sobą? – spytał Otto.

– Najpierw lecę do Nowego Izraela – odparł Steiner.

– Nie szkodzi. Mam mnóstwo czasu.

Otto Zitte także prowadził kiedyś interesy czarnorynkowe. Rozprowadzał wyłącznie sprzęt elektroniczny, części niezwykle delikatne i bardzo małe. Przemycano je na pokładach transportowców kursujących między Ziemią a Marsem. Otto próbował też importować tak cenne na czarnym rynku artykuły, jak: maszyny do pisania, aparaty fotograficzne, magnetofony, futra i whisky. Nie sprostał jednak konkurencji. Handel na skalę masową takimi artykułami przejęli wielcy profesjonalni handlarze czarnorynkowi, których wspierał pokaźny kapitał i którzy dysponowali własnym dobrze rozbudowanym systemem transportu. Tak czy inaczej Otto nie wkładał w swój interes wiele serca. Chciał być monterem. Po to właściwie przyleciał na Marsa. Nie wiedział jednak, że usługi naprawcze zostały zmonopolizowane przez dwie lub trzy firmy działające na zasadzie cechów, jak na przykład firma naprawcza pana Yee, w której pracował sąsiad Steinera, Jack Bohlen. Otto zdał testy zdolności, lecz okazało się, że nie był wystarczająco dobry. Dlatego też po roku czy dwóch spędzonych na Marsie zaczął pracować u Steinera

i prowadzić własne małe przedsiębiorstwo importowe. Było to dla niego poniżające, ale przynajmniej nie pracował fizycznie pod palącym słońcem w brygadzie robotników nawadniających pustynię. Gdy wracali do magazynu, Steiner powiedział:

– Osobiście nie cierpię tych Izraelitów, chociaż wciąż muszę mieć z nimi do czynienia. Ich styl życia jest nienaturalny: mieszkają w barakach, bez przerwy siedzą na dworze i próbują sadzić drzewa pomarańczowe i cytrynowe, no wiesz. Mają nad wszystkimi przewagę, bo tam na Ziemi żyli jak my tutaj: na pustyni i prawie bez żadnych bogactw mineralnych.

– Fakt – odparł Otto. – Ale jedno im trzeba przyznać: oni naprawdę pracują. Nie są leniwi.

– A do tego – rzekł Steiner – są hipokrytami, jeśli chodzi o jedzenie. Sam widzisz, ile kupują ode mnie puszek niekoszernego mięsa. Nie przestrzegają nakazów swojej religii.

– No cóż, jeśli ci się nie podoba, że kupują od ciebie wędzone ostrygi, to im nie sprzedawaj.

– To ich sprawa, nie moja – powiedział Steiner.

Miał jeszcze inny powód do wizyty w Nowym Izraelu, ale nie znał go nawet Otto. Jego syn przebywał tam w specjalnym obozie dla tak zwanych „anormalnych dzieci”. Nazwa ta obejmowała wszystkie dzieci, które pod względem fizycznym lub psychicznym do tego stopnia odbiegały od normy, że nie mogły uczyć się w Szkole Publicznej. Syn Steinera dotknięty był autyzmem i od trzech lat pracowała nad nim opiekunka, starając się, by dziecko nawiązało kontakt z ludźmi i otoczeniem.

Mieć autystyczne dziecko było szczególnie wielkim wstydem, ponieważ psychologowie twierdzili, że przyczyną autyzmu są defekty psychiki rodziców, zazwyczaj osobowość schizoidalna. Manfred Steiner w wieku dziesięciu lat nie powiedział jeszcze ani jednego słowa. Biegał na palcach po pokoju i omijał ludzi, jakby byli niebezpiecznymi przedmiotami, które mogą skaleczyć. Od strony fizycznej chłopiec był okazem zdrowia – wyrosnięty blondynek z kręcącymi się włosami. Przez pierwszy rok czy dwa Steiner cieszył się, że ma syna. Lecz teraz nawet nauczycielka w Obozie B-G nie mogła wiele zrobić dla Manfreda. Mimo to wciąż była optymistką, bo to należało do jej obowiązków.

– Może się zdarzyć, że spędzę w Nowym Izraelu cały dzień – powiedział Steiner, gdy razem z Ottem ładował do kopitera puszkę chałwy. – Muszę zajrzeć do każdego cholernego kibuca, a to potrwa parę godzin.

– Dlaczego nie chcesz mnie wziąć ze sobą? – zapytał Otto.

Steiner szedł z opuszczoną głową powłócząc nogami.

– Źle mnie zrozumiałeś – odparł z poczuciem winy. – Chętnie bym cię zabrał, ale... – Przez chwilę miał zamiar powiedzieć prawdę. – Podrzucę cię do terminalu piaskobusowego, dobra?

Ogarnęło go znużenie. Kiedy przyjedzie do Obozu B-G, zastanie Manfreda w takim stanie jak zawsze. Chłopiec będzie unikał jego wzroku i miotał się po sali jak napięte, czujne zwierzę, a nie dziecko... Steiner pojedzie do obozu, chociaż to nie ma najmniejszego sensu.

W duchu winił za wszystko swoją żonę. Gdy Manfred był niemowlęciem, rzadko kiedy się do niego odzywała i nie okazywała mu żadnych cieplejszych uczuć. Z wykształcenia była chemikiem i miała chłodny, intelektualny stosunek do świata. Nie nadawała się na matkę. Kapała i karmiła niemowlę, traktując je jak szczura doświadczalnego. Dbała o to, by dziecko było czyste i zdrowe, ale nigdy mu nie zanuciła piosenki, nie śmiała się do niego, nigdy właściwie z nim nie rozmawiała. Nic dziwnego, że dzieciaka dotknął autyzm. Czy mogło stać się inaczej? Te rozmyślenia wprawiły Steinera w ponury nastrój. Czego innego można się spodziewać po małżeństwie z kobietą magistrem? I pomyśleć o chłopcu Bohlenów, który bawi się hałaśliwie na podwórku obok... Ale wystarczy spojrzeć na Sylwię Bohlen, to prawdziwa matka i kobieta – z werwą, atrakcyjna i przede wszystkim pełna życia. To prawda, że jest apodyktyczna i samolubna... ma nad wyraz rozwinięte poczucie własności. Lecz Steiner za to właśnie ją podziwiał. Nie jest sentymentalna – jest silna. Na przykład jej stanowisko wobec kwestii wodnej. Pani Bohlen nie można było złamać nawet historyjką o rzekomo przeciekającym zbiorniku i utracie dwutygodniowego przydziału wody. Uśmiechnął się smutno na wspomnienie tego incydentu. Sylwia Bohlen ani przez chwilę nie dała się nabrać.

– W takim razie wysadź mnie przy terminalu piaskobusowym – powiedział Otto.

– No, dobrze – odparł z ulgą Steiner. – Przynajmniej nie będziesz musiał oglądać Izraelitów.

Otto zmierzył go wzrokiem.

– Już ci mówiłem, że nic do nich nie mam.

Wsiedli do koptera. Steiner usiadł za sterami i zapuścił silnik. Nie odezwał się już więcej do Otta.

Kiedy lądował na Weizmann Field w północnej części Nowego Izraela, poczuł się winny, że tak źle wyrażał się o Izraelitach. Chodziło mu przecież tylko o to, żeby odwieść Zittego od zamiaru wspólnej podróży. Zachował się jednak nieładnie. Postąpił wbrew swoim przekonaniom.

„To wszystko przez ten cholerny wstyd” – pomyślał.

Wstyd, że ma zaburzonego syna, który przebywa w Obozie B-G... Jak potężną władzę ma nad ludźmi wstyd! Może ich skłonić do najpodlejszego kłamstwa.

Gdyby nie Izraelici, jego syn byłby pozbawiony opieki. Na Marsie nie istniały inne ośrodki dla anormalnych dzieci, chociaż wiele dziesiątków tego typu placówek znajdowało się na Ziemi, podobnie zresztą sprawa przedstawiała się z wszystkimi innymi instytucjami. Poza tym koszty utrzymania Manfreda w obozie były tak niskie, że zdawały się jedynie formalnością. Z rosnącym poczuciem winy Steiner wylądował i wysiadł z koptera. Zastanawiał się, jak spojrzeć Izraelitom w oczy. Zdawało mu się, że, uchowaj Boże, odczytują jego myśli, że w jakiś sposób wyczuwają, co o nich powiedział, zanim tu przyleciał.

Jednak obsługa lotniska powitała go sympatycznie i poczucie winy zaczęło znikać.

Najwyraźniej niczego się nie domyślili. Taszcząc ciężkie walizki Steiner poszedł na parking, gdzie czekał piaskobus, który jechał do centrum finansowego miasta.

Rozsiadał się właśnie wygodnie w piaskobusie, kiedy nagle przypomniał sobie, że nie przywiózł żadnego prezentu dla syna. Nauczycielka, panna Milch, poleciła mu przynosić za każdym razem jakiś podarunek. Taki trwały przedmiot miał przypominać Manfredowi ojca podczas jego nieobecności.

„Będę musiał zająć po drodze do jakiegoś sklepu – pomyślał. – Kupię zabawkę, może grę.”

Wtedy przypomniał sobie, że jedna z matek, która także ma dziecko w Obozie B-G, pani Esterhazy, prowadzi w Nowym Izraelu sklep z upominkami. Mógłby tam wstąpić. Pani Esterhazy widziała Manfreda i w ogóle dużo wie o dzieciach anormalnych. Ona poradzi, co podarować chłopcu, a Steiner uniknie kłopotliwych pytań typu – Ile lat ma pański syn?

Steiner wysiadł z piaskobusu na przystanku w pobliżu sklepu z upominkami i szedł chodnikiem, spoglądając z przyjemnością na małe, dobrze utrzymane sklepy i biura. Nowy Izrael pod wieloma względami przypominał mu Dom. To było prawdziwe miasto, o wiele prawdziwsze niż Bunchewood Park czy Lewistown. Ulice roiły się od ludzi, którzy przeważnie spieszyli się, jakby mieli pilne sprawy do załatwienia. Steiner chłonał kupiecką, pełną życia atmosferę miasta.

Sklep z upominkami miał nowoczesny szyld i pochyłe okna wystawowe. Gdyby nie marsjański krzew rosnący w skrzynce okiennej, sklep mógłby uchodzić za jeden z wielu znajdujących się w centrum Berlina. Steiner wszedł do środka i zastał za ladą panią Esterhazy. Właścicielka sklepu uśmiechnęła się na jego widok. Była atrakcyjną, dojrzałą kobietą nieco powyżej czterdziestki. Miała ciemne włosy i zawsze była elegancko ubrana. Wyglądała świeżo i miała inteligentny wyraz twarzy. Pani Esterhazy niezwykle aktywnie uczestniczyła w życiu publicznym i była z tego powszechnie znana. Wydawała własny biuletyn i należała do coraz to nowych komitetów.

Fakt, że miała dziecko w Obozie B-G, trzymany był w tajemnicy. Wiedziała o tym jedynie garstka rodziców i oczywiście personel obozu. Dziecko było małe, miało zaledwie trzy lata. Cierpiało z powodu strasznych zniekształceń ciała spowodowanych działaniem promieni gamma w okresie życia płodowego. Steiner widział kiedyś tego chłopca. W Obozie B-G zetknął się z wieloma anomaliami, i w jakiś sposób się do nich przyzwyczał, już go nie szokowały. A jednak w pierwszej chwili dziecko pani Esterhazy go przestraszyło. Było małe i pomarszczone, z ogromnymi oczami lemura. Miało dziwaczne błoniaste palce, jakby żyło w wodzie. Steiner odniósł wrażenie, że dziecko ma zadziwiająco wyostrzoną percepcję. Przyglądało mu się niezwykle uważnie. Steinerowi zdawało się, że chłopiec dociera do pokładów świadomości niedostępných przeciętnemu człowiekowi, może nawet niedostępných jemu samemu... Zdawał się sięgać gdzieś w głąb i odczytywać jego sekrety. Potem wycofał się, poprzestając na tym, co zdołał wysondować.

Steiner przypuszczał, że dziecko było Marsjaninem, to znaczy, że urodziło się na Marsie. Pani Esterhazy poczęła je z mężczyzną, który nie był jej mężem, skoro ona zamężna nie była. Steiner dowiedział się o wszystkim w trakcie rozmowy. O tym, że od kilku lat była rozwódką, powiadomiła go spokojnie i bez skrępowania. W takim razie dziecko w Obozie B-G musiało być nieślubne. Jednak pani Esterhazy, jak wiele nowoczesnych kobiet, nie uważała tego za rzecz wstydliwą. Steiner podzielał jej opinię.

– Jaki miły sklepik, pani Esterhazy – powiedział stawiając na podłodze ciężkie walizki.

Pani Esterhazy wyszła z za lady.

– Dziękuję – odparła. – Czym mogę panu służyć? Przyszedł pan sprzedać mi jogurt albo kielki pszenicy?

W jej oczach błysnęły wesołe iskierki.

– Potrzebny mi prezent dla Manfreda – powiedział.

Na jej twarzy pojawiło się współczucie.

– Rozumiem – rzekła. – Może więc... – oddaliła się w kierunku jednej z lad. – Widziałam kiedyś pańskiego syna, gdy zajrzałam do B-G. Czy lubi muzykę? Dzieciom autystycznym muzyka często sprawia radość.

– Lubi rysować. Przez cały czas maluje obrazki.

Pani Esterhazy wyszukała mały drewniany instrument przypominający flet.

– To miejscowe rękodzieło, ale jest dobrze zrobiony.

Podarła flet Steinerowi.

– Dobrze – zdecydował. – Wezmę go.

– Panna Milch wykorzystuje w B-G muzykę jako metodę terapii dzieci autystycznych – powiedziała pani Esterhazy zawijając w papier drewniany flet. – Zwłaszcza taniec. – Na chwilę zawiesiła głos. – Panie Steiner, jak pewnie panu wiadomo, jestem w ciągłym kontakcie z tymi, którzy tworzyli scenę polityczną w Domu. Ja... krąży pogłoska, jakoby ONZ rozważała... – Zniżyła głos. Zbladła. – Naprawdę nie chcę pana niepokoić, ale jeśli jest w tym trochę prawdy, a z pewnością jest...

– Proszę mówić śmiało.

W tym momencie pożałował, że tu przyszedł. Tak, pani Esterhazy była informowana o ważnych wydarzeniach. Świadomość tego faktu wystarczyła, by go zaniepokoić, nie musiała nic więcej mówić.

– ONZ podobno rozważa obecnie pewien projekt dotyczący anormalnych dzieci. – Jej głos zadrżał. – Projekt mówi o zamknięciu Obozu B-G.

Steiner na chwilę zaniemówił.

– Ale dlaczego? – zdołał w końcu wykrztusić. Utkwił nieruchome spojrzenie w pani Esterhazy.

– Obawiają się... nie chcą, żeby na skolonizowanych planetach istniały „inwentarze niedorozwiniętych”. Chcą zachować czystość rasy ludzkiej. Może pan to zrozumieć? Ja tak, a mimo to się nie zgadzam. Może dlatego, że sama mam anormalne dziecko. Nie, nie mogę się na to zgodzić. Nie przejmują się anormalnymi dziećmi w Domu, bo w stosunku do siebie nie mają takich aspiracji jak względem nas. A trzeba panu wiedzieć, że służą wielkim ideom i są pełni zapału... Pamięta pan, jak się czuł przed przylotem na Marsa wraz z rodziną? Dla tych w Domu fakt istnienia na Marsie anormalnych dzieci jest sygnałem, że podstawowe problemy Ziemi zostały przeniesione w przyszłość, ponieważ to my jesteśmy ich przyszłością i...

– Jest pani pewna, że powstał taki projekt? – przerwał jej Steiner.

– Absolutnie. – Uniosła twarz i spokojnie popatrzyła na niego swoimi inteligentnymi oczami. – Nie mamy zbyt wiele czasu. To byłoby straszne, gdyby zamknęli Obóz B-G i...

Nie dokończyła. Z jej oczu wyczytał coś strasznego. Anormalne dzieci, jego syn, jej syn, będą uśmiercone w naukowy sposób – bezboleśnie i szybko. Czy właśnie to miała na myśli?

– Niech pani mówi dalej – powiedział.

– Dzieci zostaną uśpione.

Steiner się wzdrygnął.

– To znaczy zabite?

– Och – obruszyła się – mówi pan o tym tak, jakby to pana w ogóle nie obchodziło.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

– Chryste – nagle go ruszyło. – Jeśli to prawda...

A jednak jej nie wierzył. Może dlatego, że nie chciał. Może to było zbyt straszne? Powód był inny. Nie ufał jej kobiecemu instynktowi, jej poczuciu rzeczywistości. Po prostu usłyszała gdzieś jakąś plotkę i teraz wyolbrzymia sprawę. Może rzeczywiście pojawił się projekt dotyczący w pewnym stopniu Obozu B-G i jego podopiecznych. Jednak oni, rodzice anormalnych dzieci, zawsze żyli w cieniu takiej ponurej ewentualności. Czytali o obowiązkowej sterylizacji obojga rodziców i potomstwa w przypadku, gdy pojawiały się dowody, że gruczoły płciowe zostały na stałe uszkodzone, na ogół pod wpływem wielkich ilości promieniowania gamma.

– Kto z ONZ wystąpił z takim projektem? – zapytał Steiner.

– Prawdopodobnie sześciu członków Międzyplanetarnego Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej. – Zaczęła pisać. – Oto ich nazwiska. Panie Steiner, musimy zaapelować do tych ludzi i porozumieć się z osobami, które...

Słuchał jej jednym uchem. Zapłacił za flet, podziękował, Wziął paczuszkę i wyszedł ze sklepu.

Jakże żałował, że tu wstąpił! Czy opowiadanie takich rzeczy sprawiało jej przyjemność?

Jakby na świecie nie było dość problemów bez tego babskiego gadania, bez plotek rozpuszczanych przez paniusie w średnim wieku, które nigdy nie powinny mieszać się w sprawy publiczne!

Głos wewnętrzny podszeptował jednak: „Ona może mieć rację. Będziesz musiał się z tym pogodzić.” Przerażony i zdezorientowany szedł ulicą dźwigając ciężkie walizki. Prawie nie zauważał nowych sklepików, które pośpiesznie mijał w drodze do Obozu B-G, gdzie czekał na niego syn.

Kiedy Steiner wszedł do nakrytego szklaną kopułą solarium Obozu Ben Guriona, zastał tam młodą rudawą blondynkę, pannę Milch, ubraną w fartuch roboczy i sandały. Była umorusana gliną i farbą. Ściągnięte brwi nadawały jej twarzy rozgorączkowany wyraz. Idąc w jego kierunku potrząsnęła głową i odgarnęła z twarzy potargane włosy.

– Witam, panie Steiner. Co za dzień! Dwójka nowych dzieci, jedno to diabeł wcielony!

– Panno Milch – powiedział – przed chwilą rozmawiałem z panią Esterhazy w jej sklepie i...

– Powiedziała panu o projekcie ONZ? – Panna Milch miała znudzony wyraz twarzy. – Tak, pojawił się taki projekt. Anna zbiera wszelkie poufne informacje, chociaż nie mam pojęcia, jak ona to robi. Jeśli mogę prosić, niech pan się postara nie okazywać zdenerwowania w obecności Manfreda. Jest rozstrojony przybyciem nowych pacjentów.

Szybko wyszła z solarium, chciała zaprowadzić Steinera do pokoju dzieciennego, w którym przebywał jego syn. Steiner dogonił ją na korytarzu i spytał zdyszany:

– Co możemy zrobić w związku z tym projektem?

Odstawił walizki i trzymał jedynie papierową paczuszkę, w którą pani Esterhazy zapakowała drewniany flet.

– Nie wiem, czy na cokolwiek mamy wpływ – odparła panna Milch.

Powoli podeszła do pokoju dzieciennego i uchyliła drzwi. Do ich uszu dobiegły głośne, przenikliwe krzyki dzieci.

– Oczywiście władze Nowego Izraela i Izraela na Ziemi złożyły ostry protest, podobnie jak rządy kilku innych państw. Jednak wiele rzeczy dzieje się za naszymi plecami, projekt jest otoczony tajemnicą i wszystko odbywa się *sub rosa*, żeby nie wywołać paniki. To drażliwa kwestia. Nikt tak naprawdę nie wie, co myśli w tej sprawie opinia publiczna i czy należy się nią kierować. – Mówiła zmęczonym, urywanym głosem, jakby uchodziło z niej życie. Potem nagle się ożywiła. Poklepała go po ramieniu. – Myślę, że jeśli zamkną Obóz B-G, to najwyżej wyślą dzieci z powrotem do Domu. Nie sądzę, że posuną się dalej, że je uśmiercą.

– Wyślą je do obozów na Ziemi – powtórzył szybko Steiner.

– Chodźmy poszukać Manfreda – powiedziała panna Milch. – Dobrze? On chyba wie, że dziś przypada dzień pańskich odwiedzin. Stał przy oknie, a w jego przypadku to bardzo znamienne.

Nagle, ku swemu zdziwieniu, Steiner odezwał się zdławionym głosem:

– Zastanawiam się, czy oni czasem nie mają racji. Jaki jest pożytek z dziecka, które nie potrafi mówić i żyć wśród ludzi?

Panna Milch w milczeniu zmierzyła go wzrokiem.

– On nigdy nie dostanie pracy – mówił dalej Steiner. – Zawsze będzie ciężarem dla społeczeństwa, tak jak teraz. Może to nieprawda?

– Dzieci autystyczne wciąż nas zaskakują – powiedziała panna Milch. – Nie wiemy, na czym polega ich choroba i jakie są jej przyczyny. Nie jest też wyjaśnione, dlaczego nagle, bez żadnego wyraźnego powodu, zaczynają rozwijać się umysłowo po latach całkowitej obojętności na bodźce.

– Nie mogę z czystym sumieniem potępić tego projektu – ciągnął Steiner. – Gdy trochę ochłonałem i zastanowiłem się, doszedłem do wniosku, że autorzy projektu mają rację. Myślę, że rozumują słusznie – zakończył drżącym głosem.

– No cóż – odparła panna Milch. – Cieszę się, że nie powiedział pan tego Annie Esterhazy, bo ona by panu nie darowała. Tak długo zameczałaby pana swoimi przemowami, aż zmieniłby pan zdanie. – Otworzyła drzwi do wielkiego pokoju dziecinnego. – Manfred jest tam w kącie.

Gdy Steiner ujrzał z daleka swojego syna, przeszło mu przez myśl: „Patrząc na niego nikt by się nie domyślił. Duża, kształtna głowa, kręcone włosy, ładne rysy twarzy...” Chłopiec pochylał się nad jakimś trzymanym w dłoni przedmiotem, który całkowicie pochłaniał jego uwagę. Był naprawdę ładnym dzieckiem o oczach, które czasem spoglądały kpiąco, a czasem pojawiały się w nich iskierki radości i podniecenia... I ta doskonała koordynacja ruchów. Biegał na czubkach palców, jakby tańczył w takt jakiejś niesłyszalnej muzyki, rodzącej się w nim samym melodii.

„W porównaniu z nim jesteśmy jak czołgi – pomyślał Steiner. – Mamy ołowiane nogi. Pełzamy jak ślimaki, podczas gdy on tańczy i podskakuje, jakby nie podlegał sile ciężenia. Może jego ciało składa się z jakiegoś nowego rodzaju atomów?”

– Cześć, Manny – powiedział Steiner do syna.

Chłopiec nie podniósł głowy ani w żaden inny sposób nie pokazał po sobie, że zauważył obecność ojca. Nadal obracał w rękach przedmiot.

„Napiszę do autorów projektu – pomyślał Steiner – że mam dziecko w obozie. I że się z nimi zgadzam.”

Ta myśl go przeraziła.

„Chcę zamordować Manfreda – uświadomił sobie. – Pogłoski o projekcie wyzwoliły moją nienawiść do tego dziecka. Teraz rozumiem, dlaczego debaty utrzymywane są w tajemnicy. Ta nienawiść tkwi w wielu ludziach, chociaż nie zdają sobie z tego sprawy.”

– Nie dam ci fletu, Manny – powiedział. – Nie wiem, po co miałbym ci go dać. Przecież tobie i tak wszystko jedno! – Chłopiec nie spojrzał nawet w jego stronę i nie sprawiał wrażenia,

że go słucha. – Nic – powiedział Steiner. – Pustka.

Wtem podszedł do niego wysoki, szczupły doktor Glaub, w białym fartuchu i z notatnikiem w ręku. Steiner wzdrygnął się, bo dostrzegł go dopiero w ostatniej chwili.

– W Berghölzelei w Szwajcarii powstała nowa teoria na temat autyzmu – powiedział doktor Glaub. – Chciałbym pomówić o niej z panem, bo wygląda na to, że pozwoli nam ona zastosować wobec pańskiego syna nową metodę terapii.

– Wątpię – odparł Steiner.

Doktor Glaub mówił dalej niezrażony:

– Twórcy teorii przypuszczają, że w autyzmie zniekształcona jest perspektywa czasowa chorej jednostki. Zjawiska dziejące się w jej otoczeniu są tak przyspieszone, że ona nie nadąża z ich odbiorem. Nie jest w stanie ich prawidłowo postrzegać. To tak, jakbyśmy oglądali program telewizyjny w przyspieszeniu. Obrazy migająby tak szybko, że stałyby się nierozróżnialne, a dźwięk zamieniłby się w totalny szum, piskliwe perkotanie. A więc według tej nowej teorii dziecko autystyczne trzeba umieścić w zamkniętej komorze, gdzie wyświetla się mu film w zwolnionym tempie. Rozumie pan? Obraz i dźwięk są spowolnione do tego stopnia, że pan i ja nie zauważylibyśmy ruchu ani nie odebralibyśmy dźwięku jako mowy ludzkiej.

– To doprawdy fascynujące – powiedział Steiner znużonym głosem. – W psychoterapii ciągle pojawia się coś nowego, nieprawdaż?

– Tak – zgodził się doktor Glaub. – Zwłaszcza w Szwajcarii. Oni są bardzo pomysłowi, jeśli chodzi o rozumienie świata zaburzonych jednostek, odizolowanych od reszty, odciętych od zwykłych dróg porozumiewania się z otoczeniem... wie pan?

– Wiem – odparł Steiner.

Doktor Glaub kiwając głową poszedł dalej i zatrzymał się przy następnym rodzicu, kobiecie, która siedziała obok małej dziewczynki i oglądała razem z nią oprawną w płótno książkę z obrazkami.

„Cisza przed burzą – pomyślał Steiner. – Czy doktor Glaub ma świadomość, że pewnego dnia władze ONZ na Ziemi mogą zamknąć Obóz B-G? Dobry doktor pracuje z prostodusznością półgłupka... szczęśliwy w swoim własnym świecie.”

Steiner podszedł do Glaubu i odczekał chwilę, aż ten przerwie rozmowę z kobietą.

– Doktorze, chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tej teorii – powiedział.

– Służę panu – odparł doktor Glaub przepaszając na chwilę matkę dziewczynki. Powiódł Steinera na stronę, gdzie mogli porozmawiać na osobności. – Koncepcja różnic tempa umożliwi dostęp do umysłów wyczerpanych niewykonalnym zadaniem porozumienia się ze światem, w którym wszystko dzieje się tak szybko, że...

– Załóżmy, że pańska teoria się sprawdzi – przerwał mu Steiner. – Jak pan widzi możliwość funkcjonowania takiej jednostki? Zamierza pan ją trzymać do końca życia w zamkniętej

komorze i puszczać jej film w zwolnionym tempie? Coś mi się zdaje, doktorze, że wy tutaj zwyczajnie się wygłupiacie. Nie macie do czynienia z rzeczywistością. Wy wszyscy, w całym Obozie B-G, jesteście tacy szczerzy i szlachetni. Ale świat zewnętrzny ma zupełnie inne oblicze. Wasz obóz to wspaniałe miejsce, pełne pięknych ideałów, ale sami siebie oszukujecie. A więc moim zdaniem oszukujecie także pacjentów. Proszę mi wybaczyć, że to mówię. Ta zamknięta komora spowalniająca jest doskonałym wyrazem naszej naiwności.

Doktor Glaub kiwał głową i słuchał go z wielką uwagą.

– Obiecano nam sprzęt, który rzeczywiście można będzie zastosować – powiedział, gdy Steiner zamilkł. – Z Westinghouse na Ziemi. Kontakt z otoczeniem nawiązuje się głównie poprzez dźwięki, więc w Westinghouse zaprojektowano dla nas dyktafon, który odbiera informację skierowaną do psychotyka, na przykład do pańskiego syna Manfreda, nagrywa ją na taśmę magnetyczną i prawie natychmiast odtwarza mu ją w zwolnionym tempie, po czym kasuje ją i nagrywa następną informację, i tak w kółko. W ten sposób utrzymywany jest ciągły kontakt ze światem zewnętrznym w tempie odpowiednim dla psychotyka. Spodziewamy się otrzymać też odtwarzacz wideo, który będzie takiej jednostce stale pokazywał spowolniony obraz widzialnej części rzeczywistości, tworzący harmonijną całość z dźwiękiem. Nie ukrywam, że pacjent w kontakcie z rzeczywistością zawsze będzie pozostawał o krok do tyłu. Poza tym pewien problem stwarza kwestia dotyku. Mimo to nie zgadzam się z panem, że pomysł jest zbyt nierealistyczny, żeby go wprowadzić w życie. Proszę sobie przypomnieć rozpowszechnioną terapię chemiczną, którą wypróbowano stosunkowo niedawno. Środki pobudzające przyspieszały tempo procesów myślowych psychotyka i mógł on rozumieć napływające bodźce. Jednak kiedy tylko środek przestawał działać, system poznawczy chorego zwalniał pracę i wadliwy metabolizm ustalał się na nowo. Pewnie pan o tym słyszał? Mimo wszystko wiele się dowiedzieliśmy na podstawie tego eksperymentu. Wiemy, że psychoza ma podłoże chemiczne, nie zaś psychologiczne. Jeden eksperyment z amytalem sodu wystarczył, by obalić błędne teorie istniejące od sześćdziesięciu lat...

– Pan mi bajki opowiada – przerwał Steiner. – Nigdy nie uda się wam nawiązać kontaktu z moim synem. Odwrócił się i odszedł.

Z Obozu B-G Steiner pojechał piaskobusem do szpanerskiej restauracji „Red Fox”, która zawsze kupowała sporą część jego towarów. Po załatwieniu interesów z właścicielem usiadł na chwilę przy barze, żeby wypić piwo.

Paplanina doktora Glauba była takim samym kretyństwem jak pomysł osiedlenia się na Marsie, gdzie szklanka piwa kosztowała dwa razy więcej niż lufka szkockiej, bo zawierała dwa razy więcej wody.

Właściciel „Red Fox”, mały, łysy, korpulentny mężczyzna w okularach, przysiadł się do

Steinera.

– Coś taki ponury, Norb? – zagadnął.

– Mają zamknąć Obóz B-G – odparł Steiner.

– No i dobrze – powiedział właściciel „Red Fox”. – Nie potrzebujemy tych potworków na Marsie. Robią nam złą reklamę.

– Zgadzam się. Przynajmniej do pewnego stopnia.

– Albo te dzieci z foczymi płetwami w latach sześćdziesiątych w Niemczech, co to się takie urodziły od lekarstw. Powinni byli je wszystkie wykończyć. Jest całe mnóstwo zdrowych, normalnych dzieci. Po co było tamte oszczędzać? Gdybyś miał dzieciaka z dodatkowymi rękami albo w ogóle bez rąk, albo powykręcanego w inny sposób, nie chciałbyś chyba zachować go przy życiu?

– Nie – odparł Steiner.

Nie powiedział, że brat jego żony na Ziemi miał fokomelię. Urodził się bez rąk i posługiwał sztucznymi, które zaprojektowała dla niego kanadyjska firma specjalizująca się w produkcji protez.

Jak dotąd nie zwierzał się korpulentnemu mężczyźnie. Pił piwo i wlepił wzrok w stojące za barem butelki. Nie lubił tego człowieka i nigdy nie opowiedział mu o Manfredzie. Znał jego głęboko zakorzenione uprzedzenia. I wiedział, że właściciel „Red Fox” nie jest wyjątkiem. Nie czuł nawet do niego niechęci. Po prostu był zmęczony i nie chciał wdawać się w dyskusję.

– Od tego się wszystko zaczęło – mówił dalej właściciel. – Te dzieci urodzone w latach sześćdziesiątych... ciekawe, czy są jakieś w Obozie B-G... Ja tam nigdy nie byłem i nigdy moja noga tam nie postanie.

– Dlaczego niby miałyby być w B-G? – zapytał Steiner. – Trudno je nazwać anormalnymi, anormalny to jednak jeszcze człowiek.

– Oj, tak – przyznał mężczyzna. – Wiem, o co ci chodzi. W każdym razie gdyby je wykończyli wiele lat temu, nie byłoby teraz takich miejsc jak B-G. Moim zdaniem, istnieje oczywisty związek między tymi stworami z lat sześćdziesiątych i potworkami z B-G, które niby rodziły się takie z powodu napromieniowania. A tak naprawdę to sprawka zdegenerowanych genów, może nie? Co do tego naziści mieli rację. Już w 1930 widzieli potrzebę wytepienia niższych genetycznie ras. Widzieli...

– Mój syn – zaczął Steiner i zamilkł. Uświadomił sobie, co powiedział. Korpulentny człowieczek wbił w niego wzrok. – Mój syn też tam jest – dokończył wreszcie – i znaczy dla mnie tyle, ile twój syn dla ciebie. Wiem, że kiedyś pojawi się znowu na świecie.

– Pozwól, że postawię ci drinka – zaproponował właściciel. – Jest mi strasznie przykro, że mówiłem w ten sposób.

– Jeśli zamkną B-G, to będzie nieszczęście dla nas, rodziców tych dzieci. Nie mogę sobie

tego wyobrazić.

– Rozumiem cię. Wiem, co czujesz.

– Skoro wiesz, jesteś ode mnie lepszy – rzekł Steiner – bo ja sam nie wiem, co czuję. – Odstawił pustą szklankę i zsunął się ze stołka. – Dziękuję za drinka. Wybacz, ale muszę już iść.

– Złapał ciężkie walizki.

– Przychodziłeś tutaj przez cały czas – powiedział właściciel – i często rozmawialiśmy o tym obozie, a ty nigdy mi nie powiedziałeś, że masz tam syna. To nie w porządku.

Widać było, że jest zły.

– Dlaczego?

– Do diabła! Gdybym wiedział, nie mówiłbym tego wszystkiego. Sam sobie jesteś winny, Norbert. Mogłeś mi powiedzieć, ale specjalnie tego nie zrobiłeś. Nie podoba mi się to ani trochę.

Jego twarz była czerwona z oburzenia. Steiner z walizkami w rękach wyszedł z baru.

– Mam dziś pecha – powiedział do siebie na głos. – Ze wszystkimi się pokłóciłem. Następnym razem będę musiał ich przeproszać... jeśli tu jeszcze wrócę. A wrócić muszę, interesy... I będę musiał wstąpić do Obozu B-G, nie mam wyjścia.

Nagle przyszło mu na myśl, że powinien ze sobą skończyć. Ten zamiar zawsze czaił się gdzieś w jego umyśle i decyzja już jakby zapadła. To było proste – mógł się rozbić kopterem.

„Jestem cholernie zmęczony byciem Norbertem Steinerem – pomyślał. – Nie prosiłem się na świat, żeby być Norbertem Steinerem albo żeby sprzedawać na czarnym rynku, albo robić coś podobnego. Czy jest jakiś powód, bym nadal żył? Mam dwie lewe ręce, niczego nie potrafię zrobić. Nie umiem też ruszać głową. Jestem pospolitym handlarzem. Mam dość pogardy ze strony mojej żony, bo nie umiem się obchodzić z urządzeniami do przechowywania wody. Mam dość Otta, którego musiałem zatrudnić, bo jestem bezradny nawet we własnym przedsiębiorstwie. Właściwie dlaczego miałbym czekać, aż znajdę się w powietrzu?”

Ulicą zbliżał się właśnie ogromny, ryczący piaskobus. Jechał do Nowego Izraela z jakiejś innej osady. Steiner odstawił walizki i wybiegł na ulicę, prosto pod jego koła.

Pojazd zatrąbił. Pisnęły hamulce. Ruch na ulicy zamarł. Steiner biegł przed siebie ze spuszczoną głową i zamkniętymi oczami. Otworzył je dopiero w ostatniej chwili, gdy ryk klaksonu stał się tak głośny, że pękały mu bębunki w uszach. Ujrzał kierowcę, który wytrzeszczał na niego oczy, dostrzegł kierownicę i numer na czapce kierowcy. I wtedy...

W solarium Obozu B-G panna Milch usłyszała wycie syren. Grała właśnie na pianinie *Taniec Wieszczyki Cukrowej z Dziadka do orzechów* Czajkowskiego i przerwała.

– Pożar! – krzyknął któryś z chłopców podchodząc do okna.

Za nim podążyła reszta dzieci.

– Nie, to ambulans, panno Milch – sprostował inny chłopiec przy oknie – jedzie do

śródmieścia.

Panna Milch znowu zaczęła grać. Na dźwięk taktów dobywających się z pianina dzieci rozeszły się na swoje miejsca. Były niedźwiedziami w zoo, które skakały i brykały, żeby dostać orzeszki. Z tym miała im się kojarzyć muzyka. Panna Milch poleciła im odegrać scenkę.

Manfred stał na stronie, obojętny na muzykę, zadumany, ze spuszczoną głową. Kiedy przez chwilę wycie syren stało się bardzo głośne, chłopiec podniósł głowę. Panna Milch zauważyła to, westchnęła i szepnęła coś błagalnie. Chłopiec usłyszał! Mocniej uderzyła w klawisze pianina. Przepęłniała ją duma i radość. Ona i lekarze mieli rację – poprzez dźwięk został nawiązany kontakt z chłopcem. Manfred powoli podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Wpatrywał się w domy i leżące w dole ulice. Szukał źródła dźwięku, który Przyciągnął jego uwagę.

„A więc są jakieś szansę – pomyślała panna Milch. – Niech tylko dowie się o tym jego ojciec! Nigdy nie wolno tracić nadziei.”

Grała dalej. Głośno i radośnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dawid Bohlen przykucnął w kącie ogrodu warzywnego i zabrał się za budowanie tamy z wilgotnej ziemi. Było ciepłe popołudnie. Nagle chłopiec zobaczył policyjny kopter, który wylądował przed domem Steinerów. Od razu wiedział, że stało się coś złego.

Z koptera wysiadł policjant ONZ ubrany w niebieski mundur i lśniący hełm. Ruszył ścieżką wiodącą do frontowych drzwi domu Steinerów. Pozdrowił dwie małe dziewczynki, które wyszły mu na spotkanie. Potem rozmawiał z panią Steiner. Wreszcie wszedł do domu i drzwi się za nim zamknęły.

Dawid zerwał się na równe nogi i wybiegł z ogrodu. Minął zwały piasku, przeskoczył przez kanał i przebiegł grządkę, na której pani Steiner bezskutecznie usiłowała wyhodować bratki. Za rogiem domu natknął się na jedną z córek Steinerów. Dziewczynka była blada na twarzy i machinalnie oskubywała łodygę jakiegoś zielska. Wyglądała tak, jakby zaraz miała wymiotować.

– Hej, co się stało? – zapytał. – Dlaczego policjant rozmawia z twoją mamą?

Dziewczynka spojrzała na niego i uciekła.

„Założę się, że wiem, o co chodzi – pomyślał Dawid. – pana Steinera aresztowano, bo zrobił coś sprzecznego z prawem. – Z podniecenia podskoczył kilka razy w miejscu. – Ciekawe, co on zrobił.”

Odwrócił się i pobiegł z powrotem. Znowu przeskoczył przez kanał z wodą i pognął do domu.

– Mamo! – krzyczał biegnąc z pokoju do pokoju. – Pamiętasz, jak ty i tata zawsze mówiliście, że pan Steiner jest na bakier z prawem, to znaczy pracuje na czarno? Wiesz, co się stało?

Nie mógł nigdzie znaleźć matki. Pomyślał, że pewnie poszła do kogoś z wizytą. Na przykład do pani Henessy, do której szło się kawałek pieszo wzdłuż kanału. Matka często spędzała dnie na wizytach u innych pań. Piła kawę i plotkowała.

– Cóż, mama wiele straci – stwierdził Dawid. Podbiegł do okna, żeby niczego nie przegapić.

Policjant i pani Steiner wolnym krokiem szli w kierunku policyjnego koptera. Pani Steiner przyciskała do twarzy wielką chustkę, a policjant trzymał ją za ramię, jakby był jej krewnym czy kimś w tym rodzaju. Urzeczony Dawid patrzył, jak oboje wsiadają do koptera. Dziewczynki Steinerów z dziwnym wyrazem twarzy skupiły się w małą grupkę. Podszedł do nich policjant i przez chwilę z nimi rozmawiał, po czym wrócił do koptera. Zauważył Dawida. Dał mu znak ręką, żeby wyszedł z domu, i wystraszony Dawid posłuchał. Mrużąc oczy od słońca powolutku zbliżył się do policjanta w lśniącym hełmie, opasce na ramieniu i z pistoletem u pasa.

– Jak się nazywasz, synku? – spytał policjant z obcym akcentem.

– Dawid Bohlen.

Chłopcu drżały kolana.

– Czy matka albo ojciec są w domu?

– Nie – odparł Dawid – tylko ja.

– Gdy przyjdą rodzice, powiedz im, żeby zajęli się dziećmi państwa Steinerów, dopóki nie wróci pani Steiner. – Policjant włączył silnik. Śmigła koptera zaczęły wirować. – Zrobisz to, o co cię proszę, Dawid? Zrozumiałeś?

– Tak, proszę pana – odpowiedział chłopiec.

Zauważył, że opaska policjanta miała kolor niebieski, co znaczyło, że był Szwedem. Chłopiec znał wszystkie znaczki identyfikacyjne, które nosiły różne jednostki ONZ. Zastanawiał się, jak szybko może lecieć kopter policyjny. Pojazdy służb specjalnych były bardzo szybkie i Dawid żałował, że nie może nim polecieć. Nie bał się już policjanta. Chciał nawet trochę dłużej z nim porozmawiać. Jednak kopter już podrywał się do lotu. W Dawida uderzył wiatr i tumany kurzu. Musiał się odwrócić i osłonić twarz rękami. Cztery dziewczynki Steinerów nadal stały w gromadce i milczały. Jedna z nich, najstarsza, płakała. Po jej policzkach spływały łzy, ale dziewczynka nie szlochała. Najmłodsza, która miała dopiero trzy lata, nieśmiało uśmiechnęła się do Dawida.

– Chcecie mi pomóc przy budowie tamy? – zawołał do nich. – Możecie przyjść, policjant się zgodził.

Pierwsza podeszła do niego najmłodsza, a za nią pozostałe.

– Co zrobił twój tata? – zapytał Dawid tę, która płakała. Była od niego starsza, miała dwanaście lat. – Policjant mówił, że możesz mi powiedzieć – dodał.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Wlepiała tylko w niego wzrok.

– Jeśli mi powiesz – odezwał się Dawid – ja nikomu nie wygadam. Obiecuję, że zachowam to w tajemnicy.

Sylwia Bohlen opalała się na patio June Henessy. Zazdrościła jej takiego luksusu. Sącząc mrozoną herbatę, sennie wymieniała uwagi z gospodynią. Z głębi domu docierały dźwięki radia. Nadawano popołudniowe wiadomości.

Leżąca obok June uniosła się na łokciach.

– Słuchaj, czy to nie o twoim sąsiedzie? – zapytała.

– Ciii... – uciszyła ją Sylwia uważnie słuchając komunikatu.

Jednak niczego więcej nie powiedziano. Była jedynie krótka wzmianka: Norbert Steiner, sprzedawca zdrowej żywności, popełnił samobójstwo w centrum Nowego Izraela, rzucając się pod piaskobus. To z pewnością ten Steiner, ich sąsiad. Wiedziała od razu.

– Straszne – rzekła June. Usiadła i zapięła bawełniany opalacz w groszki. – Widziałam go zaledwie parę razy, ale...

– To był okropny mały człowieczek – przerwała jej Sylwia. – Nie dziwi mnie, że to zrobił.

Mimo to była poruszona. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Czwórka dzieci! Zostawił ją z czwórką dzieci! Czy to nie straszne? – powiedziała wstając z miejsca. – Co z nimi będzie? Są tacy bezradni.

– Słyszałam – powiedziała June – że on robił jakieś interesy na czarnym rynku. Wiedziałas o tym? Może zrobili na niego nagonkę?

– Pójdę teraz do domu. Zobaczę, czy mogę coś zrobić dla pani Steiner. Może zaopiekuję się dziećmi...

„Czy to moja wina? – zastanawiała się Sylwia. – Czy zabił się, ponieważ odmówiłam im dziś rano wody? Możliwe, bo był wtedy w domu. Nie wyszedł jeszcze do pracy. Więc może to nasza wina.”

Weszła do domu, przebrała się w sypialni w luźne spodnie i bawełnianą koszulkę. June Henessy podążyła za nią.

– Tak – powiedziała June – masz rację. Wszyscy powinniśmy im pomóc w miarę swoich możliwości. Ciekawe, czy ona tutaj zostanie, czy wróci na Ziemię. Ja bym wróciła. Już teraz jestem gotowa wracać. Tutaj jest tak nudno!

Sylwia wzięła torebkę i papierosy. Pożegnała się z June i poszła do domu drogą biegnącą w dół kanału. Zdyszana przybyła na miejsce w chwili, gdy kopter policyjny wzbijał się w niebo. Sylwia była przekonana, że policja przyleciała powiadomić o wszystkim panią Steiner. Na podwórku dostrzegła Dawida i cztery dziewczynki Steinerów. Dzieci się bawiły.

– Czy zabrali ze sobą panią Steiner? – zawołała do Dawida.

Chłopiec natychmiast się podniósł i podekscytowany podbiegł do matki.

– Tak. Opiekuję się dziewczynkami.

„Tego się właśnie obawiałam” – pomyślała Sylwia.

Cztery dziewczynki nadal siedziały przy tamie. Apatycznie grzebały w błocie. Żadna z nich nie spojrzała na Sylwię i nie pozdrowiła jej. Były otępiałe pod wpływem szoku wywołanego wieścią o śmierci ojca. Jedynie najmłodsza przejawiała jakieś zainteresowanie. Prawdopodobnie nie zrozumiała, co się stało.

„Śmierć tego człowieka – pomyślała Sylwia – dotyka już innych, przenika ich swoim chłodem. – Serce zamarło jej z przerażenia. – A przecież go nie lubiłam.”

Na widok czterech dziewczynek Steinerów przeszedł ją dreszcz.

„Mam się zająć tymi kluchowatymi, nudnymi dziećmi z niższej sfery?”

Miała na to gotową odpowiedź. Wszystko w niej krzychało: Nie! Ogarnęła ją panika, ponieważ jasne było, że nie ma wyboru. Dzieci bawiły się w jej ogrodzie – miała już je u siebie.

Na szczęście najmłodsza dziewczynka spytała:

– Psze pani, możemy dostać jeszcze trochę wody do naszej tamy?

„Woda. Zawsze chcą wody – zirytowała się Sylwia. – Przyczepiają się do nas jak pijawki, jakby to była ich cecha wrodzona.”

Zignorowała dziecko i zwróciła się do syna:

– Chodź do domu, chcę z tobą porozmawiać.

Razem weszli do środka, tam dziewczynki nie mogły ich podsłuchać.

– Dawidzie – zaczęła – ich ojciec nie żyje, podali to przez radio. Dlatego przyleciała policja i zabrała panią Steiner. Powinniśmy im pomóc.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Chociaż ich nie lubimy...

– Ja lubię – przerwał jej Dawid. – Jak zginął pan Steiner? Czy miał atak serca? Czy napadli go dzicy Murzochidzi?

– Nieważne, jak zginął. Teraz musimy pomyśleć, jak pomóc dziewczynkom.

Czuła pustkę w głowie. Nie była w stanie o niczym myśleć. Wiedziała tylko, że nie chce mieć dziewczynek w swoim domu.

– Co zrobimy? – zapytała Dawida.

– Może przygotujemy lunch? Powiedziały mi, że jeszcze nie jadły. Ich matka miała go właśnie przyrządzić.

Sylwia wyszła przed dom na ścieżkę.

– Idę robić lunch – zawołała do dziewczynek. – U was w domu. Jeśli jesteście głodne, chodźcie ze mną.

Poczekala chwilę, a potem ruszyła w kierunku domu Steinerów. Kiedy obejrzała się, zobaczyła, że idzie za nią tylko najmłodsze dziecko. Najstarsza dziewczynka powiedziała zdławionym przez łzy głosem:

– Nie, dziękuję.

– Powinnyście coś zjeść – radziła Sylwia, ale odczuła ulgę. – Chodź ze mną – odezwała się do małej. – Jak masz na imię?

– Betty – odparła nieśmiało dziewczynka. – Czy mogę dostać kanapkę z jajkiem? I kakao?

– Zobaczymy, co znajdziemy w domu.

Gdy dziecko jadło kanapkę z jajkiem i piło kakao, Sylwia wykorzystała okazję, by spenetrować mieszkanie. W sypialni znalazła coś, co ją zainteresowało – zdjęcie małego chłopca z wielkimi, ciemnymi, błyszczącymi oczami i kręconymi włosami. Sprawiał wrażenie zrozpaczonego i wyglądał jak istota nie z tego, ale z jakiegoś niebiańskiego, budzącego zarazem grozę świata. Wzięła zdjęcie do kuchni i zapytała Betty, kim jest chłopiec.

– To mój brat Manfred – odpowiedziała z pełnymi ustami.

Zacząła chichotać i wydusiła jeszcze z siebie kilka niezrozumiałych słów. Sylwia domyśliła się, że dziewczynkom zabroniono opowiadania o bracie. Zaciekawiona pytała dalej:

– Dlaczego on nie mieszka z wami?

– On jest w obozie. Bo nie umie mówić.

– Tak mi przykro – odparła Sylwia i pomyślała: „Na pewno przebywa w tym obozie w Nowym Izraelu. Nic dziwnego, że dziewczynkom nie wolno o nim opowiadać. Jest jednym z anormalnych dzieci, o których się słyszy, ale których się nigdy nie widzi.”

Zrobiło jej się smutno. Skrywana tragedia w domu Steinerów! Nigdy by się nie domyśliła. To właśnie w Nowym Izraelu pan Steiner odebrał sobie życie. Niewątpliwie odwiedził swojego syna.

„W takim razie to nie ma z nami nic wspólnego” – stwierdziła w duchu i odniosła zdjęcie na miejsce. Decyzja pana Steinera spowodowana była względami osobistymi.

Odczuła ulgę.

„Dziwne – pomyślała – jak to człowiek na wieść o samobójstwie natychmiast reaguje poczuciem winy i czuje się odpowiedzialny za tragedię. Jeśli tylko nie zrobiłbym tego, a zrobił tamto... Mógłbym do tego nie dopuścić. To moja wina.”

W tym wypadku sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Sylwia była dla Steinerów kimś całkiem obcym. Nie uczestniczyła w ich życiu. Jedynie w przypływie neurotycznego poczucia winy wydało jej się, że ma z nimi coś wspólnego. Zapytała:

– Widujesz czasem brata?

– Chyba widziałam go w zeszłym roku – odpowiedziała Betty z wahaniem. – Grał w berka. I było dużo innych chłopców większych ode mnie.

Do kuchni jedna za drugą wsunęły się chyłkiem trzy pozostałe dziewczynki i stanęły przy stole. Najstarsza oznajmiła:

– Zmieniłyśmy zdanie, mamy ochotę na lunch.

– W porządku – powiedziała Sylwia – możecie mi pomóc obierać jajka. Mogłybyście zawołać Dawida? Przy okazji i on coś zje. Czy to nie zabawne: będziecie jedli wszyscy razem.

W milczeniu skinęły głowami.

Arnie Kott szedł główną ulicą Nowego Izraela. W dali dostrzegł tłum i zaparkowane przy krawężniku samochody. Zanim skręcił w kierunku sklepu z upominkami Anny Esterhazy, stanął i przez chwilę przyglądał się zbiegowisku.

– Coś się stało – rzekł do siebie. – Włamanie? Zamieszki uliczne?

Nie miał jednak czasu na dociekania. Ruszył dalej i wkrótce znalazł się przed małym, nowocześnie urządzonej sklepem, który prowadziła jego była żona. Z rękami w kieszeniach, wolnym krokiem wszedł do środka.

– Jest tu kto? – zawołał jowialnie.

Nie było odpowiedzi.

„Na pewno wyszła zobaczyć, co się stało – pomyślał Arnie. – Co za dbałość o interesy: nawet nie zamknęła sklepu!”

W chwilę później do sklepu wpadła zdyszana Anna.

– Arnie – zdziwiła się jego widokiem. – Mój Boże, wiesz, co się stało? Dopiero z nim rozmawiałam, dopiero co, nie więcej niż godzinę temu. A teraz on nie żyje.

Do jej oczu napłynęły łzy. Osunęła się na krzesło, wzięła kleenex i wytarła nos.

– To po prostu straszne – powiedziała zdławionym głosem. – I to nie był wypadek. On to zrobił rozmyślnie.

– Ach, więc stąd to zbiegowisko – powiedział Arnie. Żałował teraz, że nie przyjrzał się z bliska wypadkowi. – Kto zginął?

– Nie znałeś go. Ma dziecko w obozie, dlatego go poznałam.

Otarła łzy i przez chwilę siedziała w milczeniu, podczas gdy Arnie przechadzał się po sklepie.

– Cóż – odezwała się w końcu – masz do mnie jakąś sprawę? Miło cię znowu widzieć.

– Wysiadł mi ten przekłety koder – odparł Arnie. – Sama wiesz, jak trudno jest znaleźć przyzwoity serwis naprawczy. Przyszedłem osobiście, cóż innego mogłem zrobić. Co byś powiedziała na wspólny lunch? Zamknij na chwilę sklep.

– Dobrze, możemy zjeść coś razem – odrzekła z roztargnieniem. – Tylko umyję twarz. Czuję się tak, jakby to mnie się przytrafiło. Widziałam go, Arnie. Piaskobus dosłownie go rozjechał. Są tak ciężkie, że nie mogą się od razu zatrzymać. Chętnie coś zjem, chcę stąd na chwilę wyjść.

Pospieszyła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Wkrótce oboje wyszli na ulicę.

– Dlaczego ludzie odbierają sobie życie? – zapytała Anna. – Cały czas myślę, że mogłam temu zapobiec. Sprzedałam mu flet dla chłopca. Nie dał go synowi. Nadal miał ten flet. Widziałam, leżał obok walizek na krawężniku. Czy jego samobójstwo ma coś wspólnego z fletem? Zastanawiałam się, czy sprzedać mu flet, czy...

Przestań – przerwał jej Arnie – to nie twoja wina. Posłuchaj, jeśli człowiek ma zamiar odebrać sobie życie, nic go nie powstrzyma. Nie możesz spowodować jego samobójstwa, on ma je w sobie, to jest jego przeznaczenie. Ludzie noszą w sobie taki zamiar przez wiele lat, a potem przychodzi nagły impuls, ni stąd, ni zowąd – trach, i już, rozumiesz?

Objął ją i poklepał po ramieniu. Skinęła głową.

– My sami mamy dziecko w Obozie B-G, lecz nie jesteśmy z tego powodu załamani – mówił dalej Arnie. – To jeszcze nie koniec świata, prawda? Życie toczy się dalej. Gdzie chciałabyś pójść na lunch? Co myślisz o restauracji po drugiej stronie ulicy, o tym „Red Fox”? Może być? Zjadłbym smażone krewetki, ale, do diabła, nie widziałem ich prawie rok. Trzeba

jednak jakoś rozwiązać problem transportu, bo inaczej nikt już nie wyemigruje na Marsa.

– Tylko nie „Red Fox” – odparła Anna. – Nie znoszę jej właściciela. Pójdźmy do tej nowej restauracji na rogu, jeszcze nigdy tam nie jadłam. Podobno jest niezła.

Kiedy siedzieli przy stole, czekając na realizację zamówienia, Arnie ciągnął dalej swoje rozważania.

– Gdy się słyszy o samobójstwie, jednego można być pewnym: gość wie, że nie jest pożytecznym członkiem społeczeństwa. Do samobójstwa doprowadza go prawda, jakiej dowiadyuje się o sobie, świadomość, że nikomu na nim nie zależy. Jeśli czegoś jestem pewny, to właśnie tego. Natura pozbywa się zbędnych jednostek ich własnymi rękami. Więc wiadomość o czymś samobójstwie nie spędza mi snu z powiek. Nie uwierzyłabyś, ile tak zwanych naturalnych zgonów na Marsie w rzeczywistości okazuje się samobójstwem. Tu środowisko jest nieprzyjazne i odbywa się selekcja nieprzystosowanych.

Anna Esterhazy skinęła głową, ale chyba nie było jej lżej.

– Ten facet... – mówił dalej Arnie.

– Steiner – powiedziała Anna.

– Steiner! – Arnie wytrzeszczył oczy. – Norbert Streiner, handlarz czarnorynkowy? – wyrwało mu się.

– Sprzedawał zdrową żywność.

– To on!

Kott na chwilę zaniemówił. Och nie, tylko nie Steiner! Dobry Boże, wszystkie towary miał od Steinera, był całkowicie od niego uzależniony.

Pojawił się kelner z zamówieniem.

– To okropne – powiedział Arnie – naprawdę okropne. Co mam robić?

Za każdym razem, gdy wydawał przyjęcie, gdy zapraszał dziewczynę na miłą kolację we dwoje, na przykład Marty albo, zwłaszcza ostatnio, Doreen... Psiakrew! Samobójstwo Steinera i uszkodzenie dyktafonu... To było za dużo jak na jeden dzień!

– Nie sądzisz – spytała Anna – że to może mieć coś wspólnego z jego niemieckim pochodzeniem? Niemców spotkało nieszczęście, gdy na skutek zatrucia lekami urodziły się dzieci z płetwami. Rozmawiałam z kilkoma Niemcami, którzy otwarcie twierdzili, że to była kara boska za czyny, jakich dopuścili się naziści. Przy czym uważali tak nie ludzie religijni, ale zwykli biznesmeni, jeden tutaj na Marsie i kilku w Domu.

– Ten chrzaniony dupek Steiner! – klął Arnie. – Kapuściany głąb!

– Jedz, Arnie.

Anna zaczęła rozwijać serwetkę.

– Zupa wygląda zachęcająco.

– Odechciało mi się jeść. Nie chcę tej lury.

Odsunął talerz.

– Zachowujesz się jak duże dziecko – powiedziała Anna. – Bez przerwy grymasisz – dodała miękko, współczującym głosem.

– Kurde mol! – warknął. – Czasami czuję się tak, jakbym dźwigał na sobie ciężar całej planety, a ty nazywasz mnie dzieckiem!

Spojrzał na Annę z nienawiścią, jakby spotkała go z jej strony zniewaga.

– Nie wiedziałam, że ten Norbert Steiner miał związek z czarnym rynkiem – odparła Anna.

– Pewnie, że nie wiedziałas. Ani ty, ani te twoje kobiece organizacje! Jakie wy macie pojęcie o świecie! Dlatego tu przyleciałem. Przeczytałem ostatnie ogłoszenie, jakie dałyście w „Timesie”, i wydało mi się bardzo podejrzanе, przestańcie wypisywać takie bzdury. Odstraszą inteligentnych ludzi. Są dobre tylko dla takich dziwaczek jak wy.

– Proszę cię, uspokój się i jedz – powiedziała Anna.

– Zamierzam przysłać wam człowieka z zarządu, żeby przeglądał wasze materiały, zanim je upowszechnicie. Zawodowca.

– Czyżby? – spytała łagodnie.

– Mamy rzeczywiście problem. Nie przylatują do nas z Ziemi uzdolnieni ludzie, ludzie, jakich potrzebujemy. Jest coraz gorzej, każdy o tym wie. Kończymy się.

– Ktoś zajmie miejsce pana Steinera – powiedziała Anna z uśmiechem. – Na pewno znajdą się inni spekulanci.

– Celowo zmieniasz sens moich wypowiedzi, żebym wyszedł na ograniczonego i pazernego, podczas gdy naprawdę jestem jedną z najbardziej odpowiedzialnych osób, które realizują projekt kolonizacji Marsa. Nasze małżeństwo rozpadło się dlatego, że ty z zazdrości i skłonności do rywalizacji pomniejszałaś moją rolę. Sam nie wiem, po co tu dzisiaj przyleciałem. Ty nie potrafisz rozwiązać żadnego problemu, dyskutować racjonalnie, zawsze robisz przytyki osobiste!

– Czy wiesz, że ONZ ma projekt zamknięcia Obozu B-G? – zapytała spokojnie Anna.

– Nie.

– Czy to cię nie niepokoi?

– Psiamać! Zapewnimy Samowi prywatną indywidualną opiekę.

– A co będzie z innymi dziećmi?

– Znowu zmieniasz temat – powiedział Arnie. – Słuchaj, Anno, musisz ustąpić temu, co nazywasz męską dominacją, i pozwolić moim ludziom redagować twoje ogłoszenia. Na Boga, one czynią więcej zła niż pożytku. Przykro mi to mówić, ale taka jest prawda. Zamiast być przyjacielem, stajesz się wrogiem, biorąc pod uwagę to, jak zabierasz się do rzeczy. Jesteś dyletantką! Jak większość kobiet. Jesteś nieodpowiedzialna.

Dyszał z wściekłości. Twarz Anny pozostała nieporuszona. To, co powiedział, nie zrobiło na niej wrażenia.

– Czy będziesz nalegał, aby nie zamknęli B-G? – zapytała. – Możemy zawrzeć układ. Chciałabym, żeby obóz pozostał otwarty.

– Mam im wytoczyć sprawę sądową? – spytał Arnie ze złością.

– Tak.

– Chcesz szczerzej odpowiedzi?

Skinęła głową, chłodno patrząc mu w oczy.

– Zawsze żałowałem, że Żydzi założyli ten obóz.

– Dzięki ci, szczerzy do bólu Arnie Kotcie, przyjacielu ludzkości – powiedziała Anna.

– Obóz mówi całemu światu, że mamy tutaj na Marsie świrów. Daje wszystkim do zrozumienia, że jeśli człowiek przemierzy przestrzeń kosmiczną, aby tu dotrzeć, może sobie uszkodzić organy rozrodcze i spłodzić potwora, przy którym ci niemieccy ludzie z płetwami będą wyglądali jak twoi sąsiedzi.

– Jak na przykład ty i właściciel „Red Fox”.

– Po prostu staram się być trzeźwym realistą. Walczymy o życie. Ludzie muszą do nas emigrować, w przeciwnym razie cały plan kolonizacji Marsa okaże się poronionym pomysłem. Dobrze o tym wiesz. Gdybyśmy nie mieli obozu B-G, moglibyśmy ogłosić, że z dala od atmosfery ziemskiej skażonej przez doświadczenia z bombą wodorową nie rodzą się anormalne noworodki. Miałem taką nadzieję, ale B-G wszystko psuje.

– Nie B-G. Same noworodki.

– Gdyby nie było B-G – upierał się Arnie – nikt nie mógłby nam udowodnić, że żyją tu anormalne dzieci.

– Powiedziałbyś tak wiedząc, że to kłamstwo? Ukryłbyś prawdę i powiedział ludziom na Ziemi, że tutaj będą bezpieczniejsi...

– Pewnie, że tak – przyznał Arnie.

– To... niemoralne.

– Nie. Słuchaj, to ty jesteś niemoralna, ty i te twoje panie. Jeśli zachowacie Obóz B-G, to...

– Przestańmy się kłócić. I tak nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Zjedźmy. A potem wracaj do Lewistown. Mam już tego dość.

Jedli w milczeniu.

Doktor Milton Glaub, członek zespołu psychiatrycznego w Obozie B-G, oddelegowany do pracy w Zjednoczeniu Transportu Międzyplanetarnego, siedział sam w swoim gabinecie. Wrócił z B-G, na dzisiaj skończył już dyżur w obozie. Trzymał w dłoni rachunek za naprawę dachu swojego domu wykonaną w zeszłym miesiącu. Początkowo chciał odłożyć remont. Z powodu piasku gromadzącego się na dachu prace wymagały użycia zgarniarki. Jednak w końcu nadzorca budynku wysłał mu nakaz opuszczenia mieszkania w ciągu trzydziestu dni. W tej sytuacji Glaub

zawarł umowę z firmą konserwującą dachy. Wiedział, że nie będzie mógł im zapłacić, lecz nie widział innego wyjścia. Był splukany. To był najgorszy miesiąc w jego życiu.

Gdyby tylko jego żona, Jean, mogła mniej wydawać! Jednak nie tu należało szukać rozwiązania. Trzeba było po prostu przyjmować więcej pacjentów. ZTM wypłacało mu miesięczną pensję, ale za każdego pacjenta otrzymywał dodatkowe pięćdziesiąt dolarów premii, tak zwany dodatek motywacyjny. W rzeczywistości dodatek ten był warunkiem jego względnej stabilizacji finansowej. Nikt, kto ma żonę i dzieci, nie może żyć z pensji oferowanej psychiatrom, a ZTM było powszechnie znane z liczenia się z każdym groszem.

Mimo to doktor Glaub nadal mieszkał w osadzie ZTM. Żyła tam przyzwoita społeczność, pod wieloma względami przypominająca Ziemian. Nowy Izrael, podobnie jak inne narodowościowe osady, wykazywał tendencję do niepohamowanego rozwoju.

Prawdę mówiąc, doktor Glaub mieszkał kiedyś w innej kolonii narodowościowej – Zjednoczonej Republice Arabskiej. Zajmowała wyjątkowo urodzajny teren. Rosło tam wiele roślin uprawnych sprowadzonych z Domu. Ciągła wrogość osadników wobec sąsiednich kolonii początkowo irytowała Glauba, a później zaczęła go przerażać. Podczas pracy ludzie rozpamiętywali wyrządzone im krzywdy, najbardziej czarujące osoby wybuchwały, kiedy poruszano pewne tematy. W nocy zaś wrogość przybierała konkretną postać. Narodowościowe kolonie żyły dla nocy. Wtedy laboratoria badawcze, które za dnia służyły eksperymentom naukowym i postępowi, udostępniano ludziom z ulicy i konstruowano maszyny piekielne. Wszystko odbywało się w wielkiej euforii i poczuciu dumy narodowej.

„Mam ich gdzieś – pomyślał doktor Glaub. – Zmarnowali sobie życie. Po prostu przenieśli tutaj dawne spory z Ziemi i zapomnieli o celu kolonizacji.”

Na przykład dzisiaj rano przeczytał w gazecie ONZ o zamieszkach ulicznych w osadzie elektryków. Z artykułu wynikało, że odpowiedzialna za nie była pobliska kolonia Włochów, kilku napastników miało długie nawoskowane włosy modne w tej kolonii...

Pukanie do drzwi przerwało jego rozmyślenia.

– Proszę – powiedział chowając rachunek do szuflady biurka.

– Czy możesz przyjąć współobywatela Purdy? – spytała jego żona, otwierając drzwi jak zawodowa sekretarka. Doktor Glaub zdążył ją tego nauczyć.

– Poproś współobywatela Purdy do środka – odparł. – Ale poczekaj kilka minut, żebym mógł przeczytać jego historię choroby.

– Jadłeś lunch? – zapytała Jean.

– Oczywiście. Każdy jada lunch.

– Wyglądasz mizernie – powiedziała.

„To niedobrze” – pomyślał doktor Glaub.

Poszedł do łazienki, gdzie starannie przyciemnił twarz pudrem w kolorze karmelu, który

właśnie był w modzie. To poprawiło wygląd, lecz samopoczucie pozostało bez zmian. Filozofia używania pudru wzięła się stąd, że ludzie należący do kręgów rządzących ZTM pochodzili z Hiszpanii i Puerto Rico i czuli się onieśmieleni, gdy ich podwładny miał jaśniejszą skórę. Reklamy nie ujmowały tego w ten sposób, zwracały jedynie uwagę pracowników najemnych z osady na fakt, że klimat Marsa sprawia, iż skóra traci naturalną karnację i staje się niezdrowo blada.

Teraz Glaub mógł już przyjąć pacjenta.

– Dzień dobry, współobywatelu Purdy.

– Dobry, doktorze.

– Z pańskiej kartoteki wynika, że jest pan piekarzem.

– Zgadza się.

Nastąpiła chwila milczenia.

– W czym mogę panu pomóc?

Współobywatel Purdy wlepił wzrok w podłogę i miętosił czapkę.

– Nigdy jeszcze nie byłem u psychiatry...

– Tak, wiem na podstawie historii choroby, że pan nie był.

– To przyjęcie, które urządza mój szwagier... Nie bardzo lubię chodzić na przyjęcia.

– Czy ktoś nalega, by pan tam poszedł?

Doktor Glaub dyskretnie nastawił zegarek, który zaczął odmierzać przysługujące współobywatelowi pół godziny.

– Urządzają to przyjęcie głównie z mojego powodu. Oni chcą, hmm, żebym wziął siostrzeńca na praktykę, aby w końcu został przyjęty do związku. A ja – mamrotał dalej Purdy – całą noc myślałem, jak się od tego wykręcić. Wie pan, to moi krewni i raczej nie wypada im tak po prostu odmówić. Ale zwyczajnie nie mogę tam iść. Nie czuję się na siłach. Dlatego tu przyszedłem.

– Rozumiem – powiedział doktor Glaub. – Dobrze, proszę mi podać szczegóły dotyczące tego przyjęcia: kiedy i gdzie ma się odbyć, nazwiska osób, które je urządza, żebym mógł dobrze spełnić swoje zadanie.

Purdy z ulgą wsadził rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnął starannie napisany dokument.

– Jestem ogromnie wdzięczny, że pan tam za mnie pójdzie, doktorze. Wy, psychiatrzy, naprawdę zdejmujecie człowiekowi ciężar z barków. Wcale nie żartuję – nie mogłem przez to spać po nocach.

Patrzył z nabożną czcią i wdzięcznością na siedzącego przed nim człowieka, orientującego się doskonale w społecznych niuansach i umiającego pewnie kroczyć wąską, niebezpieczną ścieżką skomplikowanych relacji międzyludzkich. Wielu członkom zjednoczenia to nie wychodziło.

– Proszę się więcej o to nie martwić – powiedział doktor Glaub.

„Czymże w końcu jest lekka schizofrenia? – pomyślał. – Właśnie na to pan cierpi. Uwolnię pana od ciężaru kontaktów społecznych i będzie pan mógł nadal żyć w stanie chronicznego nieprzystosowania, przynajmniej przez kilka miesięcy. Dopóki nie pojawi się następne przytłaczające żądanie, które przerośnie pańskie ograniczone możliwości...”

Kiedy współobywatel Purdy opuścił gabinet, doktor Glaub doszedł do wniosku, że na Marsie rozwinęła się bardzo rozsądna forma psychoterapii. Zamiast leczyć chorego z jego fobii, psychiatra stał się kimś w rodzaju prawnika, rzecznikiem pacjenta w...

– Milt, jest do ciebie telefon z Nowego Izraela – zawołała Jean. – Dzwoni Bosley Touvim.

„O, Boże!” – pomyślał doktor Glaub.

Touvim był prezydentem Nowego Izraela. Musiało się stać coś złego. Szybko podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu.

– Tu doktor Glaub.

– Doktorze – zabrzmiał mroczny, surowy głos. – Mówi Touvim. Mamy tu śmiertelny wypadek. Chodzi o pańskiego pacjenta, jeśli dobrze zrozumiałem. Czy mógłby pan przylecieć i zająć się sprawą? Pozwoli pan, że podam kilka bliższych szczegółów... Norbert Steiner, Niemiec...

– On nie jest moim pacjentem, panie prezydencie – przerwał mu Glaub. – Natomiast jego syn przebywa w Obozie B-G. Jest dzieckiem autystycznym. To znaczy, że Steiner nie żyje? Na miłość boską, dopiero co dziś rano z nim rozmawiałem! Jest pan pewny, że to ten właśnie Steiner? Skoro tak, mam jego kartotekę, kartotekę całej jego rodziny. Założyłem ją ze względu na charakter choroby chłopca. Uważamy, że w przypadku autyzmu dziecięcego należy poznać sytuację rodzinną, zanim przystąpi się do terapii. Oczywiście, zaraz tam będę.

– Wszystko wskazuje na to, że popełnił samobójstwo – powiedział Touvim.

– Nie mogę w to uwierzyć – odparł doktor.

– Pół godziny temu rozmawiałem z personelem Obozu B-G. Powiedziano mi, że odbył pan ze Steinerem długą rozmowę na krótko przed opuszczeniem przez niego obozu. Podczas śledztwa nasza policja będzie chciała się dowiedzieć, czy Steiner wykazywał objawy przygnębienia lub chorobliwie introspekcyjnego nastroju, a jeżeli tak, to jakie. Czy powiedział coś, co dawało szansę wyperswadowania mu Jego zamiaru lub zmuszenia go do poddania się terapii? Rozumiem, że Steiner nie powiedział niczego, co wzbudziło pańskie podejrzenia.

– Nic takiego nie powiedział – odparł Glaub.

– W takim razie na pańskim miejscu bym się nie martwił. Proszę jedynie przygotować portret psychologiczny tego człowieka... przedstawić ewentualne motywy, które sprawiły, że odebrał sobie życie, rozumie pan.

– Dziękuję, panie Touvim – rzekł doktor Glaub słabym głosem. – Możliwe, że był

przygnębiony z powodu swojego syna. Przedstawiłem mu jednak projekt nowej terapii dla dziecka. Wiązemy z nią duże nadzieje. Sprawiał wrażenie cynicznego, zamkniętego w sobie. Nie zareagował tak, jak się spodziewałem. Ale żeby zaraz samobójstwo!

„Co będzie, gdy stracę etat w B-G? – zastanawiał się. – Nie mogę do tego dopuścić.”

Wynagrodzenie za godziny przepracowane w obozie stanowiło znaczącą pozycję w jego budżecie, chociaż nie zapewniało mu bezpieczeństwa finansowego. Czekał z B-G przynajmniej dawał mu nadzieję, że kiedyś to bezpieczeństwo osiągnie.

„Czy temu idiocie Steinerowi nie przyszło do głowy, jaki wpływ będzie miała jego śmierć na innych? Na pewno o tym pomyślał. Zabił się, żeby się na nas zemścić. Chciał się odegrać, ale za co? Za to, że próbowaliśmy wyleczyć jego dziecko? To bardzo poważna sprawa – uświadomił sobie nagle. – Samobójstwo i to wkrótce po rozmowie z lekarzem. Bogu dzięki, że pan Touvim mnie ostrzegł. Cóż, gazety to podchwycą, a ci wszyscy, którzy domagają się zamknięcia Obozu B-G, skorzystają z zamieszania.”

Po naprawieniu urządzeń chłodniczych na farmie mlecznej McAuliffa Jack Bohlen wrócił do koptera. Wsunął skrzynkę z narzędziami za siedzenie i połączył się ze swoim pracodawcą, panem Yee.

– Szkoła – mówił pan Yee. – Musisz tam lecieć, Jack. Wciąż nie mam pod ręką nikogo, kto mógłby zlikwidować usterkę.

– W porządku, panie Yee.

Zrezygnowany zaczął zapuszczać silnik koptera.

– Mam wiadomość od twojej żony.

– Tak?

Był zdziwiony. Pan Yee krzywym okiem patrzył, gdy do biura dzwoniły żony jego pracowników, i Sylwia dobrze o tym wiedziała. Może coś się przydarzyło Dawidowi?

– Co mówiła?

– Poprosiła naszą telefonistkę, aby ci przekazała, że wasz sąsiad, pan Steiner, odebrał sobie życie. Twoja żona zajmuje się teraz jego dziećmi. Chciała, żeby cię o tym powiadomić. Prosiła też, żebyś wrócił, o ile to możliwe, dziś wieczorem do domu, ale powiedziałem jej, że choć bardzo nam przykro, nie możemy się bez ciebie obejść. Musisz być do dyspozycji naszych klientów aż do końca tygodnia.

„Steiner nie żyje – pomyślał Jack. – Biedny nieudacznik. Cóż, może lepiej dla niego, że umarł.”

– Dziękuję, panie Yee – rzekł.

Kopter uniósł się z porośniętego anemiczną trawą pastwiska.

„To dotknie nas wszystkich i to głęboko – myślał Jack przekonany, że w tym wypadku

intuicja go nie zawodzi. – Nie sądzę, bym zamienił ze Steinerem więcej niż kilka słów naraz, a jednak w śmierci jest coś przejmującego. Jest w niej taka powaga... To przemiana tak niesamowita jak samo życie i tak samo dla nas niezrozumiała.”

Skierował kopter ku głównej kwaterze ONZ. Minał ją w drodze do ogromnego tworu, jedyne w swoim rodzaju sztucznego organizmu żyjącego własnym życiem – Szkoły Publicznej. Tego miejsca bał się bardziej niż czegokolwiek innego, z czym zetknął się poza Domem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dlaczego Szkoła Publiczna go przerażała? Kiedy przyglądał jej się z góry, wyglądała jak kaczka jajo, białe na tle ciemnej, mglistej powierzchni planety. Budynek widocznie postawiono w pośpiechu, bo nie pasował do otoczenia.

Gdy ustawił maszynę naprzeciw wejścia, na wyłożonym płytami lądowisku, zauważył, że stracił czucie w palcach, które na dodatek zbielewały jak u trupa. Wiadomy sygnał, że jest spięty. Tymczasem u Dawida, który był zabierany w to miejsce trzy razy w tygodniu razem z innymi dziećmi, szkoła nie wywoływała niepokoju. Może przyczyna tkwiła w psychice Jacka, może jego znajomość maszyn była tak duża, że nie mógł znieść panującej tu atmosfery iluzji, nie potrafił brać udziału w grze. Dla niego sztuczne twory znajdujące się w szkole nie były żywymi istotami. Nie były też martwe. Pozostawały w stanie jakby półżycia.

Jack usiadł w poczekalni i postawił obok siebie skrzynkę z narzędziami.

Wziął ze stojaka z czasopismami „Motor World” i wtedy do jego wyczulonych uszu dobiegł trzask przełącznika. Szkoła zarejestrowała jego obecność. Zapamiętała, jakie wybrał czasopismo, jak długo czytał i po co sięgnął później. Sondowała go.

Otworzyły się drzwi i pojawiła się kobieta w średnim wieku, ubrana w tweedowy kostium.

– Pan zapewne jest monterem od pana Yee? – rzekła z uśmiechem.

– Tak – odpowiedział wstając z miejsca.

– Miło mi. – Zaprosiła go gestem, by za nią poszedł. – Było sporo zamieszania w związku z jednym Nauczycielem, ale aktualnie znajduje się w fazie wyjściowej.

Szybkimi krokami szła w dół korytarza. Przytrzymała drzwi i czekała, aż Jack ją dogoni.

– To Gniewny Portier – wskazała palcem.

Jack rozpoznał Nauczyciela na podstawie tego, co opowiadał mu syn.

– Nagle się zepsuł – szepnęła mu na ucho kobieta. – Uwierzy pan? W samym środku cyklu wyszedł z krzykiem na ulicę, o mało nie zaczął wymachiwać pięściami.

– Czy dyspozytor systemu nie wie...

– Ja jestem dyspozytorem systemu – przerwała mu kobieta uśmiechając się wesoło. Jej oczy błyszczały za szklami w stalowych oprawkach.

– Rozumiem – odparł Jack. I zmartwiło go to.

– Sądzymy, że przyczyną może być to – powiedziała kobieta lub raczej poruszająca się wypustka szkoły. Podała Jackowi zwitek papieru.

Rozwinął go i zobaczył schemat przedstawiający masę lamp elektronowych, samoregulujących się na zasadzie sprzężenia zwrotnego.

– To przedstawiciel władzy, prawda? – zapytał. – Uczy dzieci poszanowania dla cudzej

własności. Bardzo sprawiedliwy typ Nauczyciela.

– Tak – zgodziła się kobieta.

Jack ręcznie wyresetował Gniewnego Portiera i włączył go na nowo. Ten trzeszczał przez chwilę, po czym poczerwieniał na twarzy, podniósł rękę i krzyknął: – Chłopcy, trzymajcie się z daleka! Zrozumiano?

Bokobrody trzęsły mu się z oburzenia, usta otwierały i zamykały. Jack Bohlen potrafił sobie wyobrazić, jak silne wrażenie mogło to wyrzucić na dziecku. On sam poczuł niechęć. A jednak ten twór był przykładem udanej maszyny uczącej. Dobrze wykonywał swoje zadanie. Współpracował z dwoma tuzinami innych tworów porozstawianych wzdłuż korytarzy szkoły jak kabiny w wesołym miasteczku. Tuż za rogiem Jack ujrzał następną maszynę uczącą. Stało przed nią kilkoro dzieci, które z szacunkiem słuchały wygłaszanej przez nią mowy.

– ...i wtedy sobie pomyślałem – mówiła poufałym tonem – czego, do licha, możemy się na tym przykładzie nauczyć. Czy któreś z was wie? Sally.

Głos małej dziewczynki:

– Hmm, no może, że w każdym jest trochę dobrego, niezależnie od tego, jak źle się zachowuje.

– A co ty powiesz, Wiktor? – indagowała dalej maszyna. – Posłuchajmy, co powie nam Wiktor Plank.

– Myślę to samo co Sally – wyjąkał chłopiec. – W głębi serca większość ludzi jest tak naprawdę dobra i można to zauważyć, jeśli tylko im się bacznie przyjrzeć. Czy tak, panie Whitlock?

A więc Jack podsłuchiwał Whitlocka. Syn często mu o tej maszynie opowiadał. To był jego ulubiony Nauczyciel. Jack przysłuchiwał się słowom maszyny i wyjmował narzędzia. Whitlock był siwowłosym panem w starszym wieku. Mówił z akcentem charakterystycznym, zdaje się, dla ludzi z Kansas... Był łagodny i pozwalał innym swobodnie wyrażać swoje opinie. Jako pobłażliwy typ maszyny uczącej nie miał w sobie nic z gburowatości i autorytatywności Gniewnego Portiera. Zdaniem Jacka łączył w sobie elementy Sokratesa i Dwighta D. Eisenhowera.

– Owce są zabawne – mówił Whitlock. – Przypomnijcie sobie, jak się zachowują, kiedy wrzucicie im za ogrodzenie coś do żarcia, na przykład kolbę kukurydzy. Wypatrzą ją z odległości kilometra – zachichotał. – Robią się bystre, gdy chodzi o to, co dla nich ważne. To pomoże nam przekonać się, czym naprawdę jest inteligencja. Nie polega ona na tym, żeby przeczytać wiele grubych książek albo nauczyć się trudnych słów... polega na tym, żeby umieć wybrać to, co jest dla nas najbardziej korzystne. Inteligentne rozwiązanie musi być użyteczne.

Jack ukląkł i zaczął odkręcać tył Gniewnego Portiera. Dyspozytor systemu przyglądał się jego pracy. Maszyna odgrywała swoją szopkę zgodnie z instrukcją nagraniem na taśmie, jednak na

każdym etapie była otwarta na zmiany, zależnie od zachowania słuchaczy. To nie był system zamknięty: porównywał odpowiedzi dzieci z zapisem na taśmie, porządkował, klasyfikował i w końcu sam odpowiadał. Na niestereotypowe reakcje nie było miejsca, ponieważ maszyna ucząca mogła rozpoznać jedynie ograniczoną liczbę kategorii. Mimo to do złudzenia przypominała żywego człowieka. Była wielkim osiągnięciem techniki.

Jej przewaga nad człowiekiem polegała na tym, że wszystko lepiej pamiętała i mogła każde dziecko traktować bardziej indywidualnie. Była raczej opiekunem niż nauczycielem. Maszyna ucząca potrafiła zajmować się nawet tysiącem uczniów, a mimo to nigdy nie myliła ich ze sobą. W stosunku do każdego dziecka jej reakcje były odmienne. Stanowiła twór mechaniczny, lecz wyjątkowo złożony. Raszyny uczące unaoczniały fakt, z którego Jack Bohlen doskonale zdawał sobie sprawę: tak zwany „sztuczny świat” Posiadał zaskakującą głębię.

A jednak Jack czuł odrazę do maszyn uczących. Cała Szkoła Publiczna miała jeden określony cel, który budził w nim instynktowny wstręt: jej zadaniem nie było dostarczanie wiedzy ani nauka, lecz urabianie ucznia zgodnie ze ściśle określonym wzorcem. Była ogniwem łączącym z dziedzictwem kulturowym i to dziedzictwo, podane na tacy, sprzedawano młodym. Naginała do niego uczniów. Miała zachować ciągłość kulturową, stąd wszelkie odchylenia od normy, które pojawiały się u dzieci, należało eliminować.

Toczyła się tu walka między zbiorową psychiką szkoły a indywidualnymi psychikami dzieci, przy czym ta pierwsza miała w ręku wszystkie atuty. Dziecko, które nie reagowało prawidłowo, uznawano za autystyczne, to znaczy za jednostkę zorientowaną według subiektywnego czynnika, który zawładnął jej poczuciem obiektywnej rzeczywistości. Takie dziecko w końcu usuwano ze szkoły i posyłano do placówki zupełnie innego typu, w której poddawano je terapii – do Obozu Ben Guriona. Dziecka tam nie uczono, lecz traktowano je jako chore.

„Autyzm – myślał Jack odkręcając tył Gniewnego Portiera – stał się pojęciem na usługach władz sprawujących rządy na Marsie. Zastąpił dawne określenie «psychopata», który swego czasu zastąpił «imbecyla moralnego», który z kolei zastąpił «obłąkanego przestępcę».”

W Obozie B-G dziecko otrzymywało nauczyciela – człowieka lub raczej terapeutę. Od czasu, gdy jego syn Dawid przekroczył próg Szkoły Publicznej, Jack czekał na złe wiadomości. Obawiał się, że wyników Dawida nie uda się dopasować do norm, za pomocą których maszyny uczące klasyfikowały uczniów. Tymczasem chłopiec uczył się z zapałem pod kierunkiem maszyn i osiągał wspaniałe wyniki. Polubił większość swoich Nauczycieli i po powrocie do domu paplał o nich pełen zachwytu. Utrzymywał dobre stosunki nawet z najsurowszymi i było jasne, że nie ma żadnych problemów. Autyzm go nie dotknął i nie było mu pisane zobaczyć B-G od wewnątrz. Jednak to nie poprawiało samopoczucia Jacka. Nic, jak twierdziła Sylwia, nie mogło poprawić jego samopoczucia. Istniały tylko dwie możliwości: Szkoła Publiczna albo Obóz B-G. Jack nie miał zaufania do żadnej z tych instytucji. Dlaczego? Tego nie wiedział.

Może dlatego, zastanawiał się kiedyś, że naprawdę istnieje coś takiego jak autyzm. To dziecięca forma schizofrenii, a na schizofrenię cierpi wielu ludzi. Schizofrenia była główną chorobą, dotykającą pręcej czy później prawie każdą rodzinę. Cierpiały na nią osoby, które nie potrafiły żyć według zasad wpajanych przez społeczeństwo. Rzeczywistość, do której nie przystawał schizofrenik lub do której nigdy nie należał, była rzeczywistością stosunków międzyludzkich, życiem w określonej kulturze z określonymi wartościami. Nie było to życie biologiczne ani życie zgodne z obyczajami przekazanymi przez przodków, lecz takie, którego należało się wyuczyć. Trzeba się go było uczyć stopniowo od otoczenia, od rodziców i nauczycieli, jednym słowem od autorytetów... Od każdego, z kim dziecko zetknęło się w okresie dojrzewania.

W takim razie w Szkole Publicznej postępowano słusznie wyrzucając dzieci, które nie chciały się uczyć. Ponieważ dziecko uczyło się tam nie tylko faktów naukowych lub jak zarobić pieniądze czy też nawet jak zrobić karierę. Chodziło o coś znacznie głębszego. Dziecko uczyło się, że pewne rzeczy w otaczającej je kulturze warto zachować za wszelką cenę. Jego wartości zlewały się w jedno z ideałami całej ludzkości. W ten sposób ono samo stawało się częścią tradycji, którą mu przekazywano. Zachowywało tę spuściznę przez całe życie, a nawet ją wzbogacało. Troszczyło się o nią. Jack doszedł do wniosku, że prawdziwy autyzm polega na podaniu w wątpliwość i lekceważeniu tego, o co zabiega społeczeństwo. Dotknięty autyzmem żyje własnym życiem, tak jakby sam był twórcą wszystkich wartości, nie zaś jedynie przechowalnią wartości odziedziczonych. Jack Bohlen nie mógł zaakceptować Szkoły Publicznej z jej uczącymi maszynami, ponieważ sam oceniał, co dla niego ma wartość, a co jej nie ma. Wartości społeczeństwa zmieniały się nieustannie, a Szkoła Publiczna była próbą ich stabilizacji, nadania im konkretnego kształtu, próbą ich zabalsamowania.

Już dawno uznał, że Szkoła Publiczna ma neurotyczny charakter. Pragnęła świata bez niespodzianek, świata kompulsywno-obsesyjnego neurotyka. To z pewnością nie był świat zdrowy.

Kilka lat temu Jack przedstawił swoją teorię żonie. Sylwia wysłuchała go z umiarkowaną uwagą, po czym powiedziała:

– Nic nie rozumiesz, Jack. Zastanów się. Są rzeczy znacznie gorsze od nerwicy.

Mówiła cichym, stanowczym głosem, a Jack słuchał.

– Dopiero zaczynamy te rzeczy poznawać. Ty je znasz, bo już raz przez nie przeszedłeś.

Przytaknął, bo wiedział, co miała na myśli. W wieku dwudziestu kilku lat przeszedł epizod psychotyczny. To było zjawisko powszechne i naturalne wśród ludzi, musiał przyznać, że także przerażające. W porównaniu z nim sztywna kompulsywno-neurotyczna Szkoła Publiczna zdawała się miejscem, z którego z wdzięcznością wraca się do ludzkości i normalnego świata. Nerwica była wytworem stworzonym przez cierpiącą jednostkę lub społeczeństwo przeżywające

kryzys. To był wynalazek wynikający z konieczności.

– Nie czepiaj się tak nerwicy – powiedziała mu Sylwia i Jack zrozumiał.

Nerwica była celowym zatrzymaniem się na drodze życia, zastąpieniem w pół kroku, ponieważ dalej... Każdy schizofrenik wie, co leży dalej. „I każdy był schizofrenik” – pomyślał Jack, kiedy przypomniał sobie swój epizod.

Dwaj mężczyźni w głębi pokoju dziwnie mu się przyglądali. Co on takiego powiedział? „Herbert Hoover był o wiele lepszym szefem FBI niż będzie nim kiedykolwiek Carrington.”

– Wiem, że to prawda – dodał.

Czuł mętlik w głowie, ale nadal popijał. Wszystko stało się ciężkie: jego ręka, szklanka. Łatwiej było patrzeć w dół niż w górę... Wpatrywał się w paczkę zapalek leżącą na stoliczku do kawy.

– Nie chodzi ci chyba o Herberta Hoovera – odezwał się Lou Notting. – Miałeś na myśli J. Edgara...

„Chryste!” – pomyślał Jack z przerażeniem.

Ależ tak, powiedział: Herbert Hoover, i wydawało mu się, że wszystko jest w porządku, dopóki nie zwrócili mu na to uwagi.

„Co się ze mną dzieje? – zastanawiał się. – Czuję się tak, jakbym za chwilę miał zasnąć.”

Tymczasem położył się wczoraj o dziesiątej i przespał prawie dwanaście godzin.

– Przepraszam – poprawił się. – Oczywiście, miałem na myśli... – poczuł, że płacze mu się język. Starannie wyartykułował: – J. Edgara Hoovera.

Mówił powoli i niewyraźnie, jakby jego głos dochodził z płyty gramofonowej puszczonej na walnych obrotach. W pewnej chwili poczuł, że nie jest w stanie podnieść głowy. Zasnął, zasnął w salonie Nottingów. Jednak oczy miał otwarte. Przekonał się o tym, kiedy bezskutecznie usiłował je zamknąć. Całą uwagę skupił na pudełku zapalek. „Przed potarciem zapalki zamknij pudełko – przeczytał. – Czy umiesz narysować takiego konia? Pierwsza lekcja bezpłatna, bez zobowiązań. Kupon wpisowy po drugiej stronie opakowania.” Patrzył tępo przed siebie, podczas gdy Lou Notting i Fred Clarke prowadzili rozmowę na abstrakcyjne tematy: ograniczenie swobód obywatelskich, mechanizmy demokracji... Słyszał bardzo wyraźnie wszystkie słowa i mógł spokojnie słuchać dalej. Nie chciało mu się jednak przyłączać do dyskusji, chociaż wiedział, że obaj nie mają racji. Pozwolił im wymienić poglądy, tak było prościej. To najzwyczajniej się działo. I niech dzieje się nadal.

– Jack jest dzisiaj nieobecny – stwierdził Clarke.

Bohlen z przerażeniem zdał sobie sprawę, że zwrócili na niego uwagę. Musi teraz coś zrobić albo powiedzieć.

– Wcale nie – zaprzeczył z ogromnym wysiłkiem. Czuł się tak, jakby wynurzał się z morza.

– Rozmawiajcie, rozmawiajcie, ja słucham.

– Siedzisz jak kukła – rzucił Notting. – Idź do domu i połóż się do łóżka, na miłość boską.

– Nigdy w życiu nie polecisz na Marsa w takim stanie – dodała żona Lou, Phyllis.

Podkręciła hi-fi. Rozbrzmiewał progresywny jazz, wibrafon i kontrabas albo może grał jakiś elektroniczny instrument. Jasnowłosa, wścibska Phyllis usiadła obok niego na kanapie i przyglądała mu się uważnie.

– Gniewasz się na nas, Jack? Jesteś taki jakiś zamknięty w sobie.

– Znowu ma humory – powiedział Notting. – Zawsze je ma, gdy jesteśmy pod ręką, zwłaszcza w sobotnie wieczory. Cichy, ponury i zasepiony. Rozmyśla. Nad czym teraz dumasz, Jack?

Pytanie wydało mu się dziwaczne. Nie myślał o niczym, jego umysł był pusty. Paczka zapalek wypełniała mu w całości pole widzenia. Niemniej musiał podzielić się z nimi tym, nad czym rozmyślał. Wszyscy na to czekali. Poczł się zobowiązany nawiązać rozmowę.

– Myślę o atmosferze na Marsie – powiedział. – Ile czasu minie, zanim się przystosuję? To zależy, każdy reaguje inaczej.

Tłumiąc ziewanie, wciągnął powietrze, które przez chwilę rozpychało mu płuca, po czym przez półotwarte usta wydostało się na zewnątrz. Z wysiłkiem zacisnął szczęki.

– Chyba już się pożegnaj – dodał. – Idę się przespać.

Z wielkim trudem stanął na nogach.

– O dziewiątej? – wykrzyknął Fred Clarke.

Później, kiedy chłodnymi, ciemnymi ulicami Oakland szedł do domu, poczuł się zupełnie dobrze. Zastanawiał się, dlaczego tak źle było mu u Nottingów. Może zbyt duszno albo za gorąco?

W każdym razie z jakiegoś powodu czuł się tam źle.

„Mars” – pomyślał.

Spalił za sobą mosty: rzucił pracę, sprzedał swojego plymoutha i wypowiedział mieszkanie. A jego zdobycie zajęło mu przecież dwa lata. Budynek należał do niedochodowej spółdzielni z West Coast. Stanowił potężną konstrukcję częściowo podziemną, złożoną z tysięcy segmentów mieszkalnych. Mieścił się w nim supermarket, pralnie, ośrodek opieki nad dziećmi, klinika, a nawet gabinet psychiatry, poniżej poziomu ulicy, gdzie ciągnęły się arkady sklepowe. Na ostatnim piętrze znajdowała się stacja radia FM, które zgodnie z życzeniem mieszkańców nadawało muzykę klasyczną. W środku mieściły się teatr i sala konferencyjna. Był to najnowszy z ogromnych budynków spółdzielczych. A Jack ze wszystkiego nagle zrezygnował. Pomysł przyszedł mu do głowy, gdy pewnego dnia stał w kolejce w należącej do budynku księgarni.

Kiedy już wypowiedział mieszkanie, zaczął spacerować korytarzami spółdzielni. Zbliżył się do tablicy z ogłoszeniami; na której wisiały przyklejone pinezkami karteczki, i odruchowo

zatrzymał się, aby je przeczytać. Mijały go dzieci biegnące na leżący za budynkiem plac zabaw. Jego uwagę przyciągnęło wydrukowane dużymi literami ogłoszenie.

POMÓŻ ROZWIJAĆ RUCH SPÓŁDZIELCZY NA NOWO SKOLONIZOWANYCH
TERENACH. FORMALNOŚCIAMI EMIGRACYJNYMI ZAJMUJE SIĘ NASZE BIURO
W SACRAMENTO ODPOWIEDZ NA APEL BIZNESMENÓW I ZWIĄZKU
EKSPLOATACJI SUROWCÓW MINERALNYCH NA BOGATYM MARSIE. ZAPISZ SIĘ
JESZCZE DZIŚ!

Ogłoszenie wyglądało jak inne ogłoszenia. Dlaczego nie miałyby się zapisać? Emigrowało wielu młodych ludzi. Co go trzymało na Ziemi? Wypowiedział mieszkanie, jednak nadal był członkiem spółdzielni, nadal miał tu swój wkład i numer.

Później, kiedy już się zapisał i przechodził badania lekarskie oraz szczepienia ochronne, kolejność zdarzeń zatarła się w jego pamięci. Twierdził, że najpierw zdecydował się polecieć na Marsa, a potem wypowiedział pracę i mieszkanie. Taka kolejność wydawała mu się bardziej racjonalna i tak przedstawił sprawę przyjaciółom. A jednak nie była to prawda. Co nią było? Blisko dwa miesiące włóczył się tu i tam, zrozpaczony i z mętlikiem w głowie. Nie był niczego pewny poza tym, że czternastego listopada jego grupa, złożona z dwustu członków spółdzielni, wylatuje na Marsa i wtedy wszystko ulegnie zmianie: zamęt zniknie i wszystko stanie się jasne, jak kiedyś w dalekiej przeszłości. Był pewny, że kiedyś potrafił utrzymać porządek *rzeczy* w czasie i w przestrzeni. Teraz z nie znanych mu powodów nastąpił poślizg w czasie i przestrzeni tak, że stracił orientację.

Jego życie nie miało żadnego celu. Przez czternaście miesięcy żył jednym wielkim pragnieniem zdobycia mieszkania w ogromnym budynku spółdzielczym, a kiedy je otrzymał, ogarnęła go pustka. Przyszłość się przed nim zamknęła. Zgodnie z upodobaniami słuchał Bacha, kupował jedzenie w supermarkecie, przeglądał książki w księgarni... I po co to wszystko? – pytał sam siebie. – Kim jestem?” Tymczasem tracił zdolność do pracy. To był pierwszy sygnał i chyba najbardziej złowróżbny. Właśnie to przeraziło go na początku.

Wszystko zaczęło się od pewnego niesamowitego zdarzenia, którego nigdy nie był w stanie do końca wyjaśnić. Najwidoczniej po części było ono czystą halucynacją, jakby snem. Pamiętał chwilę wszechogarniającej paniki, pragnienie ucieczki za wszelką cenę.

Jack pracował w firmie elektronicznej w Redwood City, na południu San Francisco. Obsługiwał maszynę, która sprawowała kontrolę jakości na linii montażowej. Jego zadanie polegało na sprawdzaniu, czy maszyna stosuje się do przyjętego zakresu tolerancji przy wytwarzaniu pewnego pojedynczego elementu – baterii z ciekłym helem nie większych od główki zapalki. Pewnego dnia został niespodziewanie wezwany do personalnego. Nie miał

pojęcia, czego mogą od niego chcieć, i kiedy wsiadał do windy, był trochę zdenerwowany. Później, jak pamiętał, był już potwornie zdenerwowany.

– Proszę wejść, panie Bohlen – powitał go personalny, przystojny mężczyzna o siwych, kręconych włosach, które prawdopodobnie były peruką. – To zajmie tylko chwilę. – Zmierzył Jacka przenikliwym spojrzeniem. – Panie Bohlen, dlaczego pan nie realizuje czeków?

Zapadła cisza.

– Nie realizuję? – zapytał Jack. Serce waliło mu jak młotem. Drżał. Chwiał się na nogach, czuł się dziwnie zmęczony. „Wydawało mi się, że zrealizowałem” – pomyślał.

– Mógłby pan sobie sprawić nowy garnitur – powiedział personalny – i powinien pójść do fryzjera. Oczywiście to wyłącznie pańska sprawa.

Jack dotknął głowy i zdziwił się. Musi przystrzyć włosy? Czy nie obcinał ich w zeszłym tygodniu? A może to było dawniej?

– Dziękuję – odezwał się. – Oczywiście, zrobię, jak pan radzi.

Kiedy Jack spojrział na personalnego, ujrzał go w innym wymiarze – martwego. I jeśli uległ halucynacji, to zdarzyło się to właśnie wtedy.

Przez skórę mężczyzny przeświecał szkielec. Kości były z sobą połączone miedzianym drutem. Obumarłe narządy wewnętrzne zastąpiły sztuczne części: nerki, serce, płuca – wszystko, wykonane z plastyku i nierdzewnej stali, zgodnie pracowało, jednak nie miało w sobie prawdziwego życia. Głos mężczyzny dobiegał z taśmy przez wzmacniacz i system głośników.

Możliwe, że kiedyś w przeszłości mężczyzna żył naprawdę, lecz teraz już na pewno nie. Zmiana następowała niepostrzeżenie, kawałek po kawałku, zdradziecko obejmowała narząd po narządzie, aż powstał twór mający zwodzić ludzi. Zwodzić Jacka Bohlena. Jack znajdował się w biurze sam, nie był z nim żaden personalny. Nikt się do niego nie odzywał, a kiedy on coś mówił, nikt nie słuchał. Stał w martwym mechanicznym pokoju.

Nie wiedział, co robić. Starał się zbytnio nie przyglądać człekopodobnemu tworowi. Starał się spokojnie i swobodnie rozmawiać o swojej pracy, a nawet o problemach osobistych. Twór go sondował, chciał się czegoś dowiedzieć. Rzecz jasna Jack powiedział mu jak najmniej. I cały czas, gdy spuszczał wzrok na dywan, widział rurki i zastawki twora, pracujące sztuczne części. Nie mógł powstrzymać się od patrzenia.

Ogarnęła go nieprzewartana chęć ucieczki. Był mokry od potu i drżał na całym ciele. Serce biło mu coraz głośniejsze.

– Bohlen – zapytał twór – źle się pan czuje?

– Tak – odparł Jack. – Czy mogę już iść do warsztatu? – Odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Chwileczkę – odezwał się twór tuż za jego plecami.

Wtedy Jacka ogarnęła panika. Szarpnął drzwi i wybiegł na korytarz.

Godzinę czy dwie później zdał sobie sprawę, że wędruje nieznanymi ulicami w Burlingame.

Nie pamiętał, co wydarzyło się od chwili, kiedy opuścił biuro, i nie miał pojęcia jak znalazł się w tym miejscu. Bolały go nogi. Widocznie przeszedł na piechotę kilka kilometrów.

Odzyskał jasność umysłu.

„Jestem schizofrenikiem – pomyślał. – Wiem o tym. Każdy zna objawy: pobudzenie katatoniczne z cechami paranoi. Spece od zdrowia psychicznego na okrągło pakują nam to do głowy, nawet dzieciom w szkole. Tak więc mamy o jednego schizofrenika więcej. Właśnie to chciał wybadać szef do spraw pracowniczych. Potrzebna mi pomoc lekarska.”

Jack odłączył od Gniewnego Portiera zasilacz i położył go na podłodze.

– Bardzo pan zręczny – powiedział dyspozytor systemu.

Jack podniósł wzrok na kobietę w średnim wieku i pomyślał: „To jasne, dlaczego boję się tego miejsca. Przypomina moje przeżycie psychotyczne sprzed lat. Czy w t e d y s p o j r z a ł e m w p r z y s z ł o ś ć ? ”

W tamtych czasach jeszcze nie było tego rodzaju szkół. A jeśli nawet istniały, Jack o tym nie wiedział, nigdy takiej szkoły nie widział.

– Dziękuję – odparł.

Od czasu pamiętnego epizodu psychotycznego w Corona Corporation Jacka dręczyło następujące pytanie: a jeśli to nie była halucynacja? Jeśli tak zwany personalnik był naprawdę tym, co widział Jack – sztucznym tworem, maszyną, jak obecne tu maszyny uczące?

Jeśli tak było, J a c k n i e p o p a d ł w p s y c h o z ę .

Zamiast psychozy miał coś w rodzaju wizji, przebłysku absolutu, tak jakby świat chwilowo odarty został z powłoki ułudy. Ta myśl była tak miażdżąca, tak bulwersująca, że wprowadzała zamęt w jego dotychczasowych poglądach. Stąd wynikło zaburzenie umysłowe.

Jack wsunął dłoń między odsłonięte przewody elektryczne Gniewnego Portiera. Z wprawą fachowca obmacywał je swoimi długimi palcami, dopóki nie znalazł tego, czego szukał: przerwanego przewodu.

– Chyba znalazłem już przyczynę awarii – powiedział do dyspozytora.

„Bogu dzięki – pomyślał – że nie mają tu przestarzałych obwodów drukowanych. Musiałbym wtedy wymieniać cały układ. Nie dałoby się go naprawić.”

– O ile wiem – powiedział dyspozytor – projektowanie Nauczycieli napotkało wiele trudności związanych z ewentualnymi naprawami. Jak dotąd dopisywało nam szczęście, nie mieliśmy żadnych długotrwałych zakłóceń w pracy naszej szkoły. Sądzę jednak, że zawsze, gdy to możliwe, wskazane jest stosowanie środków zapobiegawczych. Dlatego chciałabym, żeby pan zrobił przegląd jeszcze jednego Nauczyciela, który na razie nie zdradza przejawów awarii. Jest on niezwykle ważny dla funkcjonowania naszej szkoły jako całości. – Dyspozytor uprzejmie zamilkł na chwilę, gdy Jack usiłował wsunąć grot lutownicy między kable układu. –

Chciałabym, żeby skontrolował pan Ojczulka.

– Ojczulka – powtórzył Jack i pomyślał ironicznie: „Ciekawe, czy mają tu gdzieś jeszcze Mamuszkę? Wyborne bajeczki domowej produkcji dla maluchów.”

Zemdlilo go.

– Czy zna pan tego Nauczyciela?

Jack nigdy o nim nie słyszał. Dawid nie wspominał o Ojczulku.

Z głębi korytarza słyszał dzieci, które nadal rozmawiały z Whitlockiem o życiu. Ich głosy dobiegły go, kiedy położył się na plecach z lutownicą nad głową i wsunął rękę między przewody Gniewnego Portiera, żeby przytrzymać grot w miejscu.

– Tak – mówił Whitlock niezmaczenie spokojnym głosem – szop jest zadziwiającym stworzonkiem, nasz Szop Czyścioszek. Widywałem go wielokrotnie. A przy okazji, to całkiem duże zwierzątko, z długimi, silnymi łapkami, które są naprawdę zręczne.

– Widziałem raz szopa – zapiszczało podekscytowane dziecko. – Widziałem, panie Whitlock, i to całkiem z bliska!

„Widziałeś szopa na Marsie?” – zdziwił się Jack. Whitlock zachichotał.

– Nie, Don – powiedział – obawiam się, że nie widziałeś szopa. Tutaj ich nie ma. Musiałbyś polecieć na staruszkę Ziemię, żeby zobaczyć jedno z tych zadziwiających stworzonek. Ale teraz, dzieciaki, oto, co chciałbym wam powiedzieć. Pamiętacie wszyscy, jak nasz Szop Czyścioszek chwytą jedzenie, zanoszą je, hę, ukradkiem do wody i myje? I jak się śmieliśmy z naszego Czyścioszka, gdy kostka cukru się rozpuściła i nie zostało mu nic do jedzenia? A więc, moi drodzy, czy wiecie, że mamy Szopy Czyścioszki w tym...

– Zrobione – powiedział Jack wyciągając lutownicę. – Czy mogłaby mi pani pomóc przymocować tylną płytę?

– Spiesz się pan? – zapytała.

– Przeszkadza mi to gadanie na korytarzu – odpowiedział Jack. Był spięty i drżały mu ręce. Z trudem wykonał robotę.

W głębi korytarza trzasnęły drzwi. Głos Whitlocka zamilkł.

– Teraz lepiej? – spytał dyspozytor.

– Tak, dziękuję – powiedział Jack.

Mimo to nadal trzęsły mu się ręce. Dyspozytor to zauważył. Jack miał świadomość, że kobieta bacznie go obserwuje. Zastanawiał się, jakie wyciągnęła wnioski.

W sali, gdzie znajdował się Ojczulek, wydzielono kącik na pokój gościnny z kominkiem, kanapą, stolikiem na kawę i dużym oknem z zaciągniętymi storami. Ojczulek siedział w fotelu. Na jego kolanach leżała otwarta gazeta. Kiedy Jack Bohlen i dyspozytor weszli do środka, na kanapie siedziało kilkoro dzieci i z uwagą przysłuchiwało się wywodowi maszyny uczącej.

Dzieci ich nie zauważyły. Dyspozytor zwolnił je z lekcji i też zabierał się do wyjścia.

– Nie wiem, co mam z nim zrobić – odezwał się Jack.

– Niech pan przesłucha jego cykl do końca. Wydaje mi się, że powtarza pewne fragmenty albo się zacina. W każdym razie cykl trwa zbyt długo. Do fazy początkowej powinien wrócić mniej więcej za trzy godziny.

Za dyspozytorem zamknęły się drzwi. Jack został sam z Ojczulkiem i nie był tym szczególnie zachwycony.

– Cześć, Ojczulku – odezwał się bez entuzjazmu.

Postawił na ziemi skrzynkę z narzędziami i zaczął odkręcać tylną płytę Nauczyciela.

– Jak ci na imię, młody człowieku? – zapytał Ojczulek ciepłym, miłym głosem.

– Nazywam się Jack Bohlen – powiedział Jack odkładając płytę na podłogę. – I sam też jestem ojczulkiem. Mój syn ma dziesięć lat. Więc z łaski swojej przestań mnie nazywać młodym człowiekiem, Ojczulku.

Znowu zaczął drżeć i oblał się potem.

– Ach tak – odparł Ojczulek – rozumiem!

– Co ty tam rozumiesz? – powiedział Jack i zdał sobie sprawę, że prawie krzyczy. – Słuchaj, dokończ po prostu swój cholerny cykl, dobra? Jeśli tak ci będzie łatwiej, traktuj mnie jak małego chłopca. „Chcę tylko skończyć pracę i wynieść się stąd – pomyślał – tak szybko jak to możliwe.” Ogarnęły go ponure myśli. „Trzy godziny!” – mruknął z przerażeniem.

– Coś mi się zdaje, chłopcze – odezwał się Ojczulek – że ciężko ci dziś na sercu. Czy nie tak?

– Nie tylko dzisiaj, codziennie.

Jack włączył latarkę i poświecił nią do wnętrza Nauczyciela. Wyglądało na to, że jak dotąd mechanizm działa w porządku.

– Może mógłbym ci pomóc – mówił dalej Ojczulek. – Czasem to dobrze robi, gdy starsza, bardziej doświadczona osoba wysłucha twoich problemów i pomoże ci ujrzeć je w innym świetle.

– W porządku – odparł Jack kucając na podłodze. – Będę udawał małego chłopczyka. I tak utknąłem tu na trzy godziny. Mam opowiedzieć wszystko od początku? Od tego zdarzenia na Ziemi, gdy pracowałem w Corona Corporation i miałem okluzję?

– Zaczynaj, od czego chcesz – przyzwolił Ojczulek łaskawie.

– Wiesz, co to jest schizofrenia, Ojczulku?

– Myślę, że mam o tym całkiem niezłe pojęcie, chłopcze – odparł Ojczulek.

– To najbardziej tajemnicza choroba, jaką zna medycyna. Pojawia się u co szóstego człowieka, czyli bardzo często.

– Tak, z pewnością.

– Miałem kiedyś – wyznał przyglądając się pracy mechanizmu – to, co nazywa się okresową schizofrenią prostą. I to było paskudne.

– Wierzę ci na słowo – powiedział Ojczulek.

– Już wiem, po co tu jesteś. Wiem, do czego cię przeznaczono, Ojczulku. Jesteśmy daleko od Domu. Miliony kilometrów. Nasz związek z cywilizacją ziemską słabnie. Wielu ludzi ma porządnego pietra, bo z każdym mijającym rokiem ta więź staje się coraz bardziej znikoma. Więc założono Szkołę Publiczną, aby pokazywała dzieciom urodzonym na Marsie fragmenty zakonserwowanego ziemskiego świata. Na przykład kominek; nie mamy na Marsie kominków, ogrzewamy mieszkania piecykami atomowymi. Albo to duże okno z szybą. Od burz piaskowych stałoby się zupełnie nieprzezroczyste. Tak naprawdę nic ciebie nie łączy z naszym światem tutaj, na Marsie. Czy wiesz, kim są Murzochidzi?

– Muszę przyznać, że nie wiem, mój chłopcze. A kim są?

– Jedną z ras tubylców żyjących na Marsie. Wiesz, że jesteś na Marsie?

Nauczyciel skinął głową.

– Schizofrenia – ciągnął Jack – to jedno z najbardziej palących zagadnień, jakie kiedykolwiek napotkała ludzka cywilizacja. Mówiąc otwarcie, wyemigrowałem na Marsa z powodu epizodu schizofrenicznego, który przeżyłem, gdy miałem dwadzieścia dwa lata i pracowałem w Corona Corporation. Załamałem się psychicznie. Musiałem opuścić skomplikowane wielkomiejskie środowisko i przenieść się do mniej skomplikowanego, prymitywnego otoczenia, poza obręb cywilizacji, tam, gdzie panuje większa swoboda. Nacisk społeczny był dla mnie nie do zniesienia. Miałem do wyboru: wyemigrować albo zostać na Ziemi i zwariować do reszty. Ten budynek spółdzielni... Potrafisz sobie wyobrazić budowlę wysoką jak drapacz chmur i sięgającą jeszcze w głąb ziemi? W której mieszka tyle ludzi, że trzeba było dla nich otworzyć oddzielny supermarket? Straciłem rozum stojąc w kolejce w księgarni. Wszyscy – każdy klient w księgarni i w supermarkecie – wszyscy oni mieszkali w tym samym domu co ja. Stanowili społeczność, która mieszkała w jednym budynku. Nasze domy na Marsie to błahostka w porównaniu z budynkami, które oni pobudowali na Ziemi. I co ty na to?

– Nie do wiary – odparł Ojczulek kręcąc głową.

– Wiesz, co myślę? – mówił dalej Jack. – Szkoła publiczna i wy, maszyny uczące, wychowacie nowe pokolenie schizofreników, potomków ludzi takich jak ja, którzy dobrze się przystosowali do życia na tej nowej planecie, poprowadzicie do rozszczerzenia psychiki dzieci, bo kształtujecie w nich oczekiwanie na środowisko, którego tutaj nie ma, którego nie ma nawet na Ziemi, bo już dawno się zmieniło. Zapytaj Whitlocka, czy prawdziwa inteligencja nie jest praktyczna. Słyszałem, jakie to mówił, że inteligencja musi być narzędziem adaptacji. Prawda, Ojczulku?

– Tak, chłopcze, musi być.

– Powinieneś uczyć – zaczął Jack – jak...

– Tak, chłopcze – przerwał mu Nauczyciel – musi być.

W świetle latarki Jack ujrzał, że ześlizgnął się ząb przekładni. Powtórzyła się faza cyklu.

– Zaciąłeś się – oznajmił Jack. – Starł ci się element w kole zębatym.

– Tak, chłopcze – odparł Ojczulek – musi być.

– Masz rację – powiedział. Jack. – Tak musi być. Wszystko się w końcu zużywa, nic nie jest wieczne. Jediną stałą cechą życia jest zmienność. Czy nie?

– Tak, chłopcze, musi być.

Jack wyłączył dopływ prądu i zaczął rozbierać na części główny wał napędowy Nauczyciela, aby wyjąć zużyte koło zębate.

– A więc znalazł pan! – powiedział dyspozytor, gdy pół godziny później Jack wyszedł z sali, ocierając twarz rękawem.

– Tak – odparł.

Był wyczerpany. Jego zegarek wskazywał czwartą. Została mu jeszcze godzina pracy. Dyspozytor odprowadził go do parkingu.

– Cieszę się, że pan tak szybko przybył na nasze wezwanie – powiedział. – Podziękuję telefonicznie panu Yee.

Jack skinął głową i wdrapał się do koptera, zbyt zmęczony, żeby się pożegnać. Po chwili pojazd wzniósł się nad ziemię. Kacze jajo, czyli kierowana przez ONZ Szkoła Publiczna, coraz bardziej się oddalało, stawało się coraz mniejsze. Jack zostawił za sobą duszną atmosferę szkoły i znów mógł swobodnie oddychać.

Włączył nadajnik.

– Panie Yee, tu Jack. Skończyłem naprawę w szkole. Co dalej?

Po chwili odezwał się natrętny głos pana Yee: – Jack, dzwonił do nas pan Arnie Kott z Lewistown. Prosił, byśmy naprawili dyktafon kodujący, na którym mu bardzo zależy. Wszyscy są zajęci, więc wysyłam ciebie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Arnie Kott posiadał jedyny na Marsie klawikord. Jednak instrument nie był nastrojony, a Kott nie mógł znaleźć nikogo, kto by to umiał zrobić. Choćby stawał na głowie, był bezradny, bo na Marsa nie przybyli stroiciele klawikordów.

Od miesiąca Arnie przyuczał do tego zadania swojego oswojonego Murzochida. Murzochidzi mieli dobry słuch, a ten w dodatku zdawał się rozumieć, czego Arnie od niego chce. Heliogabalus otrzymał instrukcję posługiwania się klawiaturą, przetłumaczoną na dialekt Murzochidów. Arnie lada dzień spodziewał się uzyskać rezultaty. Na razie klawikord praktycznie nie nadawał się do grania.

Po powrocie od Anny Esterhazy Arnie Kott wpadł w ponury nastrój. Śmierć czarnorynkowego handlarza, Norberta Steinera, była dotkliwym ciosem. Arnie zdawał sobie sprawę, że aby to nadrobić, będzie musiał przedsięwziąć pewne środki, prawdopodobnie drakońskie i bezprecedensowe. Była trzecia po południu. Co mu dała podróż do Nowego Izraela? Jedynie złe wieści. Anny, jak zwykle, nie udało się do niczego przekonać. Miała zamiar nadal prowadzić swoją amatorską kampanię. Gdyby nawet stała się pośmiewiskiem całego Marsa, nie zrobiłoby to na niej wrażenia.

– Cholera jasna! – powiedział ze złością Arnie do Heliogabalusa. – Nastrój ten przeklęty instrument, bo inaczej wyrzucę cię z Lewistown. Możesz wrócić na pustynię do swoich, żeby jeść chrząszcze i korzonki.

Siedzący na podłodze obok klawikordu Murzochid skrzywił się, rzucił Arniemu Kottowi przenikliwe spojrzenie, po czym ponownie spuścił wzrok na instrukcję.

– Nic nigdy nie idzie tutaj jak należy – gderał Arnie.

Cały Mars, stwierdził, jest jak gnijące jabłko. Stan początkowy był stanem doskonałości, ale kolonie go utraciły i ulegają powolnemu rozkładowi. Czasami Arnie czuł się jak zarządca ogromnego wysypiska śmieci. Po raz kolejny przypomniał sobie spotkanie na pustyni kopter firmy naprawczej pana Yee i zarozumiałego elektryka, który go pilotował.

„Cholerni indywidualiści – pomyślał Arnie. – Trzeba im utrzyć nosa. Ale oni znają swoją cenę. Ich praca jest niezbędna dla funkcjonowania kolonii. Mają to wypisane na twarzy. Zadufańce.”

Arnie z rękami w kieszeniach przechadzał się nachmurzony po dużym pokoju swojego domu w Lewistown. Dom ten utrzymywał dodatkowo, oprócz mieszkania w Gmachu Związkowym.

„Pomyśleć tylko, że ten facet śmiał odezwać się do mnie w taki sposób – rozpamiętywał Arnie. – Musi być diabelnie dobrym monterem, skoro jest tak pewny siebie. Niech skonam, ale dostanę tego faceta w swoje ręce – postanowił. – Nikt nie rozmawia ze mną tak impertynencko,

nikomu zresztą nie uszłoby to na sucho.”

Był jednak człowiekiem praktycznym i wiedział, że życie musi toczyć się dalej, toteż nurtowało go przede wszystkim to, że zarozumialec był fachurą.

„Nie żyjemy przecież w średniowieczu – powiedział sobie Arnie. – Jeśli ten facet jest naprawdę dobry w swoim fachu, niech sobie mówi, co chce. Dla mnie liczą się tylko wyniki pracy.”

Z tą myślą zadzwonił do firmy pana Yee w Bunchewood park i wkrótce uzyskał połączenie z jej szefem we własnej osobie.

– Mam tu zepsuty dyktafon – powiedział Arnie – i jeśli udałoby wam się go naprawić, może mógłbym z wami nawiązać stałą współpracę. Czy pan rozumie, o co mi chodzi?

Nie miał co do tego żadnych wątpliwości: pan Yee rozumiał, i to doskonale. Zdążył już sobie wyrobić jasny obraz sytuacji.

– Przyślemy naszego najlepszego człowieka, proszę pana. Aktualnie nie ma go w biurze. Jestem pewny, że będzie pan zadowolony z naszych usług o każdej porze dnia i nocy.

– Chodzi mi o konkretnego montera – powiedział Arnie i opisał mężczyznę, którego spotkał na pustyni.

– Młody, ciemnowłosy, szczupły – powtórzył pan Yee. – W okularach, nieco nerwowy. To Jack Bohlen. Nasz najlepszy pracownik.

– Powiem panu – dodał Arnie – że ten Bohlen rozmawiał ze mną tak, jak nikt rozmawiać ze mną nie śmie. Jednak później przemyślałem to sobie i doszedłem do wniosku, że miał słuszość. Chcę mu to powiedzieć podczas rozmowy w cztery oczy. – W rzeczywistości Arnie Kott nie mógł już sobie przypomnieć, o co chodziło. – Ten Bohlen ma chyba głowę na karku – powiedział na zakończenie. – Czy mógłby przylecieć jeszcze dziś?

Niewiele się zastanawiając pan Yee obiecał przysłać montera najdalej o piątej.

– Doceniam pańską dobrą wolę – rzekł Arnie. – I zapewniam, że nie czuję do Bohlena urazy. Proszę mu to przekazać. Pewnie, że byłem wtedy zaskoczony, ale już nie ma o czym mówić. Niech mu pan... – zastanowił się. – Niech mu pan powie, że nie powinien się niczego obawiać z mojej strony.

Odłożył słuchawkę i usiadł z poczuciem rzetelnie wykonanego zadania.

A więc dzień nie był całkiem zmarnowany. W Nowym Izraelu Arnie uzyskał od Anny ciekawą informację. Wspomniał o pogłoskach krążących na temat tego, co dzieje się w Górach F.D.R. Anna, jak zwykle, знаła kilka poufnych informacji, które dotarły z Domu. Były to bez wątpienia plotki przekazywane z ust do ust... ale zawierały ziarno prawdy. ONZ na Ziemi przygotowywała śmiało posunięcie. Za kilka tygodni zamierzała wysłać przedstawicieli na teren Gór F.D.R. i zgłosić do niego roszczenie, ponieważ jest on własnością publiczną, która w rzeczywistości do nikogo nie należy. Ale dlaczego ONZ chciała zdobyć tak duży kawał

bezwartościowej ziemi? Od tego momentu historyjka Anny zaczęła się gmatwać. W Genewie rozeszła się pogłoska, jakoby ONZ planowała założenie ogromnego ponadnarodowego parku, czegoś w rodzaju Edenu, aby zwabiać emigrantów z Ziemi. Według innej wersji inżynierowie ONZ byli bliscy rozwiązania problemu ulepszenia źródeł energii na Marsie: zamierzali zbudować potężną elektrownię wodorową, wyjątkową pod względem rozmiaru i mocy. Uruchomiony miał być system wodny. Dysponując odpowiednimi źródłami energii można by wreszcie przenieść na Marsa przemysł ciężki, wykorzystując obszary niczyje, słabą grawitację i niskie podatki.

Jeszcze inna plotka głosiła, że ONZ ma zamiar zbudować w Górach F.D.R. bazę wojskową, jako przeciwwagę dla poczynań Stanów Zjednoczonych i Rosji.

Którakolwiek z tych plotek miała okazać się prawdziwa, jedno było pewne: działki na terenie łańcucha F.D.R wkrótce gwałtownie podrożeją. Cały teren był aktualnie wystawiony na licytację. Po zdumiewająco niskiej cenie sprzedawano działki o powierzchni od pół akra do stu tysięcy akrów. Kiedy tylko spekulanci zwęszą coś o planach ONZ, wszystko się zmieni... A spekulanci z pewnością już zaczynają działać. Aby zgłosić roszczenie do ziemi, muszą i być na miejscu. Nie mogą tego zrobić z Ziemi, takie jest prawo. Jeśli więc informacje Anny były prawdziwe, należało się spodziewać, że spekulanci zaczną napływać lada chwila. Stanie się tak, jak w pierwszym roku kolonizacji, kiedy wszędzie ich było pełno.

Arnie zasiadł do klawikordu, otworzył zbiór sonat Scarlattiego i zaczął mozolnie wygrywać jeden ze swoich ulubionych utworów – sonatę na skrzyżowane ręce, którą ćwiczył od wielu miesięcy. Muzyka była rytmiczna i pełna wigoru. Arnie z rozkoszą naciskał klawisze, nie zważając na to, że dźwięk jest zniekształcony. Heliogabalus odsunął się i dalej studiował instrukcję. Dźwięk kaleczył mu uszy.

– Mam płytę z tym nagraniem – powiedział Arnie do Heliogabalusa. – Jest tak strasznie stara i cenna, że boję się ją puszczać.

– Co to jest płyta? – zapytał Murzochid.

– I tak byś nie zrozumiał, gdybym ci zaczął tłumaczyć. Ta płyta ma czterdzieści lat. Została mi po rodzicach. Należała do mojej matki. Gra Glenn Gould. Ten to dopiero potrafił wygrywać sonaty!

Własna gra go zniechęciła. Zdjął ręce z klawiatury.

„Nigdy nie będę w tym dobry – stwierdził – nawet gdyby instrument działał na piątkę, tak jak przed przylotem z Domu.” Siedząc za klawikordem Arnie oczami wyobraźni znowu widział wspaniałe perspektywy związane z Górą F.D.R.

„W każdej chwili mógłbym wziąć udział w licytacji, wykorzystać fundusze związkowe. Ale który kawałek mam kupić? – zastanawiał się. – To rozległy teren. Nie mogę kupić go w całości. Kto zna łańcuch F.D.R.? – zadał sobie pytanie. – Steiner pewnie go znał, bo, o ile wiem, gdzieś

w tych okolicach znajduje się – albo raczej znajdowała – jego baza operacyjna. Węszą tam też poszukiwacze złota. I mieszkają Murzochidzi.”

– Helio, znasz Góry F.D.R.?

– Rzecz jasna, panie – odrzekł Murzochid. – Wystrzegam się ich. Są zimne, puste i bez życia.

– Czy to prawda – pytał dalej Arnie – że wy, Murzochidzi, macie skałę, która przepowiada przyszłość?

– Tak, panie. Niecywilizowani Murzochidzi mają taką skałę. Ale to tylko dziecinny przesąd. Skała nazywa się Nieczysty Głaz.

– Sam nigdy nie pytałeś jej o przyszłość?

– Nie, panie.

– Potrafiłbyś ją odnaleźć, gdyby było trzeba?

– Tak, panie.

– Dam ci dolara – powiedział Arnie – jeśli zapytasz o coś tę piekielną skałę.

– Dziękuję, panie, ale nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego, Helio?

– Uleganie przesądom wskazywałoby na moją ignorancję.

– Chryste! – wykrzyknął rozdrażniony Arnie. – To byłaby tylko zabawa. Nie mógłbyś tego zrobić dla żartu?

Murzochid milczał, lecz na jego ciemnej twarzy odbiła się uraza. Udawał, że czyta instrukcję.

– Głupio zrobiliście porzucając waszą religię – powiedział Arnie. – Pokazaliście, jak bardzo jesteście słabi. Ja bym jej nie porzucił. Powiedz mi, jak znaleźć Nieczysty Głaz, i sam pójde go zapytać. Wiem, do diabła, czego uczy wasza religia – że możecie przewidywać przyszłość. I co w tym takiego dziwnego? Na Ziemi żyją ludzie odbierający wrażenia pozazmysłowe. Niektórzy z nich są jasnowidzami, mogą czytać w przyszłości. Naturalnie musimy ich trzymać w zamknięciu razem z innymi wariatami, bo to jest objaw schizofrenii. Jeśli przypadkiem wiesz, co to znaczy.

– Tak, panie – odparł Heliogabalus. – Wiem, co to jest schizofrenia. To dzikus we wnętrzu człowieka.

– Rzeczywiście, to powrót do pierwotnego sposobu myślenia, ale co z tego, skoro można czytać w przyszłości? W obozach dla chorych psychicznie muszą być setki jasnowidzów...

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl: może jest kilku takich na Marsie, w Obozie B-G?

„Niech diabli wezmą Nieczysty Głaz! – pomyślał Arnie. – Któregoś dnia wpadnę do B-G przed samym zamknięciem i znajdą mi jasnowidza. Wezmę go na przepustkę i dam mu posadę tutaj, w Lewistown.”

Podszedł do telefonu i przedzwonił do Edwarda L. Gogginsa, swej prawej ręki.

– Eddy – powiedział, gdy się z nim połączył – przejdź się do naszej kliniki psychiatrycznej i przyciśnij do muru lekarzy. Masz przynieść charakterystykę jasnovidza, to znaczy, jakie występują u niego objawy. Zapytaj, czy wiedzą, kto z Obozu B-G by się nadawał.

– Dobra, Arnie. Załatwione.

– Kto jest najlepszym psychiatrą na Marsie?

– Psiakrew! Musiałbym to sprawdzić. W Zjednoczeniu Transportu mają takiego jednego. Nazywa się Milton Glaub. Wiem o tym, bo brat mojej żony tam pracuje i Glaub go psychoanalizował w zeszłym roku, i oczywiście dobrze go reprezentował.

– Jak sądzę, ten Glaub jest obeznany z B-G?

– Och, tak, bywa tam raz w tygodniu. Oni wszyscy; biorą tam dyżury. Żydzi całkiem nieźle płacą, mają mnóstwo forsy. Dostają ją z Izraela na Ziemi, sam wiesz.

– No więc przekręć do tego Glaubu i powiedz mu, żeby mi jak najszybciej skombinował schizofrenika jasnovidza. Daj Glaubowi posadę, ale tylko wtedy, gdy będzie to konieczne. Większość psychiatrów ostrzy sobie zęby na stałą płacę. Nie zarabiają zbyt wiele. Zrozumiałeś, Eddy?

– W porządku, Arnie.

Edward odłożył słuchawkę.

– Byłeś kiedyś psychoanalizowany, Helio? – zapytał Arnie, teraz w wesołym nastroju.

– Nie, panie. Cała psychoanaliza to napuszone kretyństwo.

– Jak to?

– Nigdy nie zajmują się tym, jak przeorganizować osobowość chorego.

– Nic nie rozumiem, Helio.

– Sens istnienia jest niewiadomą. Stąd istotom żywym nie było dane poznać właściwego sposobu życia. Któż może wiedzieć, czy schizofrenicy czasem nie mają racji? Oni wybierają się w odważną podróż. Odwracają się od tego, co jest jedynie przedmiotem, z którego można zrobić praktyczny użytek, i kierują się w głąb, ku istocie rzeczy. Tam leży czarna dziura bez dna, otchłań. Nikt nie wie, czy stamtąd powrócą. A jeśli nawet, to jacy staną się ci, którym dane było w przebłyску intuicji poznać sens życia? Podziwiam ich.

– Chryyyyste – powiedział Arnie z drwiną w głosie. – Ty przemądrzały cudaku! Głowę daję, że gdyby ludzka cywilizacja znikła z Marsa, migiem wróciłbyś do swoich dzikusów, żeby razem z nimi oddawać cześć bałwanom. Dlaczego udajesz, że chcesz być taki jak my? Dlaczego czytasz tę instrukcję?

– Ludzka cywilizacja nigdy nie opuści Marsa. Dlatego studiuje tę książkę.

– Daj spokój z książką – powiedział Arnie. – Lepiej nastroiłbyś mój cholerny klawikord. Bo

znowu wylądujesz na pustyni, niezależnie od tego, czy ludzka cywilizacja zostanie na Marsie, czy nie.

– Tak, proszę pana – odparł oswojony Murzochid.

Od kiedy Otto Zitte stracił kartę związkową i nie mógł legalnie wykonywać swojego zawodu, w jego życiu ciągle się coś nie układało. Gdyby miał kartę, mógłby już teraz być monterem pierwszej klasy. Otto utrzymywał w tajemnicy fakt, że kiedyś miał kartę, ale ją utracił. Nie poinformował o tym nawet swojego pracodawcy. Norb Steiner o niczym nie miał pojęcia. Sam nie wiedząc dlaczego, Otto wolał, by inni sądzili, że po prostu oblał testy uzdolnień.

Może było mu łatwiej myśleć, że odniósł porażkę; w końcu wejście do związku monterów było prawie niemożliwością...

A dostać się tam i wylecieć...

Otto sam sobie zawinił. Trzy lata temu był dobrze płatnym, cieszącym się poważaniem członkiem związku, innymi słowy współobywatel *bona fide*. Przyszłość stała przed nim otworem: był młody, miał dziewczynę – wtedy jeszcze nie wiedział, że na spółkę z innymi – i helikopter, wynajęty bo wynajęty, ale jednak. Więc co go mogło powstrzymać? No cóż, własna głupota.

Złamał najważniejszą zasadę związku. Jego zdaniem idiotyczną, niemniej... „Zemsta należy do mnie”, mówi Marsjański Oddział Pozaziemskiego Związku Monterów. O Jezu, jak on nienawidził tych sukinsynów! Nienawiść zatruła całe jego życie i doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale nie chciał niczego zmieniać. Wciąż podsyczał w sobie to uczucie do owej potężnej, zwartej organizacji, gdziekolwiek by ona była.

Złapali go na wykonywaniu darmowych usług.

Rzecz w tym, że to nie były darmowe usługi, ponieważ oczekiwał za nie określonych korzyści. Wynałazł nową formę pobierania opłat od swoich klientów, która jednak w pewnym sensie wcale nie była nowa, a prawdę mówiąc, najstarsza na świecie, mianowicie handel wymienny. Otto nie mógł jednak płacić firmie procentu od swoich dochodów, więc firma proceder ten ukróciła. Partnerkami transakcji handlowych Otta były samotne kobiety, mieszkające w odległych zakątkach Marsa, których mężowie przebywali w mieście przez pięć dni w tygodniu i w domu pojawiali się tylko na soboty i niedziele. Otto, który nosił długie, zaczesane do tyłu czarne włosy, a poza tym był szczupły i przystojny (a przynajmniej za takiego siebie uważał), romansował coraz to z inną. Pewien rozwścieczony mąż, kiedy odkrył zdradę, zamiast zastrzelić Otta udał się do Związkowego Wydziału Zatrudnienia i wniósł formalną skargę: naprawy bez wynagrodzenia pieniężnego.

No cóż, Otto musiał przyznać, że istotnie nie płacono mu zgodnie z oficjalną taryfą.

Tak więc Zitte zaczął pracować u Norba Steinera, a to oznaczało dla niego życie na

puszkowcach Gór F.D.R. Przebywając całymi tygodniami z dala od ludzi, stawał się coraz bardziej samotny i zgorzkniały. Potrzeba zażytych stosunków z innymi, przez którą kiedyś wpakował się w kłopoty, znowu doszła do głosu. Kiedy siedział w magazynie, czekając na kolejną rakietę, rozmyślał nad swoim dotychczasowym życiem i przyszło mu do głowy, że nawet Murzochidzi nie chcieliby lub nie byliby w stanie żyć tak jak on żył, odcięci od świata. Gdyby tylko jego operacje czarnorynkowe szły dobrze! Podobnie jak Norb Steiner mógłby kręcić się po planecie i odwiedzać jednego klienta za drugim. Czy to była jego wina, że produkty, które zdecydował się importować, okazały się na tyle atrakcyjne, że ich sprowadzaniem zainteresowały się również grube ryby? Po prostu zbyt dobrze wyczuwał rynek.

Nie cierpiał wielkich oszustów tak samo jak wielkich stowarzyszeń. W ogóle nie lubił tego, co duże. Dążenie do wielkości zabiło w Ameryce wolną inicjatywę i zrujnowało drobnych przedsiębiorców. On był prawdopodobnie ostatnim prawdziwym drobnym przedsiębiorcą w całym układzie słonecznym. Tak naprawdę to właśnie na tym polegało jego wykroczenie: starał się wieść dawny styl życia i nie poprzestał jedynie na słowach.

– Pieprzę ich – powiedział do siebie. Siedział na pace otoczony skrzyniami, kartonami, pakunkami i częściami kilku rozmontowanych rakiet, które właśnie naprawiał. Za oknem baraku, jak okiem sięgnąć, wszędzie głucho, bezludne skaliste wzgórza, pokryte garstką wysuszonych, ginących krzewów.

Ciekawe, gdzie jest teraz Norb Steiner? Na pewno zaszył się w jakimś barze albo restauracji. Lub może w wesołym saloniku jakiejś kobitki. Głędzi bez związku, wręcza jej puszkę wędzonego łososia i dostaje w zamian...

– Pieprzę ich z całego serca – mamrotał Otto. Wstał i zaczął się przechadzać po baraku. – Jeśli to wszystko, czego chcą, proszę bardzo! Bydlaki.

Izraelskie dziewczęta... cały kibuc pełen dziewcząt... to tam był Steiner. Te chętne, czarnookie, seksowne bestie o zmysłowych ustach i wielkich zderzakach, opalone od pracy na polu w samych szortach i przylegających do ciała trykotowych koszulkach; nie noszą staników i te wielkie, jędrne piersi... przez koszulki prześwitują brodawki, bo przykleja się do nich wilgotny materiał.

„Dlatego nie chciał, żebym z nim pojechał” – pomyślał Otto.

Jedynymi kobietami, jakie widywał w Górach F.D.R., były karłowate, czarne i wysuszone kobiety Murzochidów, które nawet nie były ludźmi, w każdym razie nie dla niego. Nie dał się nabrać na to, co mówili antropologowie, że Murzochidzi pochodzą z tego samego szczepu co *homo sapiens* i że prawdopodobnie obie planety zostały miliony lat temu zasiedlone przez jedną międzyplanetarną rasę.

„Te ropuchy miałyby być ludźmi? Iść z taką do łóżka? Chryste, chyba prędzej zrobiłbym z tego sieczkę.”

O wilku mowa. Właśnie zbliżała się grupka Murzochidów. Schodzili z północnego wzgórza, ostrożnie stawiając bose stopy na chropowatej skalistej powierzchni.

„Idą tutaj – zauważył Otto. – Jak zawsze.”

Otworzył drzwi baraku i poczekał, aż do niego podejda.

Cztery samce, w tym dwa stare, jedna stara samica i kilka wychudzonych młodych. Nieśli łuki, żarna i skorupy jaj.

Zatrzymali się, popatrzyli na niego w milczeniu, po czym jeden z samców powiedział:

– Zsyłam deszcz na twoją drogocenną osobę.

– I nawzajem – odparł Otto oparty o ścianę baraku. Był przybity, ogarnięty poczuciem beznadziei. – Czego chcecie?

Murzochid wyciągnął mały skrawek papieru. Kiedy Otto wziął go do ręki, zobaczył, że była to etykieta z puszek zupy żółtowej. Murzochidzi zjedli zupę i zachowali etykiety. Nie mogli mu powiedzieć, czego chcieli, bo nie wiedzieli, jak to się nazywa.

– W porządku – powiedział Otto. – Ile?

Podniósł dłoń i zaczął liczyć na palcach. Przy pięciu Murzochidzi skinęli głowami. Pięć puszek.

– Co macie w zamian? – zapytał nie ruszając się z miejsca.

Jedna z młodych samic zbliżyła się do niego i wskazała tę część swojego ciała, o której tak wiele Otto ostatnio rozmyślał.

– O, Chryste! – powiedział z rozpaczą Zitte. – Nie, idź sobie! Daj spokój! Nie chcę!

Odwrócił się do nich tyłem, powlókł do baraku i zatrzasnął za sobą drzwi, tak że aż zadrżały ściany. Ukrywszy twarz w dłoniach, rzucił się na pakę.

– Chyba zwariowałem – mruknął do siebie.

Zacisnął szczęki. Dławiło go w gardle. Prawie nie mógł mówić. Żal ścisnął mu serce. Nagle, ku swemu zdumieniu, zaczął płakać.

„Jezu – pomyślał z przerażeniem. – Naprawdę zwariowałem. Zupełnie się załamałem. Ale dlaczego?” – Łzy spływały mu po policzkach. Nie płakał od lat.

„Co się ze mną dzieje?” – zastanawiał się. To jego ciało zalewało się łzami. On sam nie miał z tym nic wspólnego. Był jedynie obserwatorem.

Jednak płacz przyniósł mu ulgę. Otarł chusteczką twarz i oczy. Zaklął spostrzegłszy, że zeszytywniały mu palce i drżą dłonie.

Za oknem baraku stali Murzochidzi. Może go obserwowali, nie miał jednak pewności. Ich twarze nie wyrażały żadnych uczuć, jednak Otto był przekonany, że wszystko widzieli i prawdopodobnie czuli się tak samo zakłopotani jak on.

„Fakt, zachowuję się dziwnie, macie rację” – pomyślał.

Murzochidzi zbili się w gromadkę i przez chwilę się naradzali. Wtem jeden z nich ruszył w stronę baraku. Otto usłyszał pukanie do drzwi. Kiedy otworzył, w wejściu stał młody Murzochid i trzymał coś w rękach.

– Może więc to – zaproponował.

Otto wziął przedmiot, ale nie miał pojęcia, co to jest. Dostrzegł szkło, metal i skalę. I wtedy uświadomił sobie, że to przyrząd używany przez geodetów do pomiaru gruntów. Z boku znajdował się stempel z napisem: WŁASNOŚĆ ONZ.

– Nie chcę – powiedział ze złością. Obracał przyrząd w dłoniach.

„Na pewno gdzieś to ukradli” – stwierdził.

Oddał przedmiot Murzochidowi, który wziął go ze stoickim spokojem i wrócił do swoich. Otto zamknął drzwi.

Tym razem odeszli. Przez okno widział, jak wlekli się z powrotem pod górę.

„Kradnijcie sobie w cholerę! Co mnie to obchodzi?” – pomyślał. Ale co towarzystwo geodezyjne ONZ robi w Górach F.D.R.?

Aby poprawić sobie nastrój, Otto pogrzebał w skrzynkach i wyjął puszkę wędzonych żabich udek. Otworzył ją i zjadał markotnie, wcale nie delektując się ich smakiem. Mimo to dokładnie opróżnił puszkę.

– Niech pan mnie tam nie wysyła, panie Yee – powiedział Jack Bohlen do mikrofonu. – Spotkałem już dzisiaj Kotta i go uraziłem.

Ogarnęło go znużenie.

„Po raz pierwszy w życiu spotkałem Kotta i zaraz musiałem go obrazić, to jasne – pomyślał. – I oczywiście tego samego dnia Arnie Kott postanawia zadzwonić do firmy pana Yee i zamówić montera. Nie ma w tym nic dziwnego, bo tak wygląda moje życie. To bardzo typowe dla gierki, którą prowadzę z potężnymi, bezdusznymi siłami losu.”

– Pan Kott wspominał, że spotkał cię na pustyni – powiedział pan Yee. – Właściwie częściowo z tego powodu zdecydował się do nas zadzwonić.

Jack osłupiał.

– Co takiego?

– Nie wiem, o co wam poszło, ale nic złego się nie stało. Leć do Lewistown. Jeśli zdążysz do piątej, wypłacę ci za nadgodziny. Pan Kott, który znany jest ze swojej hojności, tak pilnie potrzebuje sprawnego koderka, że obiecał ci postawić solidny obiad.

– W porządku – odpowiedział Jack.

Miał już tak wszystkiego dość, że nawet nie zastanawiał się, co go może spotkać. W końcu skąd mógł wiedzieć, co się dzieje w głowie Arniego Kotta?

Wkrótce lądował na dachowym parkingu Gmachu Związku Pracowników Wodnych

w Lewistown.

Wszedł służący i przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Monter z firmy naprawczej pana Yee – powiedział Jack. – Proszę powiadomić Arniego Kotta, że już jestem.

– Robi się, brachu – odparł służący i zaprowadził go do windy.

Arniego Kotta zastał w pokoju gościnnym umeblowanym na styl ziemski. Gdy Jack wszedł, potężny, łysy mężczyzna rozmawiał przez telefon i skinął głową. Wskazał biurko, na którym stał dyktafon kodujący. Jack podszedł do dyktafonu, zdjął pokrywkę i włączył urządzenie. Tymczasem Arnie Kott rozmawiał nadal.

– Oczywiście, wiem, że to podejrzane zdolności. Tak, to tłumaczy, dlaczego nikt nie potrafił tego wykorzystać. Ale co mam robić: zapomnieć o tym i udawać, że to nie istnieje, tylko dlatego że przez pięćdziesiąt tysięcy lat ludzie byli zbyt głupi, żeby się tym poważnie zająć? Wciąż mam zamiar spróbować.

Cisza.

– W porządku, doktorze. Dziękuję – powiedział w końcu Arnie i odłożył słuchawkę. – Byłeś kiedyś w Obozie B-G? – zwrócił się do Jacka.

– Nie – odparł Jack zajęty otwieraniem kodera.

Arnie podszedł do biurka i stanął obok. Jack czuł na sobie jego wnikliwe spojrzenie, co wyprowadzało go z równowagi. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Starał się nie zauważać mężczyzny i pracował dalej.

„Przypomina mi dyspozytora” – pomyślał.

Znowu zaczął się zastanawiać, czy będzie miał kolejny napad psychozy. Co prawda od pierwszego razu minęło już dużo czasu, lecz teraz blisko niego stała potężna, zagrażająca postać i bacznie go obserwowała. Jack poczuł się jak podczas dawnej rozmowy z personalnym w Corona Corporation.

– Rozmawiałem przez telefon z Glaubem – odezwał się Arnie Kott. – To psychiatra. Słyszałeś coś o nim?

– Nie – odparł Jack.

– Czy ty całe życie spędzasz z nosem wetkniętym w maszyny?

Jack podniósł głowę i spojrzał mu w oczy. Potem odpowiedział spokojnym głosem:

– Mam żonę i syna. To moje życie. A od tego, co teraz robię, zależy utrzymanie mojej rodziny.

Arnie nie wyglądał na obrażonego. Nawet się uśmiechnął.

– Chcesz się czegoś napić? – zapytał.

– Kawy, jeśli można.

– Mam prawdziwą kawę z Domu. Czarną?

– Czarną.

– Taak, wyglądasz na takiego, co pije czarną kawę. Myślisz, że możesz naprawić tę maszynę na miejscu, czy ją zabierzesz?

– Mogę ją naprawić na miejscu.

Twarz Arniego rozpromienił uśmiech.

– Wspaniale! Jestem całkowicie od niej uzależniony.

– A gdzie kawa?

Jak przystało na prawdziwego gospodarza, Arnie odwrócił się i wyszedł. Przez chwilę krzątał się w sąsiednim pokoju, po czym pojawił się z ceramicznym kubkiem do kawy, który postawił na biurku obok Jacka.

– Słuchaj, Bohlen, zaraz ma do mnie ktoś przyjść. Dziewczyna. Nie będzie ci to przeszkadzało w pracy, prawda?

Jack podniósł wzrok. Sądził, że Kott kpi sobie z niego. Lecz widocznie tak nie było. Arnie przyglądał się Jackowi i częściowo rozebranej maszynie, autentycznie zainteresowany postępami w naprawie.

„Z pewnością jest uzależniony od tej maszyny – uznał Jack. – Dziwne, jak to ludzie kurczowo trzymają się posiadanych przedmiotów, jak gdyby były one uzupełnieniem ich ciała, to coś jak chorobliwa troska o maszyny. A wydawałoby się, że człowiek taki jak Arnie Kott mógłby wyrzucić ten koder na śmietnik i wybulić pieniądze na nowy.”

Rozległo się pukanie i Arnie poszedł otworzyć drzwi. Po chwili Jack usłyszał:

– Cześć. Wejdz. Moje cacko jest w naprawie.

– Nigdy nie naprawisz swojego cacka – stwierdził kobiecy głos.

Arnie zaśmiał się nerwowo.

– Poznaj mojego nowego montera, Jacka Bohlena – powiedział. – Bohlen, to jest Doreen Anderton, nasz skarbnik związkowy.

– Cześć – rzucił Jack.

Kątem oka, bo nie przerywał pracy, dostrzegł, że dziewczyna ma rude włosy, niezwykle jasną cerę i ogromne piękne oczy.

„Każdy ma jakąś posadę – pomyślał cierpko Jack. – Co za cudowny świat. Jaki wspaniały jest twój związek, Arnie.”

– Pilnie pracuje? – zapytała dziewczyna.

– Oj, tak – przytaknął Arnie. – Ci faceci z naprawy mają bzika na punkcie porządnie wykonanej roboty. To znaczy ci spoza związku, bo nasi to banda patałachów, co to tylko siedzi i objaja się naszym kosztem. Skończyłem z nimi, Dor. Ten Bohlen to kapitalny monter. Naprawi koder za małą chwilę. Prawda, stary?

– Taaak – odparł Jack.

– Nie przywitasz się ze mną, Jack? – spytała dziewczyna.

Przerwał pracę i podniósł na nią wzrok. Przyjrzał się jej obojętnie. Z twarzy Doreen wyczytał spokój i inteligencję, zabarwione lekko ironią, która go drażniła, a jednocześnie pociągała.

– Dzień dobry – powiedział.

– Widziałam twój kopter na dachu – rzuciła dziewczyna.

– Pozwól mu pracować w spokoju – warknął Arnie. – Daj mi płaszcz.

Stanął za nią i pomógł jej się rozebrać. Dziewczyna miała na sobie kostium z ciemnej wełny, który z całą pewnością pochodził z Ziemi, a więc był koszmarnie drogi.

„Założę się, że to wiele kosztowało kasę związku” – pomyślał Jack.

Patrząc na dziewczynę wyczuł, że była mądra jakąś pradawną mądrością. Ładne oczy, włosy i cera sprawiają, że kobieta jest atrakcyjna, ale tak naprawdę to nos czyni z niej piękność. Doreen miała wspaniały nos: prosty i wydatny. On jakby nadawał ton całej twarzy.

„Śródziemnomorskim kobietom łatwiej o urodę niż, powiedzmy, Irlandkom albo Angielkom – stwierdził Jack – bo z genetycznego punktu widzenia nos śródziemnomorski, hiszpański, hebrajski, turecki czy też włoski, odgrywa większą rolę w formowaniu rysów twarzy.”

Jego żona, Sylwia, miała wesoły, zadarty, irlandzki nosek i według wszelkich kryteriów była dość ładna. Ale ta dziewczyna to coś zupełnie innego.

Jack sądził, że Doreen niedawno przekroczyła trzydziestkę. Miała jednak w sobie świeżość, która nie poddawała się upływowi czasu. Tak czystą cerę Jack widział jak dotąd jedynie u licealistek i kiedyś u pięćdziesięcioletnich kobiet o wspaniałych siwych włosach i pięknych dużych oczach. Za dwadzieścia lat Doreen będzie nadal atrakcyjna. Jack nie wyobrażał sobie, by mogło być inaczej. Arnie dobrze zrobił, że w nią zainwestował. Doreen nigdy mu się nie znudzi. Już teraz Jack zauważył, że była dojrzała, a ta cecha rzadko występowała wśród kobiet.

– Idziemy się czegoś napić – powiedział Arnie do Jacka. – Jeśli zdążysz naprawić tę maszynę na czas...

– Już jest naprawiona.

Znalazł przerwana taśmę i zastąpił ją nową ze swojego podręcznego zestawu.

– Świetnie się spisałeś – Arnie uśmiechnął się jak uszczęśliwione dziecko. – W takim razie chodź z nami.

Potem zwrócił się do dziewczyny:

– Spotkamy się z Miltonem Glaubem, znanym psychiatrą. Pewnie o nim słyszałaś. Obiecał, że pójdzie ze mną na drinka. Właśnie rozmawiałem z nim przez telefon. Zdaje się, że to kapitalny facet.

Głośno klepnął Jacka po ramieniu.

– Mogę się założyć, że gdy lądowałeś na dachu, przez myśl ci nie przeszło, że będziesz pić

drinka z jednym z najbardziej znanych psychiatrów w całym układzie słonecznym, no nie?

„Czy powinienem z nimi pójść? – zastanawiał się Jack. – Ale czemu nie?”

– Racja, panie Arnie – powiedział.

– Doktor Glaub ma zdobyć dla mnie schizofrenika – powiedział Arnie. – Potrzebuję profesjonalnych usług schizofrenika.

Roześmiał się. Oczy błyszczały mu z uciechy. Uważał swoją wypowiedź za wielce zabawną.

– Naprawdę? – zapytał Jack. – Ja jestem schizofrenikiem.

Arnie spoważniał.

– Nie żartuj. Nigdy bym nie pomyślał. Wyglądasz na zdrowego.

– Jestem zdrowy. Wyleczyli mnie – odparł Jack, kończąc składanie kodera.

– Nie można być wyleczonym ze schizofrenii – odezwała się Doreen. Jej głos był beznamiętny, stwierdziła jedynie fakt.

– Można – powiedział Jack – jeśli jest to tak zwana schizofrenia okresowa.

Arnie przyglądał mu się z wielkim zainteresowaniem, a nawet nieco podejrzliwie.

– Robisz mnie w konia. Chcesz się wkraść w moje łaski.

Jack wzruszył ramionami i poczuł, że się czerwieni.

Wrócił do pracy.

– Bez urazy – powiedział Arnie. – Naprawdę jesteś schizofrenikiem? Nie żartujesz? W takim razie powiedz mi: masz jakąś władzę albo zdolność czytania w przyszłości?

– Nie – odparł Jack po długiej chwili.

– Jesteś pewny? – naciskał Arnie.

– Jestem pewny.

Jack pożałował, że przyjął zaproszenie na drinka. To natarczywe wypytywanie sprawiło, że poczuł się obnażony. Arnie zapuszczał się zbyt głęboko, wdzierał się do jego duszy. Trudno było oddychać. Jack przesunął się na drugi koniec biurka, żeby zwiększyć odległość między sobą i szefem instalatorów.

– Co się stało? – spytał ostro Arnie.

– Nic.

Jack pracował dalej, nie patrząc na Arniego ani na dziewczynę. Oboje go obserwowali. Drżały mu ręce. Po chwili Arnie powiedział:

– Jack, powiem ci, w jaki sposób zaszedłem tak wysoko. Pomogła mi pewna zdolność. Wyczuwam, jacy ludzie są w środku, jacy są naprawdę. Nie kieruję się tym, co robią i mówią. Nie wierzę ci. Mogę się założyć, że skłamałeś co do twoich zdolności jasnowidzenia. Nie mam racji? Nie musisz odpowiadać.

Zwrócił się do dziewczyny:

– Zbierajmy się. Chcę się napić.

Skinął na Jacka, żeby poszedł z nimi.

Jack odłożył narzędzia i niechętnie ruszył do wyjścia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Doktor Milton Glaub leciał kopterem do Lewistown wypić drinka z Arnie Kottem. W drodze zastanawiał się, czy los naprawdę się do niego uśmiechnął.

„Wprost nie mogę w to uwierzyć – myślał. – To prawdziwy punkt zwrotny w moim życiu!”

Nie w pełni do niego dotarło, czego chce Arnie. Telefon był niespodziewany i Arnie mówił tak szybko, że Glaub pod koniec rozmowy miał mętlik w głowie. Wiedział jedynie, że sprawa ma związek z parapsychologicznymi aspektami chorób psychicznych. W tym zakresie mógł Arniemu służyć praktycznie pełną wiedzą. A jednak Glaub wyczuwał, że za pytaniami Kotta kryło się coś poważniejszego.

Ogólnie rzecz biorąc schizofrenię można poznać po tym, że pacjent walczy z samym sobą. Często pierwszym objawem postępu choroby jest to, że dotknięty nią osobnik nie potrafi jeść w obecności innych. Arnie kilkakrotnie powtórzył, że chętnie spotka się z Glaubem nie we własnym domu albo w biurze doktora, lecz w powszechnie znanym w Lewistown barze-restauracji „Pod Wierzbami”. Czy to, nie jest przypadkiem reakcja upozorowana? W sytuacjach społecznych, zwłaszcza tych, które związane są ze spożywaniem posiłków, z niezrozumiałych powodów Arnie Kott staje się spięty. Dlatego też stara się do tego nie dopuścić, odzyskać nad sobą kontrolę, która ostatnio wymyka mu się z rąk.

Na takich rozmyślaniach upływała Glaubowi podróż do Lewistown. Wkrótce jednak niepostrzeżenie powrócił myślami do własnych problemów.

Arnie Kott, człowiek dysponujący multimilionowym funduszem związkowym: w Domu osoba mało znana, tutaj prawdziwy feudalny baron.

„Gdyby Kott przyjął mnie do pracy – rozważał Glaub – mógłbym spłacić wszystkie długi, te potworne dwudziestoprocentowe odsetki, zewsząd czyhające na mnie weksle. Wtedy moglibyśmy zacząć od nowa: wystrzegalibyśmy się długów, nie żylibyśmy ponad stan, nasze wydatki zależne by były od zarobków... z pewnością znacznie wyższych.”

Poza tym staruszek Arnie jest Szwedem, Duńczykiem lub kimś w tym rodzaju, więc Glaub nie musiałby pudrować się przed przyjęciem każdego pacjenta. Nie mówiąc już o tym, że Arnie ma opinię człowieka bardzo bezpośredniego w kontaktach z podwładnymi.

„Milt i Arnie – będą mówić” – doktor Glaub uśmiechnął się w duchu.

Podczas wstępnej rozmowy należy potwierdzać wyobrażenia Arniego. Trzeba mu przytakiwać, a nie od razu wylewać mu na głowę kubek zimnej wody, nawet gdyby jego wyobrażenia, powiedzmy, nieco odbiegały od normy. Zniechęcić go byłoby niewybaczalnym błędem.

„Doskonale cię rozumiem, Arnie – przygotowywał się w myślach doktor, zbliżając się do

Lewistown. – Tak, twój sposób widzenia świata ma wiele plusów.”

Załatwiając sprawy swoich pacjentów, zastępował ich wśród ludzi, reprezentował tych nieśmiałych, zamkniętych w sobie schizoidalnych osobników, którzy kulili się ze strachu, gdy znaleźli się w towarzystwie. Poradził sobie z tyloma różnymi sytuacjami społecznymi, że spotkanie z Arniem będzie dla niego pestką. A jeśli proces schizofreniczny ulegnie nagłemu przyspieszeniu, może dojść do tego, że on, Glaub, stanie się dla Arniego jedyną ostoją.

„Niech to licho” – pomyślał doktor i zwiększył prędkość koptera do maksimum.

Wokół restauracji „Pod Wierzbami” biegła fosa. Fontanny rozpylały błękitną wodę w powietrzu, spryskując fioletowe, bursztynowe i rude tropikalne pnącza, które, potężnie rozrośnięte, oplatały jednopiętrowy szklany budynek. Doktor Glaub opuścił parking klatką schodową z kutego żelaza, i w tłumie poszukał wzrokiem Arniego Kotta. Siedział z cudowną rudowłosą kobietą i mężczyzną ubranym w kombinezon montera i płócienną koszulę.

„Prawdziwie bezklasowe społeczeństwo” – pomyślał doktor Glaub.

Łukowym mostem przeszedł na drugą stronę fosy. Otworzyły się przed nim drzwi. Wszedł do hallu, minął bar, zatrzymał się, by prychnąć pogardliwie na widok kapeli jazzowej grającej muzykę medytacyjną, po czym przywitał się z Arniem:

– Witam, panie Arnie!

– Cześć, doktorze – Arnie podniósł się z krzesła, żeby go przedstawić. – Dor, to jest doktor Glaub. Doreen Anderton. To mój monter, Jack Bohlen, spec nad spece. Jack, to najwybitniejszy psychiatra naszych czasów, Milt Glaub.

Wszyscy uścisnęli sobie dłonie.

– Gdzie tam najwybitniejszy – mruknął Glaub, gdy siadali przy stole. – Tę działkę zdominowali Szwajcarzy z Berghölzelei, psychiatrzy egzystencjalni. – Mimo to poczuł się dowartościowany, choć stwierdzenie Arniego było dalekie od prawdy. Zaczerwienił się z zadowolenia. – Wybaczcie, że kazałem na siebie czekać. Musiałem wpaść do Nowego Izraela. Bo... Bosley Touvim potrzebował mojej rady, jako lekarza, w pewnej nie cierpiącej zwłoki sprawie.

– Przedsiębiorczy gość z tego Bosa – powiedział Arnie. Zapalił cygaro, prawdziwego, skręcanego na Ziemi optimo admirała. – Ale przystąpmy do rzeczy. Przedtem jednak zamówię panu drinka. – Spojrzał pytająco na Glaubę i przywołał kelnerkę.

– Szkocka, jeśli można – powiedział Glaub.

– Cutty Sark, proszę pana – zaproponowała kelnerka.

– Ach tak? W takim razie bez lodu.

– Do rzeczy – niecierpliwił się Arnie. – Więc jak, doktorze, ma pan dla mnie schizofrenika w zaawansowanym stadium, czy nie?

Badawczo spojrzął na Glauba.

– No cóż – odparł Glaub i wtedy przypomniał sobie swoją niedawną wizytę w Nowym Izraelu. – Nazywa się Manfred Steiner.

– To jakiś krewny Norberta Steinera?

– Tak się składa, że to jego syn. W Obozie B-G... Sądzę, że nie naruszę tajemnicy lekarskiej, jeśli o tym powiem. Jest całkowitym autystykiem, od urodzenia. Matka: oziębła, schizoidalna osobowość, jakby wzięta z podręcznika psychiatrii. Ojciec...

– Ojciec nie żyje – uciał Arnie.

– Tak. Wielka szkoda. Miły facet, ale ze skłonnością do depresji. To było samobójstwo, wie pan? Typowa decyzja w czasie psychicznego dołka. Dziwię się, że nie zrobił tego wiele lat temu.

– Mówił pan przez telefon o jakiejś teorii. Podobno schizofrenik żyje przesunięty w czasie.

– Tak, to jest zaburzenie wewnętrznej perspektywy czasowej. – Cała trójka uważnie się przysłuchiwała. Doktor aż palił się do wygłoszenia wykładu na temat jego ulubionej teorii. – Musimy to jeszcze poddać weryfikacji eksperymentalnej, ale uda nam się.

Bez chwili wahania i zażenowania przedstawił teorię z Berghölzelei jako swoją własną.

Arnie najwyraźniej był pod wrażeniem.

– Bardzo interesujące – powiedział. Zwrócił się do Jacka Bohlena: – Można zbudować takie komory spowalniające?

– Bez wątpienia – odparł Jack półgłosem.

– I czujniki odpowiadające narządom zmysłów – dodał Glaub. – Żeby pacjent mógł wyjść z komory do prawdziwego świata. Wzrok, słuch...

– To również można zrobić – przytaknął Bohlen.

– A co pan sądzi o tym? – w głosie Arniego czuło się niecierpliwość i entuzjazm. – Czy schizofrenik może poruszać się w czasie tak szybko, by wyprzedzać nas w przyszłość? Czy to by tłumaczyło jego zdolność jasnovidzenia?

Z podniecenia oczy mu błyszcząły. Glaub uczynił twierdzący gest. Arnie zwrócił się do Bohlena i palnął:

– Ej, Jack, to jest to! Cholera, powinienem być psychiatrą. Spowolnij go, do czorta, albo go przyspiesz. Niech sobie żyje przesunięty w czasie, jeśli chce. Ale zróbmy coś, żeby podzielił się z nami tym, co widzi. No nie, Bohlen?

– I tu jest pewien szkopuł – powiedział Glaub. – W przypadku autyzmu szczególnie drastycznie zaburzona jest zdolność komunikacji interpersonalnej.

– Rozumiem – powiedział Arnie, bynajmniej nie zrażony. – Do diabła, wiem o tym wystarczająco dużo, żeby znaleźć jakieś wyjście. Czy temu facetowi, Carlowi Jungowi, nie udało się wiele lat temu rozszyfrować języka schizofreników?

– Owszem – odparł Glaub. – Dziesiątki lat temu Jung rozpoznał właściwy schizofrenikom

język. Lecz w przypadku autyzmu dziecięcego, jak u Manfreda, nie istnieje w ogóle żaden język, w każdym razie język mówiony. Może pojawiają się całkowicie indywidualne myśli... ale nie słowa.

– Cholera! – powiedział Arnie.

Dziewczyna rzuciła mu strofujące spojrzenie.

– To poważna sprawa – powiedział do niej Arnie. – Musimy coś zrobić, żeby ci nieszczęśnicy, te autystyczne dzieciaki, z nami rozmawiały i powiedziały nam, co wiedzą. Prawda, doktorze?

– Tak – odrzekł psychiatra.

– Dzieciak jest teraz sierotą – powiedział Arnie. – Ten Manfred.

– Wciąż jednak ma matkę – przypomniał mu Glaub.

– Ale się o niego nie troszczy – powiedział Arnie wymachując rękami w podnieceniu. – Nawet nie zatrzymała go w domu. Wyrzuciła chłopca do obozu. Wyciągnę go stamtąd i zabiorę do siebie. A ty, Jack, poradzisz sobie ze zmaistrowaniem maszyny, żeby nawiązać z nim kontakt. Załapałeś, o co chodzi?

– Nie wiem, co odpowiedzieć – odezwał się Jack po chwili. Zaśmiał się krótkim, nerwowym śmiechem.

– Jestem pewny, że wiesz. To powinno być dla ciebie łatwe, u diabła. Mówiłeś, że sam jesteś schizofrenikiem.

– Czy to prawda? – spytał Bohlena zainteresowany Glaub. Kiedy Jack siedział pociągając drinka, doktor z przyzwyczajenia przyjrzał mu się i zauważył, że mężczyzna siedzi sztywno wyprostowany i ma napięte mięśnie; no i ta asteniczna budowa ciała. – Jeśli tak, to poczynił pan wielkie postępy w powrocie do zdrowia.

Bohlen podniósł głowę i spojrzał mu w oczy.

– Jestem całkowicie zdrowy. Już od wielu lat.

Jego twarz wyrażała napięcie.

„Nikt nie wraca całkowicie do zdrowia” – pomyślał Glaub, ale nie podzielił się na głos tą uwagą. Zamiast tego powiedział: – Może Arnie ma rację. Mógłbyś nawiązać empatyczny kontakt z tym autystykiem. Tymczasem głównym problemem jest to, że autystycy nie mogą wejść w nasze role, spojrzeć na świat z naszego punktu widzenia, my zaś nie możemy wejść w ich role. Tak więc dzieli nas przepaść.

– Jack, ty przerzucisz most przez tę przepaść! – wykrzyknął Arnie. Klepnął Bohlena po plecach. – To będzie twoja praca. Daję ci posadę.

Glaub poczuł ukłucie zazdrości. Utkwił wzrok w szklance, aby ukryć swą reakcję. Jednak dziewczyna ją zauważyła i uśmiechnęła się do niego. Nie odwzajemnił uśmiechu.

Jack Bohlen przypatrywał się siedzącemu naprzeciwko doktorowi Glaubowi i czuł

narastające rozkojarzenie myślowe. Ogarnął go strach. Zaczynało się to samo, co parę lat temu w gabinecie personalnego w Corona Corporation. Najwyraźniej stale balansował na linie. Teraz jego obawy przybierały konkretną postać.

Jack ujrzał psychiatrę w wymiarach absolutu. Glaub był tworem skonstruowanym z drutów i przełączników. Nie miał ciała, nie był ani trochę człowiekiem. Cieleśna powłoka uległa rozrzedzeniu i stała się przezroczysta. Jack widział pod nią tryby mechanizmu. Nie dał jednak po sobie poznać, że doświadcza przerażającej wizji. Nadal ścisnął w dłoni szklankę z drinkiem. Przysłuchiwał się rozmowie i od czasu do czasu kiwał głową. Doktor Glaub i Arnie Kott niczego nie zauważyli.

Jednak dziewczyna coś spostrzegła. Pochyliła się i szepnęła mu do ucha:

– Dobrze się czujesz?

Potrząsnął głową na znak, że nie, nie czuje się dobrze.

– Chodźmy stąd – szepnęła dziewczyna. – Ja też nie mogę już tego znieść. – Po czym oznajmiła: – Jack i ja zostawiamy was samych. – Dotknęła ramienia Bohlena. – Chodź – powiedziała wstając. Jack poczuł jej lekkie, silne palce. On również podniósł się z miejsca.

– Wracajcie zaraz – powiedział Arnie i dalej zżywieniem rozmawiał z doktorem Glaubem.

– Dziękuję – powiedział Jack, kiedy szli między stolikami.

– Widziałeś, jaki był zazdrosny, gdy Arnie zaproponował ci pracę? – spytała Doreen.

– Nie. Glaub? – A jednak nie był zdziwiony. – Zachowuję się trochę dziwnie – usprawiedliwił się – bo coś się dzieje z moimi oczami. To może być astygmatyzm. Wszystko z powodu napięcia.

– Chcesz usiąść przy barze? – zapytała dziewczyna. – Czy wolisz wyjść?

– Wolę wyjść – odparł Jack.

Stanęli nad wodą na moście. W dole przemykały ryby – niewyraźne, świecące kształty na wpół realnych istot. Ryby były na Marsie czymś niewyobrażalnym. Stanowiły istny cud. Zarówno Jack, jak i dziewczyna zdawali sobie z tego sprawę. Oboje wiedzieli, że myślą o tym samym, chociaż się do siebie nie odzywali.

– Przyjemnie tutaj – odezwała się w końcu Doreen.

– Taak.

Jack nie miał ochoty na rozmowę.

– Każdy – powiedziała Doreen – wcześniej czy później spotyka schizofrenika... o ile sam nim nie jest. Mój młodszy brat, tam w Domu, też cierpiał na schizofrenię.

– Zaraz mi przejdzie – powiedział Jack. – Już mi przeszło.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda.

– Masz rację – zgodził się z nią – ale co, do diabła, mogę zrobić? Sama mówiłaś: kto raz był schizofrenikiem, pozostanie nim do końca życia.

Umilkł i obserwował jaskrawo ubarwioną rybę.

– Arnie ma o tobie dobre mniemanie – powiedziała dziewczyna. – Nie kłamał mówiąc, że ma zdolność oceniania prawdziwej wartości ludzi. Zauważył już, że Glaub jest gotów się zaprzedać, żeby dostać posadę w Lewistown. Nie sędzę, by psychiatrom płacono więcej niż kiedyś, za dużo ich jest: w tej osadzie już dwudziestu, a żaden nie robi dobrego interesu. Czy twój... stan nie był przeszkodą, gdy starałeś się o zezwolenie na emigrację?

– Nie chcę o tym mówić. Proszę – odparł.

– Przejdźmy się – zaproponowała Doreen.

Szli ulicą mijając sklepy, z których większość była już zamknięta.

– Co takiego zobaczyłeś, gdy patrzyłeś na doktora Glaubę, wtedy przy stole?

– Nic – odpowiedział Jack.

– O tym też wolałbyś nie mówić?

– Zgadza się.

– Myślisz, że jeśli mi powiesz, to pogorszy sprawę?

– Nie o to chodzi.

– Chyba jednak o to – powiedziała Doreen. – Coś widziałeś, jakkolwiek zniekształcony i zdeformowany jest twój obraz świata. Nie wiem, co to było. Staralam się jak diabli, żeby zrozumieć, co widział i słyszał Clay, mój brat. Nie potrafił tego wyrazić. Wiem, że jego świat był zupełnie inny od mojego i całej rodziny. On się zabił, tak jak Steiner. – Staneła przy stoisku z gazetami, by spojrzeć na notatkę na pierwszej stronie, mówiącą o Norbercie Steinerze.

– Psychiatrzy egzystencjalni uważają, że należy pozwolić chorym odebrać sobie życie. Dla niektórych to jedyne wyjście... to, co widzą, jest zbyt straszne, staje się nie do zniesienia.

Jack milczał.

– Czy to jest straszne? – zapytała Doreen.

– Nie. Po prostu... niepokojące – usiłował wyjaśnić. – Nic nie pasuje do tego, co dotąd wiedziałeś i czego się spodziewałaś. Nie można stale mieć przed oczami dawnego obrazu świata. Nie wiadomo, jak się zachować.

– Chyba bardzo często udajesz, że wszystko jest w porządku? Grasz jak aktor?

Nie odpowiedział, więc dodała:

– Przed chwilą też próbowałeś to robić.

– Uwielbiam nabierać ludzi – przyznał. – Zrobiłbym wszystko, żeby móc nadal udawać, nadal grać. Ale w pewnych chwilach świat naprawdę się rozpada. Lekarze nie mają racji, gdy mówią, że to tylko rozpad obrazu świata w umyśle chorego. Aby pozostać w zgodzie z rzeczywistością, musiałbym nachylić się do doktora Glaubę i powiedzieć mu, że...

– Powiedz to mnie – poprosiła dziewczyna.

– No, dobrze – wziął głęboki oddech. – Powiedziałbym: doktorze, widzę pana z perspektywy

wieczności i jest pan martwy. Taka jest treść moich omamów. Nie chcę tego. Nie prosiłem o to.

Dziewczyna ujęła go pod rękę.

– Nikomu dotąd tego nie mówiłem – wyznał Jack – nawet mojej żonie Sylwii ani mojemu synowi Dawidowi. Wiesz, obserwuję go. Patrzą na niego codziennie, żeby się upewnić, że to się w nim nie odzywa. To można bardzo łatwo przegapić. Jak u Steinerów. Nie wiedziałem, że mają syna w B-G, dopóki Glaub o tym nie powiedział. A od lat są naszymi sąsiadami. Steiner nigdy nie wspomniał o synu.

– Powinniśmy wrócić na obiad – powiedziała Doreen. – Chcesz tam iść? Tak będzie lepiej. Wiesz, nie musisz przyjąć posady u Arniego, możesz zostać u pana Yee. Masz niezły kopter. Nie powinieneś ze wszystkiego rezygnować tylko dlatego, że Arniemu to będzie na rękę. Może to nie będzie na rękę tobie.

– To ciekawe wyzwanie – powiedział Jack wzruszając ramionami – zbudować kanał komunikacyjny między autystycznym dzieckiem i naszym światem. W tym, co mówi Arnie, jest dużo racji. Mógłbym być pośrednikiem. Mógłbym zrobić coś pożytecznego.

„Nie ma znaczenia, dlaczego Arnie chce sprowadzić chłopaka Steinerów – uświadomił sobie Jack. – Pewnie kieruje się jakąś silną egoistyczną pobudką, czymś, co przyniesie mu niemały zysk. Ale mnie to nic nie obchodzi. W zasadzie mogę zadowolić obie strony. Pan Yee wypożyczy mnie Związkowi Pracowników Wodnych. Arnie będzie płacił panu Yee, a ten z kolei da mi pensję. Każdy będzie zadowolony i czemuż by nie? Grzebanie się w chorym umyśle nieprzystosowanego dziecka jest niewątpliwie bardziej obiecującą perspektywą niż grzebanie w lodówkach i koderach. A jeśli to dziecko cierpi z powodu tych samych wizji, których ja też doświadczam...”

Jack znał teorię czasową, którą Glaub popisywał się jako swoją własną. Czytał o niej w „Scientific American”. Przeczytał na temat schizofrenii wszystko, co tylko wpadło mu w ręce. Wiedział, że teorię stworzyli Szwajcarzy, że doktor Glaub jej nie wynalazł.

„Jaka dziwaczna teoria – pomyślał. – Jednak jest w niej trochę prawdy.”

– Wracajmy do restauracji – odezwał się do dziewczyny.

Był bardzo głodny, a zanosilo się na wystawny obiad.

– Jesteś odważnym człowiekiem, Jacku Bohlenie – orzekła Doreen.

– Dlaczego? – zapytał.

– Ponieważ wracasz do miejsca, które cię niepokoi, do ludzi, którzy wywołali u ciebie wizję, jak powiedziałaś: wizję wieczności. Ja bym się na to nie zdobyła. Uciekłabym.

– W tym właśnie cała rzecz, żeby człowiek uciekał. Taka wizja ma zniszczyć jego stosunki z innymi ludźmi, odizolować go od wszystkich. Jeśli podziała skutecznie, nastąpi zerwanie kontaktu z rzeczywistością. To mają na myśli lekarze mówiąc, że nazwa „schizofrenia” nie jest diagnozą, lecz prognozą; nie mówi niczego o tym, na czym człowiek teraz stoi, ale jak

prawdopodobnie potoczy się jego życie.

„A ja nie mam zamiaru skończyć w odcięciu od świata – rzekł sobie w myślach. – Jak Manfred Steiner, który nie mówi i jest w zakładzie. Chcę zachować pracę, żonę, syna i przyjaciół. – Spojrzał na trzymającą go pod ramię dziewczynę. – Tak, i nawet mieć przygody miłosne. Mam zamiar próbować.”

Kiedy wracali, wsadził ręce do kieszeni. Dotknął czegoś, co było małe, zimne i twarde. Ze zdziwieniem wyciągnął przedmiot z kieszeni i ujrzał coś przypominającego pomarszczony korzeń drzewa.

– A co to takiego? – zapytała Doreen.

Była to wróżka wodna, którą rano na pustyni podarowali Jackowi Murzochidzi. Zupełnie o niej zapomniał.

– Amulet – odpowiedział Jack.

Wzdrygnęła się.

– Toż to okropne!

– Tak – zgodził się – ale mi sprzyja. A my, schizofrenicy, mamy pewien problem: wyczuwamy nieświadomą wrogość u innych ludzi.

– Wiem. Czynniki telepatyczny. U Claya to się pogłębiało coraz bardziej, aż... – rzuciła Jackowi szybkie spojrzenie – pojawiła się paranoja.

– Najgorsze w naszej chorobie jest właśnie wyczuwanie nawet u obcych tłumionej agresji i okrucieństwa. Cholernie żałuję, że mamy tę właściwość. Czujemy agresję nawet u ludzi w restauracjach... – Przypomniał mu się Glaub. – W autobusach, w teatrze. W tłumie.

– Wiesz, czego Arnie chce się dowiedzieć od syna Steinera? – spytała Doreen.

– No, ta teoria mówiąca o jasnowidzeniu...

– Ale czego Arnie chce się dowiedzieć o przyszłości? Nie masz pojęcia, prawda? I nigdy, oczywiście, nie przyszłoby ci do głowy, żeby spróbować się tego dowiedzieć?

Tak właśnie było. Jack w ogóle się tym nie zainteresował.

– Poprzestaniesz – powiedziała powoli przyglądając mu się uważnie – na wykonaniu technicznej strony zadania i zmontujesz potrzebne urządzenie. Nieładnie, Jacku Bohlen. To nie wróży nic dobrego.

– No, tak – zgodził się. – To chyba bardzo schizofreniczne... takie poprzestawanie na czysto technicznych relacjach z otoczeniem.

– Zapytasz Arniego?

Poczuł się nieswojo.

– To jego sprawa, nie moja. Praca jest ciekawa i lubię Arniego. Wolę go od pana Yee. Po prostu... nie mam we krwi wtykania nosa w nie swoje sprawy. Taki już jestem.

– Myślę, że się boisz. Ale nie mam pojęcia dlaczego. Jesteś odważny, a jednak potwornie,

ale to potwornie przerażony.

– Może i tak – powiedział i zrobiło mu się smutno. Wrócili do restauracji.

Tej nocy, kiedy wszyscy już sobie poszli, z Doreen Anderton włącznie, Arnie Kott siedział sam w saloniku i napawał się osiągnięciami minionego dnia. Cóż to był za dzień!

Dopał dobrego montera, który już naprawił jego bezcenny koder i miał zbudować elektroniczne urządzenie do wykorzystania zdolności jasnowidzenia u autystycznego dziecka. Z psychiatriy wydobył za darmo potrzebne informacje, po czym udało mu się go spławić.

Tak więc, reasumując, dzień był wyjątkowy. Nie rozwiązane pozostały teraz tylko dwie kwestie: nastrojenie klawikordu i... co jeszcze, u licha? Zasiadł przed telewizorem, usiłując sobie przypomnieć to, co wyleciało mu z głowy. Nadawano mecz bokserski odbywający się w marsjańskiej kolonii USA o nazwie Piękna Ameryka.

Wreszcie przypomniał sobie o śmierci Norberta Steinera, która pociągała za sobą utratę źródła czarnorynkowych łakoci.

– Zaraz to załatwię – powiedział na głos Arnie.

Wyłączył telewizor i wyjął koder. Usiadł z mikrofonem w dłoni i przesłał wiadomość do Scotta Tempie, z którym wspólnie podejmował niezliczoną ilość przedsięwzięć. Tempie był kuzynem Eda Rockinghama i – co warto wiedzieć – dzięki umowom czarterowym z ONZ uzyskał kontrolę nad większością dostaw sprzętu medycznego, które docierały na Marsa. I jakież monopol zdołał w efekcie stworzyć!

Szpule dyktafonu obracały się zachęcająco.

– Jak się masz, Scott? – zaczął. – Słyszałeś już o tym biedaku Steinerze? Paskudna sprawa ta jego śmierć i w ogóle. Z tego wynika, że miał trochę nie w porządku pod sufitem. Jak my wszyscy zresztą. – W tym miejscu Arnie zaniósł się zdrowym, donośnym śmiechem. – Tak czy inaczej mamy teraz mały problem z naszymi dostawami. Chwytasz? No więc słuchaj, stary. Chciałbym omówić z tobą tę sprawę. Jestem w kropce. Kumasz? Wpadnij do mnie za dzień albo dwa, to ustalimy właściwy tok postępowania. Sądzę, że powinniśmy dać sobie spokój ze sprzętem Steinera. Zaczniemy wszystko od nowa. Zbudujemy własne malutkie lądowisko w jakimś ustronnym miejscu, zorganizujemy własne rakiety i wszystko, co potrzeba. Wędzonych ostryg nadal musi być pod dostatkiem.

Arnie wyłączył urządzenie i zastanowił się, czy o czymś nie zapomniał. Nie, powiedział wszystko. Między nim a facetem takim jak Scott nie trzeba było wielu słów. Interes załatwiał się szybko.

– To tyle, Scott – powiedział Arnie na zakończenie. – Spodziewam się ciebie niedługo.

Kiedy zdjął szpulę, przyszło mu na myśl, że warto przesłuchać taśmę, by upewnić się, że informacja została przełożona na szyfr. Boże, cóż to by była za katastrofa, gdyby jakimś cudem

wiadomość poszła nie zaszyfrowana!

Na szczęście wiadomość została zakodowana: urządzenie przełożyło jednostki semantyczne na kakofoniczną parodię współczesnej muzyki elektronicznej. Słuchając pisków, zgrzytów, jęków i dudnień – swego ulubionego kodu – Arnie uśmieł się do łez. Musiał pójść do łazienki i spryskać twarz zimną wodą. Wtedy dopiero się uspokoił.

Wrócił do koderu i starannie podpisał pudełko, do którego schował taśmę:

KARL WILLIAM DITTERSHAND
KANTATA „PIEŚŃ DUCHA WIATRU”

Karl William Dittershand był aktualnie ulubionym kompozytorem w kręgach intelektualistów na Ziemi. Arnie nie cierpiał tak zwanej muzyki elektronicznej. Jako purysta gustował przede wszystkim w Brahmsie. Miał niezły ubaw, kiedy zaszyfrowaną propozycję wejścia na czarny rynek opatrzył nazwą utworu Dittershanda. Następnie przedzwonił do pewnego członka związku, aby ten przekazał taśmę do brytyjskiej kolonii Nowa Brytania.

O wpół do dziewiątej wieczorem Arnie skończył załatwianie interesów i włączył telewizor, żeby obejrzeć zakończenie meczu. Zapalił kolejnego optimo admirala, rozsiadł się wygodnie w fotelu, puścił baka i starał się odprężyć. „Szkoda, że każdy dzień nie może być taki jak dzisiejszy – rozmarzył się Arnie. – Człowiek miałby wtedy ochotę żyć wiecznie. Takie dni po prostu mnie odmładzają.”

Poczuł się tak, jakby znowu miał dopiero czterdziestkę, „Pomyśleć tylko, że wejdem na czarny rynek. I po to, żeby sprowadzać drobiazgi w rodzaju galaretki z jeżyn, puszek marynowanego węgorka i wędzonego łososia.” Jednak sprawa warta była zabiegów, zwłaszcza dla Arniego.

„Nikt mnie nie pozbawi moich drobnych przyjemności – postanowił. – Jeśli Steiner sądził, że swoim samobójstwem dokopie mi w czule miejsce...”

– No, dalej, weź się w garść! – przynaglił czarnego boksera na ekranie, który brał właśnie tęgie cięgi od swojego przeciwnika. – Z życiem! Dołóż mu, ty palancie!

Zdawało się, że Murzyn skorzystał z rady, bo dźwignął się na nogi. Arnie Kott zarechotał z radości.

Jack Bohlen siedział przy oknie w małym pokoiku hotelowym, palił papierosa, pogrążony w rozmyśleniach. Zwykle zostawał tutaj na noc, kiedy miał dyżur podczas weekendu.

Wróciło. Po tylu latach obaw, że kiedyś będzie musiał stawić temu czoło. Teraz męczące oczekiwanie stało się rzeczywistością.

„Chryste – myślał z rozpaczą. – To prawda: miałeś to raz, a zostaje ci na zawsze.”

Wizyta w Szkole Publicznej przygotowała grunt. Kryzys nastąpił „Pod Wierzbami”

i kompletnie go załamał. Było dokładnie tak samo jak wtedy na Ziemi, gdy miał dwadzieścia kilka lat i pracował w Corona Corporation w centrum Redwood City. „Wiem, że przyczyniła się do tego śmierć Norberta Steinera – pomyślał. – Śmierć dotyka każdego, sprawia, że ludzie zaczynają robić dziwne rzeczy. Jest źródłem postępów i uczuć, które rozchodzą się jak kręgi na wodzie i ogarniają coraz więcej ludzi i rzeczy. Chyba zadzwonię do Sylwii – stwierdził. – Zapytam, jak sobie radzi z Frau Steiner i jej dziećmi.”

Rozmyślił się jednak.

„I tak w niczym nie mogę pomóc. Muszę zostać tutaj, w mieście, na dwudziestoczworgodzinny dyżurze, żeby w każdej chwili mogła się ze mną połączyć centrala telefoniczna pana Yee.”

Oprócz tego musiał też być do dyspozycji Arniego Kotta w Lewistown.

Spotkało go jednak coś, co wynagrodziło mu wszystkie przykrości i napełniło błogim, radosnym uczuciem. W jego portfelu znajdował się adres i numer telefonu Doreen Anderton.

Czy powinien do niej dziś wieczór zadzwonić?

„Coś takiego – myślał – spotkałem człowieka, kobietę w dodatku, z którym mogę swobodnie rozmawiać, który mnie rozumie, naprawdę chce słuchać i nie jest przerażony.”

To znaczyło dla niego bardzo dużo.

Żona Jacka była ostatnią osobą, z którą mógł porozmawiać o swojej chorobie. Kilka razy próbował to zrobić, ale przeraziła się i załamała nerwowo. Sylwii, jak wszystkich innych ludzi, ogarniało przerażenie na myśl, że schizofrenia mogłaby wtargnąć w jej życie... Ona sama kryła się przed nią za magiczną osłoną leków... jakby luminal mógł powstrzymać tę najgroźniejszą ze znanych człowiekowi chorób psychicznych. Bóg jeden wie, ile pigułek on sam połknął w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Pewnie starczyłoby ich na wybrukowanie drogi z domu do hotelu i z powrotem.

Po chwili zastanowienia zdecydował, że nie zadzwoni do Doreen. Lepiej zostawić sobie jej telefon jako ostatnią deskę ratunku, gdy sprawy przyjmą szczególnie zły obrót. Teraz czuł się w miarę spokojny. W przyszłości będzie jeszcze mnóstwo okazji do odszukania Doreen Anderton, spraw wymagających jej obecności.

Oczywiście będzie musiał być niezmiernie ostrożny, Doreen jest najprawdopodobniej kochanką Arniego Kotta. Jednak chyba wie, co robi, i z pewnością dobrze zna Arniego. Musiała wziąć to pod uwagę, kiedy dawała Jackowi swój numer telefonu i adres, albo gdy razem z nim opuszczała restaurację.

„Ufam jej – pomyślał Jack. – A dla schizofrenika to bardzo dużo.” Z tą myślą Jack Bohlen zduśił papierosa, wyjął piżamę i przygotował się do snu. Wsuwał się właśnie pod kołdrę, kiedy zadzwonił telefon.

„Wezwanie do naprawy” – przyszło mu na myśl, gdy wyskakiwał z łóżka, by podnieść

słuchawkę.

Pomylił się jednak. Odezwał się miękki kobiecy głos:

– Jack?

– Tak – odparł.

– Tu Doreen. Zastanawiałam się... czy u ciebie wszystko w porządku.

– Tak, w porządku – powiedział, siadając na skraju łóżka.

– Chciałbyś do mnie wpaść dziś wieczorem? Do domu?

– Noo... – zawahał się.

– Posłuchalibyśmy płyt i porozmawiali. Arnie pożyczył mi wiele rzadkich płyt stereo ze swojej kolekcji... niektóre są mocno zdarte, a kilka nawet koszmarnie. On jest zapalonym kolekcjonerem, wiesz? Ma największą na Marsie kolekcję nagrań Bacha. Klawikord chyba widziałeś?

A więc to on stał w saloniku Arniego.

– Nie będzie jakiejś wpadki?

– Nie. Nie przejmuj się Arniem; nie jest zaborczy, wiesz, o czym mówię.

– Dobrze. Zaraz będę – powiedział i wtedy uświadomił sobie, że nie może wyjść z hotelu, bo musi być pod telefonem w razie wezwania do naprawy. Chyba że mógłby odbierać wezwania u Doreen.

– Żaden problem – powiedziała, kiedy jej to wyjaśnił. – Zadzwoń do Arniego i wyjaśnię mu sprawę.

– Ale... – wydusił osłupiały Jack.

– Jack, chyba na głowę upadłeś, jeśli myślisz, że da się to ukryć. Arnie wie o wszystkim, co się dzieje w osadzie. Zostaw to mnie, kochanie. Zaraz do niego dzwonię. A ty się zbieraj. Jeśli będą jakieś wezwania, zanim doleczysz, zapiszę je, ale sądzę, że się żadne nie pojawią. Arnie nie chce, żebyś chodził naprawiać ludziom tostery, on woli zachować cię do swoich celów. Masz mu zrobić maszynę do porozumiewania się z synem Steinera.

– W porządku – powiedział. – Przylecę. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę.

Dziesięć minut później był w drodze do Lewistown. Lśniącym statkiem naprawczym firmy pana Yee leciał pod ciemnym niebem Marsa do kochanki Arniego Kotta.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dawid Bohlen wiedział, że jego dziadek Leo ma dużo pieniędzy i lubi je wydawać. Na przykład, zanim opuścili budynek terminalu raketowego, starszy pan w wyjściowym garniturze, kamizelce i złotych spinkach do mankietów (takiego ubrania chłopiec wypatrywał na rampie, skąd wychodzili pasażerowie) podszedł do stoiska z kwiatami i kupił dla matki Dawida bukiet ogromnych niebieskich kwiatów pochodzących z Ziemi. Chciał także kupić coś dla Dawida, ale nie było zabawek, jedynie słodycze. Kupił więc pudełko ważące całe kilo.

Dziadek Leo niósł pod pachą białą paczuszkę przewiazaną sznurkiem. Nie pozwolił, by zabrali ją urzędnicy i umieścili z resztą bagażu. Kiedy wyszli z budynku terminalu i znaleźli się w kopterze Jacka, dziadek Leo otworzył paczuszkę. Była w niej maca, pikle i krajana w plasterki peklowana wołowina w plastikowej folii. Wołowina ważyła półtora kilo.

– A niech to! – wykrzyknął zachwycony Jack. – Prosto z Nowego Jorku. Nie można tego dostać tutaj, w koloniach, tato.

– Wiem, Jack – odparł dziadek Leo. – Żydowscy kumple powiedzieli mi, gdzie dostać takie przysmaki; ja bardzo je lubię, więc pomyślałem, że i tobie będzie smakowało – mamy przecież podobne upodobania. – Zachichotał, zadowolony, że sprawił im tyle radości. – Gdy tylko dotrzemy do domu, zrobię wam kanapki. Od tego zacznę.

Kopter uniósł się ponad terminal raketowy i poszybował w stronę ogarniętej ciemnością pustyni.

– Jaką macie tu pogodę? – zapytał dziadek Leo.

– Często bywają burze – odparł Jack. – Nie dalej jak w zeszłym tygodniu dosłownie nas zasypało. Musieliśmy wypożyczyć sprzęt do odgarniania piasku.

– Niedobrze – powiedział dziadek. – Powinieneś postawić tę betonową ścianę, o której pisałeś w listach.

– Prace budowlane kosztują fortunę – odezwała się Sylwia. – To nie Ziemia.

– Wiem – odparł starszy pan – ale musicie ochraniać swoje dobra. Ten dom jest wiele wart, ziemia także: macie w pobliżu wodę, nie zapominajcie o tym.

– Jak moglibyśmy o tym zapomnieć? – westchnęła Sylwia. – Dobry Boże, zginęlibyśmy bez kanału.

– Czy poszerzono go w tym roku? – spytał Leo.

– Jest, jaki był – odparł Jack.

– Poglębiono go, dziadku – odezwał się Dawid. – Sam widziałem. Przyjechali ludzie z ONZ. Mieli wielką maszynę, która wysysała piasek z dna. Woda jest teraz dużo czystsza. Dlatego tata wyłączył filtry, a gdy przyjeżdża kanałowy i otwiera naszą śluzę, wodę pompuje się tak szybko,

że tata pozwolił mi założyć nowy ogródek warzywny. Mogę go podlewać resztkami wody. Mam kukurydzę i dynie, i trochę marchwi, ale coś zeżarło buraki. Wczoraj wieczorem jedliśmy kukurydzę z ogródka. Postawiliśmy płot, żeby nie wchodziły te małe zwierzaki... tato, jak one się nazywają?

– Szczury piaskowe. Jak tylko ogród Dawida zaczął dawać plony, pojawiły się szczury. Są takie wielkie. – Jack pokazał ojcu rękoma. – Nie są groźne, poza tym, że w ciągu dziesięciu minut mogą zjeść tyle, ile ważą. Doświadczeni osadnicy ostrzegali nas, ale musieliśmy tego zaznać na własnej skórze.

– To dobrze, że sami hodujecie warzywa – powiedział dziadek. – Pisałeś mi o swoim ogrodzie, Dawidzie. Chętnie go jutro zobaczę. Dziś jestem zmęczony. Przebyłem daleką drogę. Mimo że są teraz statki, które latają, jak to się mówi? z prędkością światła. Ale naprawdę nie są tak szybkie. Start i lądowanie nadal zajmują wiele czasu, a podczas lotu wciąż trzęsie. Obok mnie siedziała kobieta i strasznie się bała, bo myślała, że statek się pali. Było bardzo gorąco, nawet przy włączonej klimatyzacji. Nie mam pojęcia, dlaczego nic z tym nie zrobili. Bilety z całą pewnością nie są tanie. Ale i tak nastąpił duży postęp. Pamiętasz statek, którym wy przylecieliście swego czasu? Trwało to dwa miesiące!

– Mam nadzieję, że przywiozłeś ze sobą maskę tlenową – powiedział Jack. – Nasze są już zbyt stare, nie można na nich polegać.

– Oczywiście. Mam ją w brązowej walizce. Nie martw się o mnie. Zniosę tutejszą atmosferę. Mam z sobą różne tabletki nasercowe. Udoskonalone. W Domu wszystko stale się udoskonala. Rzecz jasna, Ziemia jest przeludniona, więc coraz więcej ludzi będzie emigrować na Marsa. Smog na Ziemi jest tak potworny, że prawie zabija.

– Dziadku, nasz sąsiad, pan Steiner, się zabił i jego syn Manfred przyjechał z obozu dla anormalnych dzieci, i tata buduje maszynę, żeby on mógł z nami rozmawiać – wyrzucił jednym tchem Dawid.

– To ładnie – powiedział Leo miłym głosem. Uśmiechnął się do chłopca. – To bardzo ciekawe, Dawidzie. Ile on ma lat?

– Dziesięć – odparł Dawid. – Ale mimo to nie umie mówić. Tata zbuduje tę maszynę. A wiesz, dziadku, u kogo tata teraz pracuje? U pana Kotta, który kieruje Związkiem Pracowników Wodnych i ich osadą. On jest strasznie ważnym człowiekiem.

– Na pewno o nim słyszałem – powiedział dziadek Leo i mrugnął do Jacka. Chłopiec to zauważył.

– Tato, nadal masz zamiar kupić tę ziemię w Górach F.D.R.? – zapytał Jack.

– Ależ oczywiście – odparł stary Bohlen. – Pewnie, że tak. Ma się rozumieć, wyruszyłem w drogę w celach towarzyskich, żeby spotkać się z wami, ale nie mogłbym zafundować sobie tyle wolnego, więc przyjechałem także w interesach.

– Miałem nadzieję, że z tego zrezygnujesz – powiedział Jack.

– Jack, już ty się o to nie martw – odparł dziadek Leo. – Wiem, co robię, i zostaw to mnie. Od lat zajmuję się handlem nieruchomościami. Posłuchaj, zabierz mnie kopterem nad F.D.R., żebym mógł na nie popatrzeć. Mam mnóstwo map, ale chcę te góry zobaczyć na własne oczy.

– Będziesz rozczarowany – wtrąciła Sylwia. – To pustkowie bez wody, właściwie życie tam nie istnieje.

– Nie zaprzatajmy tym sobie teraz głowy – powiedział dziadek. Uśmiechnął się do Dawida i trącił go łokciem. – Miło widzieć, że taki zdrowy, mocny chłopak żyje z dala od skażonego powietrza na Ziemi.

– No cóż, pobyt na Marsie ma także i złe strony – stwierdziła Sylwia. – Spróbuj przyzwycząić się do brudnej wody albo w ogóle pożyć bez wody, a sam zobaczysz.

– Wiem o tym – odparł z powagą Leo. – Musicie być ludźmi z charakterem, żeby tu mieszkać. Nie zapominajcie jednak o tym, że środowisko Marsa jest zdrowsze.

W dole pod nimi błyskały światła Bunchewood Park. Jack skierował kopter na północ, w kierunku domu. W drodze spoglądał co chwilę na ojca i nie mógł się nadziwić: ojciec prawie się nie postarzał. Jak na człowieka bliskiego osiemdziesiątki Leo dobrze się trzymał i był pełen życia. Nadal pracował, nie przeszedł na emeryturę, a spekulacja nieruchomościami wciąż jeszcze sprawiała mu taką radość jak dawniej.

Chociaż ojciec nie pokazał tego po sobie, Jack był pewny, że długa podróż z Ziemi wyczerpała go bardziej, niż się przyznawał. W każdym razie dolatywali już do domu. Strzałka żyrokompasu wskazywała 7.08054. Mieli przed sobą jeszcze tylko kilka minut drogi.

Gdy zostawili kopter na dachu i zeszli do domu, Leo od razu spełnił swoją obietnicę: zabrał się do pracy w kuchni i przygotował dla każdego kanapkę z macy i koszernej wołowiny. Wkrótce cała czwórka siedziała razem w pokoju gościnnym i zajadała. Wszyscy byli weseli i odprężeni.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo brakowało nam takiego jedzenia – odezwała się w końcu Sylwia. – Nawet na czarnym rynku...

Rzuciła Jackowi szybkie spojrzenie.

– Czasem na czarnym rynku można dostać jedzenie – powiedział Jack – chociaż ostatnio coraz trudniej. My go nie kupujemy. Nie chodzi o względy moralne, po prostu jest za drogie.

Rozmawiali przez chwilę, wypytując gościa, jak minęła podróż, jak żyje się na Ziemi. O wpół do jedenastej wieczorem Dawid pomaszerował do łóżka, a pół godziny później Sylwia przeprosiła towarzystwo i także położyła się spać. Leo i Jack zostali sami w pokoju gościnnym.

– Moglibyśmy wyjść i rzucić okiem na ogród Dawida? – spytał Leo. – Masz dobrą latarkę?

Jack wziął latarkę i wyszli z domu w chłodne powietrze nocy.

Przy grządce z kukurydzą Leo zapytał cichym głosem:

– Jak ostatnio układa się między tobą a Sylwią?

– Dobrze – odparł Jack nieco zaskoczony pytaniem.

– Zdawało mi się, że wasze stosunki uległy ochłodzeniu, to byłoby straszne, gdybyście się rozeszli. Masz wspaniałą żonę, taka się trafia raz na tysiąc.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział Jack nieprzyjemnym tonem.

– W Domu, gdy byłeś młody, lubiłeś sobie pohulać. Ale teraz, jak rozumiem, już się ustatkowałeś?

– Tak – odparł Jack. – Myślę, że coś sobie ubzdurałeś.

– Sprawiasz wrażenie odludka, Jack. Mam nadzieję, że nie wróciły twoje dawne kłopoty, wiesz, o czym mówię. Chodzi mi o...

– Wiem, o czym mówisz.

Leo nieubłaganie ciągnął dalej:

– Kiedy byłem chłopcem, po prostu taka choroba psychiczna nie istniała. To znak czasów: skutek przeludnienia. Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zachorowałeś. Kilka lat wcześniej, gdy miałeś, powiedzmy, siedemnaście lat, traktowałeś innych ozięble, w ogóle cię nie obchodzili. Byłeś ponury. Wydaje mi się, że teraz też taki jesteś.

Jack wlepił wzrok w ojca. Na tym właśnie polega problem, gdy przyjeżdżają z wizytą rodzice. Nie mogą oprzeć się pokusie podjęcia dawnych ról, stania się znowu alfą i omegą. Dla Leo Jack nie był dorosłym mężczyzną mającym żonę i dziecko, był po prostu jego synem.

– Posłuchaj – zaczął Jack. – Tutaj, na Marsie, żyje bardzo mało ludzi. Jak na razie ta planeta jest prawie nie zaludniona. To chyba jasne, że ludzie są mniej towarzyscy. Muszą być bardziej zamknięci w sobie niż tam, na Ziemi, gdzie dzień w dzień żyją w stadzie.

Leo skinął głową.

– Mhm. Ale właśnie dlatego powinni się cieszyć, gdy widzą innych.

– Jeśli masz na myśli siebie, to bardzo się cieszę, że cię widzę.

– Pewnie. Wiem o tym. Może po prostu jestem zmęczony. A jednak wydajesz mi się milczący, jakiś zamyślony.

– To z powodu mojej pracy – odparł Jack. – Chodzi o to autystyczne dziecko, Manfreda... Wciąż o nim myślę.

Mimo to, jak w dawnych czasach, mocą rodzicielskiej intuicji ojciec bez wysiłku przejrzał myśli Jacka.

– Daj spokój, chłopcze. Może rzeczywiście chodzi o robotę, ale twoja praca wymaga rąk, nie głowy, a ja mówię o twojej głowie. Tam jesteś zamknięty. Czy na Marsie mógłbyś zgłosić się na tę całą psychoterapię? Nie mów, że nie musisz, bo ja wiem lepiej.

– Muszę czy nie muszę – powiedział Jack – to, do diabła, nie twój interes.

Obok, w ciemności, ojciec zamilkł zbity z tropu.

– W porządku, chłopcze – mruknął. – Przepraszam, że się wtrąciłem.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

– Do czorta, tato – odezwał się Jack. – Nie kłóćmy się. Wracajmy, napijmy się czegoś, a potem: spać. Sylwia posłała ci wygodne łóżko w drugiej sypialni. Na pewno się dobrze wyśpisz.

– Sylwia jest bardzo wyczulona na potrzeby innych – powiedział Leo z nutką wyrzutu w głosie. Potem dodał łagodniej: – Jack, przez cały czas się o ciebie martwię. Może jestem staromodny i nie znam się na tych wszystkich chorobach psychicznych. Chyba każdy dzisiaj jakąś ma, to powszechne jak kiedyś grypa albo polio. Gdy byliśmy dziećmi, prawie wszyscy łapaliśmy odrę. Teraz ty złapałeś to. Choruje co trzecia osoba. Słyszałem w telewizji. Schizo... czy jak tam. Wiesz, Jack, myślę, że masz po co żyć, więc dlaczego odwracasz się od życia jak ci wszyscy schizole? To bez sensu. Masz tu całą planetę do zdobycia. Na przykład jutro polecimy nad Góry F.D.R. i będziesz mógł mi pokazać całą okolicę. Potem muszę załatwić wszystkie szczegóły związane z procedurą prawną. Mam zamiar kupić tam działkę. Mógłbyś i ty kupić. Słuchasz mnie? Pożyczę ci pieniądze.

Z nadzieją uśmiechnął się do Jacka, ukazując garnitur sztucznych zębów.

– Mnie to nie obchodzi – odparł Jack. – Ale dziękuję.

– Wezmę dla ciebie działkę – zaproponował Leo.

– Nie. Nie jestem zainteresowany.

– Tobie... podoba się twoja praca, tak, Jack? Robienie maszyny do rozmowy z małym chłopcem, który nie umie mówić? To wygląda na szlachetne zajęcie. Jestem dumny, że się tego podjąłeś. Dawid też jest z ciebie dumny, a to taki wspaniały chłopak.

– Wiem – powiedział Jack.

– Dawid nie ma objawów tego schizo czegoś?

– Nie.

– Nie wiem, skąd to się wzięło u ciebie. Na pewno nie ode mnie, ja kocham ludzi – powiedział Leo.

– Ja także.

Jack był ciekaw, jak ojciec zareagowałby, gdyby wiedział o Doreen. Prawdopodobnie miałby mu za złe. Należał do pokolenia ludzi pruderyjnych. Urodził się w 1924, a więc dawno, dawno temu. Wtedy żyło się zupełnie inaczej. Zadziwiające, jak ojciec potrafił się przystosować do nowych czasów. To był istny cud: Leo, urodzony w poprzedzającym pierwszą wojnę światową okresie dobrej koniunktury, znalazł się tutaj, na skraju marsjańskiej pustyni... Mimo to nie rozumiałby, dlaczego Jack związał się z Doreen, jak ważne było dla niego utrzymanie tak bliskiego związku z innym człowiekiem, i że pragnął go zachować za każdą cenę, prawie za każdą.

– Jak jej na imię? – zapytał Leo.

– C...co? – wyjąkał Jack.

– Jestem po trosze tak zwanym telepatą – odrzekł Leo bezbarwnym głosem. – Może nie?

– Widocznie tak – odparł Jack po chwili.

– Czy Sylwia wie?

– Nie.

– Mogłem się tego domyślić, bo nie patrzyłeś mi w oczy.

– Bzdury! – zachnął się Jack.

– Jest mężatką? Ma dzieci, no, ta kobieta, z którą się związałeś?

– Dlaczego nie posłużysz się swoimi telepatycznymi zdolnościami, żeby się tego dowiedzieć? – burknął Jack. Starał się zachować spokój.

– Po prostu nie chcę, żeby Sylwia cierpiała.

– Nie będzie.

– To smutne – powiedział Leo – przelecieć tyle drogi, żeby się dowiedzieć czegoś takiego. No cóż... – westchnął. – W każdym razie mam swoje sprawy do załatwienia. Jutro wstajemy wcześniej i bierzemy się do roboty.

– Nie oceniaj mnie zbyt surowo, tato.

– Dobrze – zgodził się Leo. – Wiem, nowe czasy. Myślisz, że dzięki skokom w bok będziesz normalny? Może i tak. Może to droga do normalności. Nie myślę, że jesteś nienormalny...

– Ale trochę stuknięty – powiedział Jack w przypiływie goryczy.

„Chryste, własny ojciec. – pomyślał. – To dopust Boży. Aż żal bierze.”

– Wiem, że z tego wyjdiesz – powiedział Leo. – Widzę teraz, że starasz się to zwalczyć, nie romansujesz ot, tak sobie. Poznają to po twoim głosie: masz kłopoty. Te same, które miałeś kiedyś, tylko że z wiekiem człowiek się staje coraz mniej odporny i trudniej mu to znosić, no nie? Taak, potrafię to zrozumieć. Na tej planecie ludzie są samotni. To cud, że wy, emigranci, od razu nie powariowaliście. Rozumiem, dlaczego cenicie sobie każde uczucie, które się wam trafi. Potrzebne ci coś takiego, co cię pociągnie, tak jak mnie ziemia. Ty może znajdziesz to dzięki budowie maszyny dla tego biednego niemowy. Swoją drogą chciałbym go zobaczyć.

– Zobaczysz – odparł Jack. – Może jutro.

Stali jeszcze chwilę w ciemności, a potem weszli do domu.

– Czy Sylwia wciąż bierze narkotyki? – zapytał Leo.

– Narkotyki! – zaśmiał się Jack. – Luminal? Owszem, bierze.

– Taka miła dziewczyna – westchnął Leo. – Szkoda, że jest wciąż spięta i zdenerwowana. I jeszcze, jak mi mówiłeś, pomaga tej nieszczęsnej wdowie z sąsiedztwa.

Kiedy wrócili do pokoju gościnnego, Leo usiadł w fotelu Jacka. Założył nogę na nogę, westchnął i rozparł się wygodnie, gotów do dalszej rozmowy... Wyraźnie miał mnóstwo do

powiedzenia, chciał pogadać o różnych sprawach.

Sylwia prawie już zapadła w sen. Umysł miała przytępiony pod wpływem stumiligramowej tabletki luminalu, którą, jak zwykle, połknęła przed pójściem do łóżka. Jak przez mgłę dochodziły do niej z podwórka strzępki rozmowy męża i teścia. W pewnej chwili ich głosy stały się ostre i Sylwia zaniepokojona usiadła na łóżku.

„Czy oni mają zamiar się kłócić? Boże, mam nadzieję, że nie. Chyba wizyta Leo nie narobi nam kłopotów?”

Jednak głosy przycichły i Sylwia, uspokojona, znowu się położyła.

„To miły, schludny starszy pan – pomyślała. – Ma z Jackiem tyle wspólnego, z tą różnicą, że on wie, czego chce od życia.”

Jej mąż zmienił się od czasu, gdy zaczął pracować dla Arniego Kotta. Z pewnością wpłynęło na to niecodzienne zadanie, jakie mu wyznaczono. Milczący, autystyczny syn Steinerów rozstrajał Sylwią nerwowo, a jednocześnie od pierwszej chwili, gdy go ujrzała, poczuła dla niego litość. Życie i tak było już bardzo skomplikowane. Chłopiec przemykał się koło domu, zawsze na palcach, zawsze z rozbieganym wzrokiem, jakby widział rzeczy, których nie ma, i słyszał dźwięki, których normalni ludzie nie słyszą. Gdyby tak można było cofnąć czas i w jakiś sposób przywrócić życie Norbertowi Steinerowi! Gdyby tak...

W jej otępiłym umyśle mignął obraz żałosnego człowieczka, który wychodzi rano z walizkami pełnymi towarów. Idzie do swoich klientów sprzedawać jogurt i melasę.

Czy on nadal gdzieś żyje? Może Manfred go widział, skoro – jak twierdzi Jack – jest przemieszczony w czasie. Jaką niespodziankę zgotuje im los, gdy już porozumieją się z chłopcem? Może widmo tego nieboraka Steinera wróci... Pewnie ich teoria okaże się słuszna: Manfred widzi przyszłość. Dostaną to, czego chcą. Ale dlaczego właśnie Jack? Po co ci to, Jack? Związek między tobą i tym chorym dzieckiem. Tego chcesz? Och... Myśli coraz bardziej się plątały.

A potem co? Czy będziesz mnie dalej kochał?

Nie ma więzi między chorymi i zdrowymi. Jesteś inny, to mnie dobija. Leo o tym wie i ja wiem. A ty? Czy mnie kochasz?

Spała.

Wysoko na niebie nad budynkiem krążyły drapieżne ptaki. Pod oknami leżały ich odchody. Pozbierał kilka wałeczków. Wiły się i rosły jak ciasto drożdżowe. Wiedział, że w nich kryją się żywe stworzenia. Ostrożnie zaniósł je do pustego korytarza budynku. W jednym z wałeczków, jakby utkany z włosów, pojawiła się szczelina. Rozszerzała się, rozszerzała, że rozerwała ścianę kokonu: ujrzał leżące na boku jakieś stworzenie.

Glublak! Zwinięty robak, mokre, białe jak kość zwoje, glublak z ludzkich wnętrzności.

Gdyby tylko te wysoko latające ptaki mogły go znaleźć i połknąć! Zbiegał ze schodów, umykających pod jego stopami. Brakujące deski, przez szpary widział leżącą w dole ziemię – mroczną, zimną jamę pełną zbutwiałego drewna, które zamieniło się w wilgotne próchno, stoczone przez glubłaka-zgniliznę.

Z uniesionymi ramionami, wśród krążących ptaków, wznosił się w górę i jednocześnie opadał. Ptaki oddziobywały mu głowę. Potem znalazł się na molo. Znad wody wystawały spiczaste płetwy rekinów. Ustawił się naprzeciwko jednego z nich, a ten z rozdziawioną paszczą wyskoczył do góry, żeby go połknąć. Cofnął się, ale w molo pojawiła się wyrwa. Środek zapadł się i zalała go woda.

Z nieba glubłało. Glubłało, gdziekolwiek spojrział. Grupa tych, którzy go nie lubili, pojawiła się na końcu mola. Trzymali pętlę z zębów rekina. On był cesarzem. Ukoronowali go pętlą i chciał im podziękować. Ale oni zsunęli mu pętlę na szyję i zaczęli go dusić. Zacisnęli pętlę i zęby rekina odcięły mu głowę. Znowu siedział w mrocznej, wilgotnej piwnicy i otaczało go zbutwiałe próchno. Słyszał wokół fale przyływu. Światem rządził Glublak, a on nie miał głosu, zęby rekina odcięły mu głos.

– Jestem Manfred – powiedział.

– Mówię ci – powiedział Arnie Kott do dziewczyny leżącej obok niego w szerokim łóżku – naprawdę będziesz zachwycona, gdy złapiemy z nim kontakt. To znaczy, znajdziemy tajemne przejście do jego duszy. Dotrzemy do przyszłości. A gdzie w końcu wszystko się dzieje, jak nie w przyszłości?

Doreen poruszyła się lekko i coś mruknęła.

– Nie śpij – powiedział Arnie przechylając się nad nią, by zapalić kolejnego papierosa. –

Wiesz co? Przyleciał dzisiaj z Domu największy spekulant ziemią. W terminalu raketowym mieliśmy naszego człowieka i on go rozpoznał, chociaż, rzecz jasna, spekulant podał przybrane nazwisko.

Sprawdziliśmy na liście pasażerów transportowca. Facet wymknął się naszemu człowiekowi. Mówiłem, że zaczną tu napływać. Przewidziałem to! Słuchaj, gdy porozumiemy się z dzieciakiem Steinera, to załatwi sprawę. Jak myślisz?

Potrząsnął śpiącą dziewczyną.

– Jeśli się nie obudzisz – powiedział – to zepchnę cię z łóżka i wylądujesz tyłkiem na podłodze. A wtedy możesz sobie iść do domu.

Doreen stęknęła, odwróciła się do niego i usiadła na łóżku. W przyćmionym świetle sypialni jej ciało prześwitywało lekko przez nocną koszulę. Dziewczyna ziewała i odgarniała włosy z twarzy. Jedno ramiączko koszuli zsunęło się, odsłaniając lewą pierś. Arnie z uznaniem popatrzył na sterczącą jędrną pierś z okiem sutka pośrodku.

„Cholera – rzekł sobie w duchu. – Dostała mi się niezła laska. Naprawdę seksowna. I wykonała rzeczywiście trudne zadanie, żeby zatrzymać tego Bohlena. Inaczej olałby wszystko i poszedł, gdzie pieprz rośnie. Tak postępują ci hebefreniczni schizofrenicy. Jest prawie niemożliwością zmusić ich do pracy, tak są humorzaści i nieodpowiedzialni. Ten Bohlen jest wyuczonym wariatem, który może jednak wykombinować coś z naszą maszyną. A my musimy dostosować się do jego wariactwa, musimy się z nim liczyć. Takiego faceta jak Bohlen nie można do niczego zmusić. On nie podda się żadnym naciskom.”

Arnie zrzucił z Doreen kołdrę. Uśmiechnął się na widok jej odkrytych nóg. Kiedy naciągnęła koszulę na kolana, uśmiechnął się znowu.

– Jak możesz być zmęczona? Nic nie robisz, tylko leżysz. Może nie? Czy to cię tak męczy?

Spojrzała na niego uważnie.

– Mam dość – powiedziała.

– Co? Chyba żartujesz! Dopiero zaczęliśmy. Ściągaj koszulę.

Złapał rąbek nocnej koszuli i znowu podwinął ją do góry. Podłożył pod dziewczynę rękę, uniósł ją, szybko zdjął jej koszulę przez głowę i rzucił na krzesło obok łóżka.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedziała Doreen zamykając oczy – zasypiam.

– Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko? Nadal tu jesteś, no nie? Śpisz czy nie śpisz, ciałem jesteś tu obecna, i to jeszcze jak!

– Auu – zaprotestowała.

– Przepraszam. – Pocałował ją w usta. – Nie chciałem, żeby cię zabolalo.

Jej głowa opadła bezwładnie. Dziewczyna naprawdę zasypiała. Arnie poczuł się urażony. Ale dlaczego, u diabła? Przecież przez cały czas była bierna.

– Gdy skończysz – mruknęła Doreen – wciągnij na mnie koszulę.

– Nie tak prędko.

„Mógłbym to robić i całą godzinę – pomyślał Arnie. – Może nawet dwie. Chyba lubię to i w taki sposób. Śpiąca kobieta nie mówi, a właśnie gadanie wszystko psuje. No i te ich jęki.”

Arnie nie znosił jęków.

„Umieram z niecierpliwości, kiedy wreszcie Bohlen osiągnie jakieś wyniki. Nie mogę czekać. Wiem, że gdy już zaczniemy się porozumiewać z dzieckiem, dowiemy się czegoś naprawdę wspaniałego. Pomyśleć tylko, ile skarbów kryje zamknięty umysł tego chłopca. Musi być jak świat z bajki: piękny i zupełnie niewinny.”

Doreen jęknęła przez sen.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jack Bohlen położył na dłoni ojca duże zielone nasiono. Leo obejrzał je i zwrócił synowi.

– Co zobaczyłeś? – spytał Jack.

– Nasiono.

– Czy coś zauważyłeś?

Leo zastanowił się, ale nie widział, by zaszła jakaś zmiana.

– Nie – powiedział w końcu.

– A teraz patrz.

Jack siedział przy rzutniku. Zgasił światło. Na ekranie pojawił się obraz. Maszynka terkotała. Leo ujrzał zakopane w ziemi ziarno. Na jego oczach pękło. Pojawiły się dwa penetrujące kielki: jeden wysunął się w górę, drugi podzielił na cieniutkie włoski i po omacku powędrował w dół. Ziarno obróciło się w ziemi. Rosnący ku górze kielek puścił pąki. Leo wstrzymał oddech.

– Jack – powiedział. – Ależ wy tu macie nasiona! No popatrz, u licha, rośnie jak wściekle.

– To zwykła fasola limańska. Taka sama, jaką ci pokazałem przed chwilą. Film jest przyspieszony, pięć dni ściśnięto do kilku sekund. Dzięki temu możemy dostrzec ruchy zachodzące w kielkującym nasionie. Normalnie ten proces odbywa się zbyt wolno, byśmy mogli uchwycić jakąkolwiek zmianę.

– No wiesz, Jack? To ci dopiero! A więc tempo tego dziecka jest takie jak nasiona? Rozumiem. Rzeczy, które dla nas się poruszają, dla niego przelatują tak cholernie szybko, że stają się niewidoczne. Daję głowę, że dzieciak widzi tak wolno zachodzące zdarzenia jak na przykład kiełkowanie. Słowo daję, on może siedzieć na podwórku i patrzeć jak rosną rośliny, a pięć dni jest dla niego jak dla nas, powiedzmy, dziesięć minut.

– Tak w każdym razie mówi teoria – stwierdził Jack.

Przeszedł do omawiania zasad działania komory spowalniającej. Jego objaśnienia pełne były technicznych terminów, których Leo nie rozumiał, stąd nieco irytowały go przydługie wywody syna. Była już jedenasta, a Jack wciąż nie przejawiał najmniejszej chęci zabrania go na wycieczkę w Góry F.D.R. Zdawał się całkowicie pochłonięty swoimi rozważaniami.

– Bardzo interesujące – mruknął Leo w pewnej chwili.

– Weźmiemy taśmę magnetofonową nagrany w tempie czterdziestu centymetrów na sekundę i odtworzymy ją Manfredowi w tempie dziesięciu centymetrów na sekundę. Na taśmie będzie nagrane jedno słowo, na przykład „drzewo”. W tym samym czasie wyświetlimy obraz drzewa, a pod nim odpowiednie słowo, zamrożony kadr, który my będziemy widzieli przez piętnaście lub dwadzieścia minut. To, co powie Manfred, będzie nagrane w tempie trzydziestu siedmiu

centymetrów na sekundę, my zaś przesłuchamy to w tempie dziewięciu centymetrów na sekundę.

– Słuchaj, Jack – powiedział Leo. – Czas ruszać na wycieczkę.

– Chryste! – odparł Jack. – Przecież to moja praca. – Zrobił niecierpliwy gest ręką. – Myślałem, że chcesz go zobaczyć. Będzie tu za chwilę. Ona go wysyła...

– Posłuchaj mnie, synu – przerwał mu Leo. – Przebyłem miliony kilometrów, żeby zobaczyć tę ziemię. Lecimy tam w końcu, czy nie?

– Poczekamy na chłopca i zabierzemy go z sobą.

– Niech ci będzie – zgodził się Leo.

Starał się nie wdawać w sprzeczki. Był skłonny do kompromisów, w każdym razie w rozsądnych granicach.

– Mój Boże, po raz pierwszy w życiu znalazłeś się na innej planecie. Myślałem, że zechcesz się przejść po okolicy, popatrzeć na kanały, na rowy. – Jack wskazał ręką na prawo. – Nawet nie spojrzawsz na to wszystko. Tymczasem ludzie całe wieki chcieli zobaczyć te kanały, toczyli spory na temat ich istnienia!

Leo poczuł się dotknięty, lecz skwapliwie przytaknął.

– W takim razie pokaż mi je – powiedział.

Wyszli z pracowni na mgliste czerwone światło.

– Zimno – zauważył Leo wciągając nosem powietrze. – Tu rzeczywiście lżej są chodzi. Wczoraj wieczorem poczułem się tak, jakbym ważył jedynie dwadzieścia pięć albo trzydzieści kilogramów. To pewnie dlatego, że Mars jest taki mały, no nie? Powinni się tu dobrze czuć sercowcy, z tym że powietrze jest dla nich zbyt rozrzedzone. Dzisiaj w nocy myślałem, że to przez tę wołowinę...

– Leo – odezwał się Jack. – Bądź z łaski swojej cicho i rozejrzyj się wokoło.

Leo rozejrzył się wokoło. Ujrzał płaską pustynię i rysujące się w dali niewysokie góry. Ujrzał głęboki rów z leniwie płynącą brunatną wodą, a wokół rowu zieloną, przypominającą mech roślinność. To było wszystko, poza domem Jacka i stojącym nieco dalej domem Steinerów. Ujrzał też ogród, ale ten widział już wieczorem.

– No i co? – spytał Jack.

– To robi wrażenie – odparł Leo przez grzeczność. – Masz ładny dom, mały i nowoczesny. Posadziłbym tylko więcej roślin ozdobnych i byłby wprost idealny.

– Milion lat o tym marzono – powiedział Jack z krzywym uśmiechem. – Stać tutaj i patrzeć na to wszystko.

– Wiem, synu, i jestem wyjątkowo dumny z tego, co osiągnąłeś ty i ta wspaniała kobieta. – Leo z powagą kiwnął głową. – Czy teraz możemy już ruszać? Poszedłbyś do sąsiadów i przyprowadził chłopca albo Dawid by pobiegł? Może nawet już tam jest, nie widzę go nigdzie

w pobliżu.

– Dawid jest w szkole. Przyszli po niego, gdy jeszcze spałeś.

– Nie mam nic przeciwko temu, byśmy zaszli tam i zabrali tego Manfreda, czy jak mu tam, jeśli ci to odpowiada.

– A więc dobrze – powiedział Jack. – Chodźmy.

Minęli mały rów z wodą, pokonali otwarty piaszczysty teren porośnięty z rzadka przypominającymi paprocie roślinami i dotarli do domu sąsiadów. Z wnętrza dochodziły dziewczęce głosy. Leo bez wahania wszedł po schodach na ganek i nacisnął dzwonek.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich tęga jasnowłosa kobieta o zmęczonych, pełnych bólu oczach.

– Dzień dobry – odezwał się Leo. – Jestem ojcem Jacka Bohlena. Mam przyjemność z gospodynią domu, prawda? Zabieramy pani syna na wycieczkę. Oddamy go całego i zdrowego.

Tęga blondynka spojrzała na Jacka, który stał za plecami ojca. Bez słowa odwróciła się i poszła w głąb domu. Po chwili przyprowadziła chłopca.

„A więc to jest ten mały schizolek – pomyślał Leo. – Ładny chłopak, nigdy bym nie pomyślał.”

– Wybieramy się na przejażdżkę, młody człowieku – powiedział do chłopca. – Co ty na to?

Wtedy przypomniał sobie, co mówił mu Jack o poczuciu czasu u chłopca, i powtórzył wszystko powoli, przeciągając każde słowo.

Chłopiec wypadł z domu i popędził w stronę kanału. Mknął jak strzała i po chwili zniknął wszystkim z oczu.

– Pani Steiner – powiedział Jack. – Proszę poznać mojego ojca.

Tęga blondynka odruchowo wyciągnęła rękę na powitanie. Sprawiała wrażenie nieobecnej duchem. Mimo to Leo uściskał jej rękę.

– Miło mi panią poznać – powiedział uprzejmie. – Przykro mi z powodu pani męża. To doprawdy straszne i tak nieoczekiwane. Znałem kiedyś pewnego faceta w Detroit, to był mój bliski przyjaciel. Zrobił to samo w czasie weekendu. Pożegnał się, wyszedł do sklepu... i było po nim.

– Mnie także miło pana poznać, panie Bohlen – odparła pani Steiner.

– Znajdziemy Manfreda – zwrócił się do niej Jack. – Powinniśmy wrócić późnym popołudniem.

Kiedy Leo i jego syn odeszli, kobieta nadal stała na ganku i patrzyła za nimi.

– Ona sama też jest dość dziwna – mruknął Leo.

Jack milczał.

Chłopca znaleźli w ogródku Dawida i wkrótce cała trójka wsiadła do koptera firmy Yee. Lecieli nad pustynią w kierunku położonych na północy gór. Leo rozłożył wielką mapę, którą przywiózł z sobą, i zaczął stawiać na niej jakieś znaki.

– Możemy rozmawiać swobodnie? – upewnił się wskazując chłopca ruchem głowy. – On chyba... – zawahał się. – No wiesz.

– Jeśli nas zrozumie – powiedział oschle Jack – to będzie...

– Dobrze już, dobrze – przerwał mu ojciec. – Chciałem się tylko upewnić. – Przezornie powstrzymał się przed zaznaczeniem na mapie miejsca, o którym słyszał, że stanie się własnością ONZ. Zaznaczył jednak przebieg trasy koptera na podstawie wskazań żyrokompasu widocznych na tablicy rozdzielczej. – Jakie plotki co do planów ONZ związanych z łańcuchem F.D.R. do ciebie dotarły? – zapytał.

– Słyszałem coś o parku i o elektrowni.

– Chcesz się dowiedzieć, o co naprawdę chodzi?

– Pewnie.

Leo sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął kopertę. Wyciągnął z niej fotografię i podał Jackowi.

– Czy to ci coś przypomina?

Fotografia przedstawiała wąski, wysoki budynek. Jack przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę.

– ONZ – powiedział Leo – ma zamiar budować takie domy. Wielorodzinne. Zajmą całe połacie ziemi, całe kilometry. Będą miały własne centra handlowe, supermarkety, sklepy ze sprzętem komputerowym, apteki, pralnie i budki z lodami. Wszystko zostanie zbudowane za pomocą automatów budowlanych, które się odpowiednio zaprogramuje.

– To wygląda jak dom spółdzielczy, w którym mieszkałem wiele lat temu, gdy miałem dołek psychiczny.

– Dokładnie. Ruch spółdzielczy rozwinie się pod patronatem ONZ. Góry F.D.R. były kiedyś żyznym rejonem, każdy o tym wie. Obfitowały w wodę. Hydrotechnicy z ONZ twierdzą, że zdołają doprowadzić pod powierzchnię wielkie ilości wód gruntowych. W tych górach znajdują się one płytko, jak nigdzie na Marsie. To pierwotne źródło wody dla sieci kanałów. Tak uważają hydrotechnicy.

– Budynki spółdzielcze – powiedział Jack dziwnym głosem. – Tutaj, na Marsie.

– To będą ładne, nowoczesne budowle. Projekt jest dość ambitny. ONZ przetransportuje ludzi za darmo. Zapewni im bezpośredni dojazd. Ceny mieszkań nie będą wysokie. Osiedle zajmie pokątną część tego terenu. ONZ sądzi, że minie z piętnaście lat, zanim prace nad projektem dobiegną końca.

Jack milczał.

– To spowoduje masową emigrację – dodał Leo.

– Tak sędzę – odparł Jack.

– Kredyty są wprost fantastyczne – wyjaśnił Leo. – Sama spółdzielnia przeznaczona na to blisko trylion dolarów. Dysponuje sporą gotówką, to jedna z najbogatszych organizacji na Ziemi. Ma większe aktywa niż zakład ubezpieczeń społecznych czy którakolwiek z wielkich sieci banków. – I dodał jeszcze: – ONZ przez sześć lat prowadziło z nimi rozmowy.

– To będzie oznaczało duże zmiany dla Marsa – podsumował Jack. – Choćby tyle, że łańcuch F.D.R. będzie znowu żyzny.

– I gęsto zaludniony – przypomniał Leo.

– Aż trudno w to uwierzyć.

– Taaak, wiem, chłopcze. Lecz nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. W ciągu kilku tygodni sprawa zyska powszechny rozgłos. Ja wiem o tym od miesiąca. Namawiałem znajomych inwestorów, by zaryzykowali i ulokowali tu kapitał... reprezentuję ich, Jack. Na własną rękę nie zebrałbym tyle pieniędzy.

– Chcesz przez to powiedzieć, że cała rzecz polega na tym, by załatwić sprawę, nim ONZ weźmie się do roboty? Zamierzasz kupić tę ziemię za bezcen, a potem sprzedać ją ONZ za duże pieniądze?

– Mamy zamiar kupić ją w dużych kawałkach – odparł Leo – i od razu podzielić na mniejsze. Podzielimy ją na parcele o wymiarach, powiedzmy, cztery metry na trzy. Prawo posiadania będzie w rękach dość dużej liczby osób: żon, kuzynów, pracowników, przyjaciół i członków mojego zrzeszenia.

– Twojego syndykatu – uściślił Jack.

– Tak, właśnie – ucieszył się Leo. – Syndykatu.

Po chwili Jack powiedział szorstkim głosem:

– I nie wydaje ci się, że robisz coś złego?

– Złego? W jakim sensie? Nie wiem, o co ci chodzi, synu.

– Chryste – powiedział Jack. – Przecież to jasne.

– Nie dla mnie. Wytłumacz mi.

– Kantujecie ludzi na Ziemi. To oni będą musieli wyłożyć wszystkie pieniądze. Powiększacie koszty projektu, żeby ubić dobry interes.

– Ależ, Jack, na tym polega spekulacja nieruchomościami. – Leo był zakłopotany. – A ty myślałeś, że jak się to odbywa? Tak jest od wieków: kupujesz ziemię tanio, gdy nikt jej nie chce, bo z jakiegoś powodu jesteś przekonany, że pewnego dnia będzie warta dużo więcej. Korzystasz z poufnych informacji. Kiedy się bierzesz za spekulację ziemią, tylko czymś takim możesz się kierować. Każdy spekulant na świecie będzie próbował wykupić tę ziemię, jeśli tylko coś wpadnie mu w ucho. W zasadzie robią to już teraz. Wyprzedziłem ich o kilka dni. Powstrzymałem

ich przepis wymagający fizycznej obecności nabywcy na Marsie. Nie byli przygotowani, by z miejsca tutaj przybyć. A więc stracili okazję. Bo liczę na to, że jeszcze przed wieczorem wpłacę zadatek za ziemię, którą chcemy kupić. – Wskazał palcem przed siebie. – To tam. Wziąłem z sobą najróżniejsze mapy, nie będę miał kłopotów z jej odnalezieniem. Ten obszar leży na dnie potężnego kanionu o nazwie Henry Wallace. Zgodnie z prawem muszę w dosłownym sensie postawić stopę na obszarze, który chcę kupić, i umieścić w dobrze widocznym miejscu jakieś stałe oznaczenie, całkowicie dające się zidentyfikować. Mam taki znacznik ze sobą: stalowy słupek z moim nazwiskiem, jak każe przepis. Wylądujemy w kanionie Henry Wallace i pomożesz mi wbić słupek w ziemię. To zwykła formalność. Nie zajmie więcej niż kilka minut.

Leo uśmiechnął się do syna.

„To on jest chory psychicznie” – pomyślał Jack patrząc na ojca.

Ten jednak uśmiechał się uspokajająco i Jack wiedział, że tak naprawdę, to ojciec nie jest chory, że sprawa przedstawia się dokładnie tak, jak powiedział. Spekulanci zawsze tak postępowali, w ten sposób załatwiali swoje interesy. Rzeczywiście miała się zacząć realizacja zakrojonego na szeroką skalę wspólnego projektu ONZ i spółdzielni. Tak sprytny i doświadczony biznesmen jak jego ojciec nie mógł się mylić. Leo Bohlen i jego wspólnicy nie podjęli decyzji na podstawie plotek. Znali jakieś wysoko postawione osoby, które były ich wtyczkami. W spółdzielni, w ONZ albo w obu organizacjach naraz pojawił się przeciek informacji. Leo uruchomił wszystkie rezerwy, aby to wykorzystać.

– Jak dotąd jest to największa nowina – powiedział Jack – dotycząca rozwoju Marsa.

Nadal nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Dzieje się to o wiele za późno. Powinno się było zacząć zaraz na początku. Spodziewali się, że prywatny kapitał się zaangażuje, a jednak czekali, aż zrobią to inni.

– To odmieni życie wszystkich ludzi na Marsie – stwierdził Jack. – Zmieni układ sił, stworzy całkiem nową klasę rządzącą. Arnie Kott i Bosley Touvim, kolonie związkowe i narodowościowe – staną się płótkami, gdy tylko spółdzielnia wspomagana przez ONZ wkroczy na te tereny.

„Biedny Arnie – pomyślał Jack. – On tego nie dożyje. Czas, postęp, cywilizacja – wszystko go ominie. Arnie i jego maleńki symbol zbytku: łaźnia parowa, która trwoni wodę...”

– Słuchaj, Jack – powiedział ojciec – nie rozgłaszaj tego, bo to poufna informacja. Musimy strzec się nieuczciwych posunięć hipoteki, ludzi, którzy wciągają w rejestr prawa własności. Wiesz, damy zadatek, a wtedy dostaną cynk inni spekulanci, zwłaszcza tutejsi. Zaczną naciskać na hipotekę, żeby zmieniła...

– Rozumiem – przerwał mu Jack.

„Hipoteka mogłaby antydatować zadatek miejscowych spekulantów, dając im tym samym

rzekome pierwszeństwo. Istnieje wiele chwytów, które można zastosować w takiej grze – pomyślał. – Nic dziwnego, że ojciec działa ostrożnie.”

– Sprawdziliśmy tutejszy urząd. Wygląda na to, że są uczciwi. Ale gdy tak wiele wchodzi w grę, nigdy nic nie wiadomo.

Nagle Manfred Steiner wydał z siebie chrapliwy pomruk.

Jack i Leo spojrzeli na niego przestraszeni. Całkiem o nim zapomnieli. Chłopiec usadowił się na tylnym siedzeniu koptera i przyciskając twarz do szyby spoglądał w dół. W podnieceniu pokazywał coś palcem.

Daleko w dole Jack ujrzał wędrującą górskim szlakiem grupę Murzochidów.

– Wszystko w porządku – powiedział do chłopca. – Tam na dole są ludzie. Pewnie polują.

Przyszło mu do głowy, że Manfred prawdopodobnie nigdy nie widział Murzochidów.

„Ciekaw jestem, jak by zareagował – zastanawiał się – gdyby nagle znalazł się z nimi oko w oko.”

To bardzo łatwo zorganizować. Wystarczy wylądować przed tą oto osobliwą gromadką.

– Co to za jedni? – zapytał Leo patrząc w dół. – Marsjanie?

– Właśnie.

– Niech to licho – zaśmiał się starszy pan. – A więc to są Marsjanie... przypominają raczej rdzenną ludność murzyńską, afrykańskich buszmenów.

– Są z nimi blisko spokrewnieni – powiedział Jack.

Manfred był coraz bardziej podekscytowany. Błyszczały mu oczy, biegał od okna do okna, spoglądał w dół i mruczał coś pod nosem. „Co by się stało, gdyby Manfred spędził trochę czasu z rodziną Murzochidów? – zastanawiał się Jack. – Oni poruszają się wolniej niż my. Ich życie jest mniej skomplikowane i nie tak intensywne jak nasze. Może ich poczucie czasu jest mu bliższe... dla Murzochidów jesteśmy maniakami, którzy wydatkują potężne ilości energii na nic. Lecz w ten sposób Manfred nie wróciłby do swojej własnej społeczności. Gdyby go umieścić pośród Murzochidów, mógłby tak bardzo się od nas oddalić, że na zawsze stracilibyśmy szansę nawiązania z nim kontaktu.” Przemyślawszy to sobie, Jack zrezygnował z lądowania.

– Czy oni w ogóle pracują? – spytał Leo. – Ci Marsjanie?

– Kilku udało się, jak to mówią, oswoić. Jednak większość nadal prowadzi dawny tryb życia. Polują i zbierają owoce. Jeszcze nie doszli do etapu uprawy roli.

Gdy dolecieli do Henry Wallace, Jack wylądował. Cała trójka wyszła na spieczony słońcem kamienisty grunt. Manfred dostał do zabawy papier i kredki, a obaj mężczyźni wyruszyli w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na wbicie słupka.

Dotarli do płaskowyżu i tam Jack umieścił słupkę, podczas gdy jego ojciec spacerował po okolicy przyglądając się formacjom skalnym i roślinom. Leo był wyraźnie zdenerwowany i marszczył brwi z wyrazem zniecierpliwienia. Chyba nie spodobał mu się ten bezładny teren.

Mimo to nic nie powiedział, a nawet z uprzejmym zainteresowaniem zwrócił uwagę na skamieliny, które pokazał mu Jack.

Zrobili zdjęcia słupka i jego okolicy. Zadanie zostało wykonane, wrócili więc do koperta. Manfred, siedząc, pracowicie rysował coś kredkami. Jack stwierdził, że widocznie pustkowie nie wywołuje w nim niepokoju. Pograżony w swoim wewnętrznym świecie chłopiec rysował obrazek i w ogóle nie zwracał uwagi na swych towarzyszy. Chwilami podnosił wzrok, nie patrzył jednak na mężczyzn. Z jego oczu ziała pustka.

„Co on rysuje? – zaciekawiał się Jack i podszedł do chłopca od tyłu, by spojrzeć na kartkę.

Od czasu do czasu Manfred podnosił głowę znad kartki i nieobecny wzrokiem wodził po okolicy. Rysował wielkie monotonne domy czynszowe o wielu kondygnacjach.

– Spójrz, tato – powiedział Jack, starając się mówić spokojnie.

Obydwaj stali za chłopcem i patrzyli. Domy na papierze stawały się coraz wyraźniejsze.

„Chłopiec rysuje domy, które kiedyś będą tu stały – pomyślał Jack. – Co do tego nie ma wątpliwości. Rysuje przyszły krajobraz, nie ten, który teraz widzimy.”

– Ciekawe, czy widział fotografię – odezwał się Leo. – Tę z modelami, pokazywałem ją ci.

– Może tak – odparł Jack.

To byłoby jakieś wyjaśnienie. Chłopiec zrozumiał ich rozmowę, widział mapy i zdjęcia. To stało się bodźcem. Jednak zdjęcie pokazywało budynki z lotu ptaka, a więc z innej perspektywy. Chłopiec naszkicował budynki tak, jak postrzegałby je obserwator stojący na ziemi.

„Tak widziałby je ktoś, kto stałby na naszym miejscu” – uprzytomnił sobie Jack.

– Wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że w tej teorii czasowej jest ziarno prawdy – powiedział Leo. Spojrzał na zegarek. – A skoro o czasie mowa, to sądzę...

– Tak – odparł zamyślony Jack. – Trzeba wracać.

Nagle w rysunku dziecka dostrzegł coś więcej. Zastanawiał się, czy jego ojciec też to zauważył. Ogromne domy spółdzielcze, które rysował chłopiec, ulegały na ich oczach złowieszczej przemianie. Pojawiło się kilka nowych szczegółów. Leo wlepił wzrok w kartkę. Prychnął i spojrzał na syna.

Domy rozpadały się ze starości. Od fundamentów biegły w górę ogromne rysy. Szyby w oknach były powybijane. Okolicę porastało wysokie, sztywne zielsko. Cały obraz tchnął ruiną, beznadziejnością i nieskończonym, ciężkim smutkiem.

– Jack, ależ on rysuje rudery! – krzyknął Leo.

Rzeczywiście, to były wałace się rudery. Budynki, które stały od lat, może nawet od dziesiątków lat. Minał czas ich świetności, chyliły się ku upadkowi, stawały się zmurszałe i opuszczone.

Manfred wskazał ziejącą szczelinę, którą właśnie narysował.

– Glublak – powiedział.

Pokazał zielsko i stłuczone okna.

– Glublak – powiedział znowu.

Patrzył na nich z lęklwym uśmiechem na twarzy.

– Co to znaczy, Manfred? – zapytał Jack.

Chłopiec nie odpowiedział. Rysował dalej. Budynki stawały się coraz starsze i starsze, z każdą chwilą coraz bardziej obracały się w ruinę.

– Chodźmy stąd – powiedział Leo chrapliwie.

Jack zabrał papier i kredki. Podniósł chłopca z ziemi. Cała trójka wsiadła do koptera.

– Popatrz no, Jack – powiedział Leo. Uważnie oglądał rysunek. – Co jest napisane nad wejściem do budynku?

Koślawe, rozchwane litery układały się w napis:

AM-WEB

– To pewnie nazwa budynku – orzekł Leo.

– Tak, właśnie – odparł Jack rozpoznając słowo. Był to skrót hasła spółdzielni: *Alle Menschen werden Brüder*; Wszyscy ludzie będą braćmi – szepnął. – To jest wydrukowane na spółdzielniowym papierze listowym.

Dobrze pamiętał to hasło.

Manfred znowu wziął kredki i zabrał się do pracy. Zaczął dorysowywać coś na górze kartki. Jack domyślił się, że to jakieś ciemne ptaki. Były ogromne, ponure, podobne do sępów.

W stłuczonym oknie budynku Manfred narysował okrągłą twarz z ustami w podkówkę. Ten ktoś był w budynku. Wyglądał na zewnątrz z niemą rozpaczą w oczach, jak gdyby zamknięto go w pułapce.

– No cóż – odezwał się Leo. – To interesujące. – Na jego twarzy malowało się wzburzenie. – Dlaczego musiał narysować właśnie coś takiego? Nie wydaje mi się, żeby to było zdrowe podejście do świata. Dlaczego nie mógł narysować nowych domów, bawiących się dzieci, zwierząt i zadowolonych ludzi? Przecież tak to będzie wyglądało?

Może on rysuje to, co widzi – powiedział Jack.

– Jeśli widzi coś takiego, to znaczy, że jest chory. Tyle jest na świecie pogodnych i cudownych rzeczy. Dlaczego musi widzieć właśnie to?

– Może dlatego, że nie ma innego wyboru – odparł Jack.

„Glublak – pomyślał. – Ciekawe, czy glublak to może być czas? Czy też siła, która dla chłopca oznacza rozkład, zepsucie, zniszczenie i w końcu śmierć? Działa wszędzie, dotyka całego wszechświata. Czy on tylko to widzi? W takim razie nic dziwnego, że dotknięty jest autyzmem, i że nie może się z nami porozumieć. Taki obraz rzeczywistości jest cząstkowy, nie oddaje w pełni istoty czasu. Bo czas wnosi do życia nowe elementy, w tym także proces dojrzewania i rozwoju. Widocznie Manfred nie postrzega czasu w ten sposób. Czy jest chory

dlatego, że to widzi? Czy raczej widzi to dlatego, że jest chory? Może to bezsensowne pytanie. Zresztą i tak nikt nie może na nie odpowiedzieć. Taki jest obraz świata Manfreda. My uważamy go za beznadziejnie chorego. Chłopiec nie dostrzega całej tej drugiej strony rzeczywistości, którą my widzimy. A to, co widzi, jest jej najbardziej przerażającym i odrażającym przejawem. Tymczasem mówi się, że choroba psychiczna jest ucieczką od rzeczywistości!

Jacka przeszedł zimny dreszcz. To nie była ucieczka, ale agonia, kurczenie się życia, stacanie się do butwiejącego, wilgotnego grobu, miejsca, gdzie czas się zatrzymał, miejsca całkowitego niebytu.

„Cholernie biedny dzieciak – pomyślał. – Jak może żyć z poczuciem, że przebywa w takiej rzeczywistości?”

Zasepił się. Skoncentrował się na pilotowaniu koptera. Leo wyglądał przez okno i przypatrywał się leżącej w dole pustyni. Manfred z twarzą ściągniętą przerażeniem rysował dalej.

Glublali i glublali. Przytknął ręce do uszu, ale dźwięk wpelzał mu przez nos. Zobaczył miejsce, w którym konał. Zamknęli go tu, gdzie leżały sięgające po pas stosy glublaków, glublaki były też w powietrzu.

– Jak się pan nazywa?

– Steiner, Manfred.

– Wiek.

– Osiemdziesiąt trzy lata.

– Szczepiony przeciw ospie?

– Tak.

– Jakież choroby weneryczne?

– No cóż, lekki tryper, to wszystko.

– A więc klinika wenerologiczna.

– Proszę pana, moje zęby. Są w torbie, razem z moimi oczami.

– Pańskie oczy, ach tak. Dać temu panu zęby i oczy, zanim zabierzecie go do kliniki. A co z uszami, panie Steiner?

– Mam je na sobie. Dziękuję.

Przywiązano mu ręce gazą do obu krawędzi łóżka, bo próbował wyrwać cewnik. Leżał odwrócony twarzą do okna i wyglądał przez zakurzoną, pękniętą szybę.

Na zewnątrz żuk o długich nogach dłubał w stosach, szukając pokarmu. Wtem coś rozgniotło go i poszło dalej, a on został z martwymi zębami wbitymi w to, co chciał zjeść. Zęby wypełzły mu z pyska i rozeszły się wokoło.

Manfred leżał tu od stu dwudziestu trzech lat. Potem wysiadła jego sztuczna wątroba. Stracił

przytomność i umarł. Do tego czasu amputowano mu oba ramiona i nogi aż po miednicę, bo te części jego ciała uschły.

I tak się nimi nie posługiwał. A bez rąk nie mógł wyrwać cewnika i z tego byli zadowoleni.

„Jestem już bardzo długo w AM-WEB. Czy moglibyście przynieść mi tranzystor? Nastawiłbym go na śniadaniu z kumplem Fredem. Lubię słuchać muzyki, a oni puszczają dużo starych przebojów. Złapałem katar sienny. To przez to żółto kwitnące zielsko. Dlaczego pozwalają, by tak wybujało? Widziałem kiedyś mecz piłkarski.” Przez dwa dni leżał na podłodze w wielkiej kałuży.

W końcu znalazła go gospodyni i zadzwoniła po karetkę, żeby go tu przywieźli. Całą drogę chrapał i to go w końcu obudziło. Kiedy próbowali mu podać sok grejpfrutowy, okazało się, że może poruszać tylko jedną ręką, druga nigdy już nie odzyskała sprawności. Żałował, że nie może nadal wyrabiać skórzanych pasów. Praca była zabawna i zajmowała mnóstwo czasu. Czasami sprzedawał je ludziom, którzy zachodzili tutaj w weekendy.

– Manfred, wiesz kim jestem?

– Nie.

– Jestem Arnie Kott. Dlaczego się nigdy nie śmiejesz? Nie lubisz biegać i się bawić?

Pan Kott zglublywał mu z pola widzenia.

– Widocznie nie, Arnie. Ale to nas nie interesuje.

– Co widzisz, Manfred? Powiedz nam, co widzisz. Ludzi? Czy będą tu mieszkać ludzie? Tak? Czy to prawda, Manfred? Czy widzisz, że tu mieszka dużo ludzi?

Oślonił twarz rękami i glublanie ustało.

– Nie rozumiem, dlaczego ten dzieciak się nigdy nie śmieje.

Glub-glub, glub-glub.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pod skórą pana Kotta były martwe kości, lśniące i mokre. Pan Kott był workiem kości, brudnych i lśniących wilgocią. Zamiast głowy miał czaszkę, która wchłaniała i gryzła pleśń. W jego wnętrzu pleśń przechodziła w zgniliznę, w miarę jak coś ją zżerało i rozkładało.

Widział wszystko, co się działo we wnętrzu pana Kotta – tętniące głublanie. Tymczasem powłoka pana Kotta powiedziała:

– Uwielbiam Mozarta. Zaraz coś wam puszczę.

Na pudełku było napisane: Symfonia nr 40 g-moll, K. 550. Pan Kott gmerał przy gąłkach wzmacniacza.

– Dyryguje Bruno Walter – powiedział do gości. – Rarytas ze złotego wieku nagrań.

Z głośników dobiegły potworne ryki i piski, jak rechot tłumu nieboszczyków.

– Przepraszam – mruknął Arnie.

To była stara zakodowana informacja z Rockingham, od Scotta Tempie albo od Anny, od kogoś tam w każdym razie. Kott o tym wiedział. Wiedział, że przez przypadek ta taśma zawędrowała do jego płytoteki.

– Co za koszmar – powiedziała Doreen Anderton pociągając drinka. – Powinieneś był nam tego oszczędzić, Arnie. Twoje poczucie humoru...

– Przypadek – warknął ze złością Arnie.

Wygrzebał następną taśmę.

„Mam to wszystko gdzieś” – pomyślał.

– Słuchaj, Jack – zwrócił się do Bohlena. – Wiem, że gościsz u siebie ojca, przykro mi, że musiałeś tu przyjść, ale mam coraz mniej czasu. Pokaż mi, co osiągnąłeś z chłopakiem Steinerów, dobrze?

Był niespokojny i zaczął się jąkać. Patrzył na Jacka z wyczekiwaniem.

Ten jednak go nie słuchał. Mówił coś do Doreen, która siedziała obok niego na kanapie.

– Skończyła się woda – odstawił pustą szklankę.

– Na miłość boską! – krzyknął Arnie – Muszę się dowiedzieć, co już zrobiłeś, Jack. Nie masz mi nic do powiedzenia? Macie zamiar tak tam siedzieć, szeptać i się gzić? Niedobrze mi.

Niepewnym krokiem poszedł do kuchni. Heliogabalus siedział na wysokim stołku jak uczeń w oślej ławce i czytał gazetę.

– Daj mi szklankę ciepłej wody z sodą – powiedział Arnie.

– Tak, panie – Heliogabalus złożył gazetę i zszedł ze stołka. – Podśluchiwałem. Dlaczego ich pan nie odeśle? Nie ma z nich żadnego pożytku, zupełnie żadnego.

Z szafki nad zlewem wyjął paczkę wodorowęglanu sodu. Odmierzył łyżeczkę.

– A kogo obchodzi twoje zdanie? – rzucił Arnie.

Do kuchni weszła Doreen. Miała wymizerowaną i zmęczoną twarz.

– Arnie, chyba pójdę do domu. Naprawdę mam już dość Manfreda. On nigdy nie przestaje się kręcić, nigdy nie siedzi cicho. Nie mogę tego wytrzymać. – Podeszła do Arniego i pocałowała go w ucho. – Dobranoc, kochanie.

– Czytałem o dzieciaku, który myślał, że jest maszyną – powiedział Arnie. – Trzeba go było podłączyć do prądu, żeby chodził. Tak to nazywał. Czasem trzeba znosić takich czubków. Nie odchodź. Zostań przynajmniej ze względu na mnie. Manfred zachowuje się dużo spokojniej, kiedy w pobliżu jest kobieta. Nie wiem dlaczego. Mam przeczucie, że Bohlen niczego nie osiągnął. Zaraz mu to powiem prosto w oczy. – Oswojony Murzochid wetknął mu szklanę w prawą rękę. – Dziękuję. – Arnie z wdzięcznością wypił sodę.

– Jack Bohlen – powiedziała Doreen – wykonał kawał dobrej roboty w trudnych warunkach. Nie chcę słyszeć żadnych niemiłych uwag pod jego adresem. – Zachwiała się lekko. – Jestem trochę wstawiona – dodała z uśmiechem.

– A kto nie jest? – spytał Arnie. – Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. – Tak się spiłem, że aż mi niedobrze. Przyznaję, że ten dzieciak mnie też wnerwia. Sama widziałas, puściłem starą zakodowaną taśmę. Chyba mi odbiło. Jestem ostatnim tumanem. – Odstawił szklanę i odpiął górne guziki bluzki Doreen. – Nie patrz na nas, Helio. Czytaj sobie, czytaj.

Murzochid odwrócił wzrok. Przyciskając do siebie Doreen Arnie odpiął pozostałe guziki jej bluzki i zaczął rozpinać spódnicę.

– Wiem, że te sukinsyny z Ziemi mnie ubiegły. Wszędzie ich pełno, gdziekolwiek spojrzysz. Mój człowiek w terminalu aż nie mógł się ich doliczyć. Przylatywali przez cały dzień. Chodźmy do łóżka.

Pocałował Doreen w obojczyk i wtulił twarz w ramię dziewczyny. Ustami zaczął błądzić po jej ciele. Ujęła jego głowę i odsunęła od siebie.

W saloniku rewelacyjny monter wynajęty od pana Yee majstrował przy magnetofonie. Niezdarnie usiłował zmienić taśmę. Przewrócił pustą szklanę.

„Co zrobię, jeśli dotrą tam przede mną? – zadał sobie pytanie Arnie. Przyłgął do Doreen i powoli okręcał się z nią po kuchni, podczas gdy Heliogabalus czytał. – A co będzie, jeżeli w ogóle nie wezmę udziału w licytacji? Równie Robrze mógłbym wtedy odwalić kitę. – Przegiął Doreen do tyłu, snując dalej swoje rozważania. – Musi znaleźć się dla mnie miejsce. Kocham tę planetę.

Zadudniła ogłuszająca muzyka. Jack Bohlen puścił taśmę.

Doreen uszczypnęła Arniego ze złością. Puścił ją i wrócił do saloniku. Ściszył muzykę i powiedział:

– Jack, przystąpmy do interesów.

– Dobrze – zgodził się Bohlen.

Z kuchni wyszła Doreen zapinając bluzkę. Szerokim Jukiem ominęła klęczącego Manfreda. Chłopiec rozłożył na podłodze arkusz papieru i naklejał na nim wycinki z czasopism. Na dywanie były plamy po rozchlapanym kleju. Arnie pochylił się nad chłopcem.

– Manfred, wiesz kim jestem? – zapytał.

Chłopiec nawet nie drgnął. W żaden sposób nie pokazał po sobie, że coś do niego dotarło.

– Jestem Arnie Kott. Dlaczego się nigdy nie śmiejesz? Nie lubisz biegać i się bawić?

Było mu żal chłopca, czuł potworne zmęczenie.

– Widocznie nie, Arnie – powiedział Jack niepewnym, zachrypniętym głosem. – Ale to nas nie interesuje.

Był zamroczony alkoholem. Ręka, w której trzymał szklanekę, drżała.

– Co widzisz, Manfred? – pytał dalej Arnie. – Powiedz nam, co widzisz.

Daremnie czekał na odpowiedź. Chłopiec skupił całą uwagę na klejeniu. Na papierze powstał kolaż: strzęp zieleni, dalej pionowa ściana, bura i obskurna, odpychająca.

– Co to znaczy? – zapytał Arnie.

– To pewne miejsce – odparł Jack. – Budynek. Przyniosłem coś podobnego ze sobą.

Wyszedł na moment i wrócił z kopertą w ręku. Duży, pogięty rysunek dziecka. Podał go Arniemu.

– Zobacz – powiedział. – To jest to. Chciałeś, nawiązał z nim kontakt, no i nawiązałem.

Przy dłuższych słowach płatał mu się język.

Arnie nie przejmował się jednak, że monter jest pijany. Przywykł do tego, że jego goście zalewali się w trupa. Alkohol był na Marsie rzadkością, kiedy więc ludzi nim częstowano, tak jak w domu Arniego, zazwyczaj zachowywali się jak Bohlen. Dla Arniego liczyło się tylko to, czy Jack wykonał zadanie. Wziął obrazek i przyjrzał mu się uważnie.

– Tylko tyle? – spytał Jacka. – Nic więcej?

– Nic.

– A co z komorą spowalniającą?

– Nic – odparł Jack.

– Czy chłopiec potrafi czytać w przyszłości?

– Oczywiście – odpowiedział Jack. – Co do tego nie ma wątpliwości. Najlepszym dowodem jest ten rysunek, chyba że usłyszał naszą rozmowę. – Odwrócił się do Doreen i spytał powoli ochryplym głosem: – Myślisz, że nas słyszał? Nie, ciebie tam nie było. To był mój ojciec. Nie sądzę, że chłopiec coś usłyszał. A więc, Arnie: nie jest ci pisane zobaczyć ten dom, ale wydaje mi się, że to i dobrze. Teraz jest już za późno. Nikt z nas go nie zobaczy. Tak to miejsce będzie wyglądało za sto lat, kiedy obróci się w ruinę.

– Co to jest, do cholery? – zapytał Arnie. – Nie umiem rozszyfrować wariackiego obrazka jakiegoś dziecka. Wyjaśnij mi, o co chodzi.

– To AM-WEB – odparł Jack. – Ogromne osiedle. Mieszkają tu tysiące ludzi. To największe osiedle na Marsie. Tylko że, jak widać na obrazku, powoli się rozpada.

Zapadło milczenie. Arnie był zbity z tropu.

– Może cię to nie interesuje – powiedział Jack.

– Zainteresuje mnie z pewnością – odparł rozzłoszczony Arnie. Zwrócił się do Doreen, która stała z boku z nieobecny wyrazem twarzy. – Ty coś z tego rozumiesz?

– Nie, kochanie – odrzekła.

– Jack – ciągnął Arnie – wezwałem cię tutaj, żebyś zdał mi raport. Tymczasem dostałem jedynie jakiś wytwór chorego umysłu. Gdzie jest to wielkie osiedle?

– W Górach F.D.R.

W Arniem na chwilę zamarło serce.

– Ach, tak – powiedział. – Rozumiem.

– Wiedziałem, że zrozumiesz – odparł Jack z uśmiechem. – Że cię to zainteresuje. Wiesz, Arnie, wy myślicie, że jestem schizofrenikiem, ty i Doreen, i mój ojciec... ale mnie naprawdę obchodzi, jakie są twoje motywacje. Mogę ci dostarczyć mnóstwo informacji o projekcie ONZ dotyczącym Gór F.D.R. Co jeszcze chcesz wiedzieć? Nie powstanie tam ani elektrownia, ani park. ONZ kooperuje ze spółdzielnią. Zbudują wielomieszkaniowe budynki, nieskończenie wielką konstrukcję z własnymi supermarketami i piekarniami, w samym środku Henry Wallace.

– Wyciągnąłeś to wszystko z tego dzieciaka?

– Nie – odrzekł Jack. – Od mojego ojca.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Twój ojciec jest spekulantem? – zapytał Arnie.

– Tak.

– Przed paru dniami przyleciał z Ziemi?

– Tak.

– Jezu! – powiedział Arnie do Doreen. – Jezus Maria, to jego ojciec! I już wykupił ziemię.

– Zgadza się – potwierdził Jack.

– Czy coś jeszcze zostało?

Jack pokręcił głową.

– Jezu Chryste! – rzekł Arnie. – A ja mu dałem posadę. Jeszcze nigdy nie miałem takiego pecha.

– Aż do tej chwili nie miałem pojęcia, że tego właśnie chciałeś się dowiedzieć.

– Tak, to prawda – potwierdził Arnie. Zwrócił się do Doreen: – Nic mu nie mówiłem, więc to nie jego wina. – Machinalnie wziął do ręki rysunek chłopca. – A więc tak to będzie

wyglądało.

– Ostatecznie tak – odparł Jack. – Ale nie od razu.

– Wiedziałeś o tym – powiedział Arnie do Manfreda – ale wydobyliśmy to z ciebie za późno.

– Za późno – powtórzył Jack. Zdawał się rozumieć, wyglądał na wstrząśniętego. – Przepraszam, Arnie. Naprawdę jest mi przykro. Powinieneś był mi powiedzieć.

– Nie twierdzę, że to twoja wina – odparł Arnie. – Nadal jesteśmy przyjaciółmi, Bohlen. To jedynie niefortunny zbieg okoliczności. Byłeś w stosunku do mnie całkowicie uczciwy. Zdaję sobie z tego sprawę. Cholera, jest naprawdę paskudnie. On, to znaczy twój ojciec, wystąpił już pewnie o prawo do parceli? No cóż, tak właśnie się to odbywa.

– On reprezentuje grupę inwestorów – powiedział Jack ochryłym głosem.

– Oczywiście. Z nieograniczonym kapitałem. Tak czy owak, cóż mógłbym zrobić? Nie mogę z nimi współzawodniczyć. Jestem sam. – Zwrócił się do Manfreda: – Ci ludzie – wskazał rysunek. – Czy będą tu mieszkać ludzie? Tak? Czy to prawda, Manfred? Czy widzisz, że tu mieszka dużo ludzi? – Mówił coraz głośniejszym głosem. Tracił nad sobą kontrolę.

– Arnie, proszę – odezwała się Doreen. – Uspokój się. Widzę, jak bardzo jesteś wytracony z równowagi, nie powinieneś tak się denerwować.

Arnie podniósł głowę i powiedział cicho:

– Nie rozumiem, dlaczego ten dzieciak się nigdy nie śmieje.

– Głub-głub – odezwał się nagle chłopiec.

– Taak – powiedział Arnie z goryczą. – Właśnie. To naprawdę dobry sposób porozumiewania się. Głub-głub. – Zwrócił się do Jacka: – Rzeczywiście wspaniale się z nim porozumiałeś. Właśnie to widzę.

Jack milczał. Zdawał się przybity i zakłopotany.

– Jak rozumiem, doprowadzenie do tego, by to dziecko mogło z nami rozmawiać – ciągnął Arnie – zajmie jeszcze dużo czasu. Czyż nie tak? Wielka szkoda, że nie możemy tego kontynuować. Jeśli o mnie chodzi, nie mam zamiaru dłużej zajmować się Manfredem.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbyś to robić – powiedział Jack matowym głosem.

– Właśnie. To tyle. Wykonałeś swoją robotę.

– Ale nadal może ci być potrzebny przy... – odezwała się Doreen.

– Och, tak, oczywiście – odrzekł Arnie. – Tak czy inaczej potrzebuję zręcznego monterka. Każdego dnia rozlatują mi się tysiące drobiazgów, na przykład koder. Mam na myśli pracę tutaj. Odeślij dzieciaka z powrotem do B-G. AM-WEB. Taak, budynki spółdzielcze mają takie właśnie dziwaczne nazwy. Spółdzielnia przylatuje na Marsa! To się nazywa brygada. Dużo zapłacą za ziemię, nieźle się obłowili. Powiedz ojcu, że biznesmen z niego pełną gębą.

– Uściśniemy sobie dłonie, Arnie? – zapytał Jack.

– Pewnie że tak. – Arnie wyciągnął do Jacka rękę.

Wymienili długi i mocny uścisk dłoni, patrząc sobie w oczy.

– Mam nadzieję, że będziemy się często widywali. To nie koniec naszej znajomości, a zaledwie początek.

Puścił rękę Jacka Bohlena i wyszedł do kuchni. Stał tam i rozmyślał.

Wkrótce podeszła do niego Doreen.

– To była dla ciebie straszna wiadomość, prawda? – Powiedziała obejmując go ramieniem.

– Fatalna. Najgorsza rzecz, jakiej się ostatnio dowiedziałem. Nie boję się spółdzielni. Lewistown i Związek Pracowników Wodnych byli tutaj pierwsi i prędko nie odejdą. Gdybym wcześniej wpadł na pomysł wykorzystania dziecka Steinera, wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie mogę za to winić Jacka.

Jednak w głębi serca myślał: „Działałeś przeciwko mnie Jack. Przez cały czas. Współpracowałeś z ojcem. Od początku, od chwili, gdy cię przyjąłem do pracy.”

Wrócił do saloniku. Jack stał przy magnetofonie i grzebał w przełącznikach. Był smutny i milczący.

– Nie przejmuj się tym tak bardzo – odezwał się do niego Arnie.

– Dziękuję. – Jack popatrzył na niego tępym wzrokiem. – Ale czuję, że cię zawiodłem.

– Nie zawiodłeś mnie, Jack – zapewnił go Arnie. – Bo mnie po prostu zawieść nie można.

Na podłodze Manfred Steiner nadal naklejał wycinki i nie zwracał na nikogo uwagi.

W drodze powrotnej z Gór F.D.R. Jack zastanawiał się: „Czy mam pokazać rysunek Arniemu? Czy mam zabrać go do Lewistown i dać mu do obejrzenia? To tak mało... powinienem do tej pory osiągnąć więcej.”

Wiedział, że wieczorem tak czy inaczej będzie musiał spotkać się z Arniem.

– To bardzo odludne miejsce – powiedział Leo wskazując leżącą w dole pustynię. – Zdziwiałe, że udało się wam do tego stopnia zmeliorować grunty. Powinniście być z tego dumni.

Lea przede wszystkim interesowały mapy, jednak dla zachowania pozorów prowadził zdawkową rozmowę. Jack sięgnął po nadajnik radiowy i połączył się z Arniem w Lewistown.

– Przepraszam, tato. Muszę porozmawiać z moim szefem.

Z radia dobiegła seria dźwięków, które na chwilę przyciągnęły uwagę Manfreda. Oderwał się od rysunku i podniósł głowę.

– Wezmę cię z sobą – zakomunikował Jack chłopcu.

Miał wreszcie przy odbiorniku Arniego.

– Cześć, Jack – odezwał się tubalny głos Kotta. – próbowałem cię złapać. Możesz...

– Przylecę do ciebie wieczorem – powiedział Jack.

– Nie da się wcześniej? Na przykład po południu?

– Obawiam się, że naprawdę mogę przylecieć dopiero wieczorem. Jest... – zawahał się. – Dopiero wieczorem będę miał ci coś do pokazania.

„Gdy porozmawiamy w cztery oczy – pomyślał Jack – powiem mu o projekcie ONZ i spółdzielni. Wszystkiego dowie się ode mnie. Poczekam, aż ojciec zarejestruje prawo własności i wtedy już nie będzie miało znaczenia, czy ktoś się o tym dowie.

– W takim razie do wieczora – odparł Arnie. – Będę siedział jak na szpilkach, Jack. Dosłownie. Wiem, że masz dla mnie coś nowego. Polegam na tobie.

Jack podziękował, pożegnał się i rozłączył.

– Zdaje mi się, że twój szef jest dżentelmenem – powiedział ojciec Jacka. – I z pewnością cię poważa. Sądzę, że z twoimi zdolnościami jesteś nieoceniony dla jego organizacji.

Jack milczał. Poczł się winny.

– Narysuj mi – zwrócił się do Manfreda – co zajdzie dziś wieczorem między mną a panem Kottem. – Zabrał kartkę, na której chłopiec rysował, i podał mu czystą. – Dobrze, Manfred? Widzisz, co będzie dziś wieczorem. Ty, ja i pan Kott. U pana Kotta w domu.

Chłopiec wziął niebieską kredkę i zabrał się do pracy. Jack pilotował kopter i zerkał na kartkę. Manfred rysował z wielką starannością. Z początku Jack nie mógł zrozumieć, co przedstawia obrazek. Po chwili jednak uchwycił znaczenie scenki. Dwaj mężczyźni. Jeden uderzał drugiego w oko.

Manfred zaśmiał się długim, ostrym, nerwowym śmiechem. Nagle przycisnął do siebie rysunek.

Jacka przeszedł zimny dreszcz. Zajął się sterami. Poczł na ciele lepki pot.

„Czy tak właśnie dzisiaj się to rozegra? – zadał sobie w myślach pytanie. – Starcie między mną i Arniem? A ty będziesz przy tym obecny... albo w każdym razie kiedyś się o tym dowiesz.”

– Jack – odezwał się Leo – podrzuciłbyś mnie do hipoteki i tam wysadził? Chcę zarejestrować prawo własności. Moglibyśmy polecieć od razu, zamiast najpierw wracać do domu? Muszę przyznać, że trochę się niepokoję. Z pewnością kręci się tam wielu miejscowych spekulantów. Ostrożność nigdy nie zawadzi.

– Powiem ci tylko tyle, tato: to, co chcesz zrobić, jest niemoralne.

– Zostaw to mnie. Taki jest mój sposób robienia interesów i nie mam zamiaru go zmieniać.

– Spekulacja – powiedział Jack.

– Nie będę z tobą dyskutował – odparł ojciec. – To nie twoja sprawa. Jeśli nie masz ochoty mi pomóc po tym, jak przeleciałem miliony kilometrów, to skorzystam z transportu publicznego.

Mówił spokojnie, ale poczerwieniał na twarzy.

– Zawiozę cię tam – ustąpił Jack.

– Nie mogę dłużej znieść twojego moralizowania.

Jack nie odpowiedział. Skierował kopter na północ, w kierunku budynków ONZ w Pax Grove. Manfred wciąż rysował. Jeden z bohaterów scenki, ten uderzony w oko, upadł na ziemię i leżał bez ruchu. Jack obserwował, jak postać rozciągnęła się na ziemi i znieruchomiła.

Czy to ja? – zastanawiał się – czy Arnie? Może pewnego dnia dowiem się.”

Pod skórą pana Kotta były martwe kości, lśniące i mokre, pan Kott był workiem kości, brudnych i lśniących wilgocią. Zamiast głowy miał czaszkę, która wchłaniała i gryzła pleśń. W jego wnętrzu pleśń przechodziła w zgniliznę, w miarę jak coś ją zżerało i rozkładało.

Jack Bohlen też był martwym workiem, w którym tętniło glublanie. Jego zewnętrzna powłoka mogła zmylić prawie każdego: była dobrze pomalowana i ładnie pachniała. Pochylała się nad panną Anderton i widział, że pragnie jej w ohydny sposób. Jego mokre, lepkie ciało podpełzało do niej coraz bliżej, a z ust wyskakiwały słowa jak martwe żuki.

– Uwielbiam Mozarta – mówił pan Kott. – Zaraz coś wam puszczę.

Gmerał przy gałkach wzmacniacza.

– Dyryguje Bruno Walter. Rarytas ze złotego wieku nagrań.

Z głośników dobiegły potworne ryki i piski, jak rechot tłumu nieboszczyków. Arnie Kott zatrzymał taśmę.

– Przepraszam – mruknął.

Jack Bohlen słysząc hałas skrzywił się z niesmakiem. Powąchał siedzące obok niego ciało. Na górnej wardze kobiety dostrzegł lśniące kropelki potu. Cieniutka smużka szminki sprawiała, że jej usta wyglądały jak nacięte. Chciał ugryźć ją w wargę, chciał zobaczyć w tym miejscu krew. Pragnął wsunąć kciuki pod jej pachy, palcami pomiętosić piersi. Wtedy poczułby, że należą do niego i może z nimi zrobić, co tylko zechce. Rozkołysał je już kiedyś i to było zabawne.

– Co za koszmar – powiedziała. – Powinieneś był nam tego oszczędzić, Arnie. Twoje poczucie humoru...

– Przypadek – warknął Arnie.

Wyrzebał następną taśmę.

Jack Bohlen położył rękę na biodrze kobiety. Nie miała pod spódnicą bielizny. Przesunął ręką po wewnętrznej stronie jej ud. Podciągnęła nogi w górę, odwróciła się w jego stronę i przywarła do niego kolanami. Skuliła się w oczekiwaniu, jak zwierzę.

„Nie mogę dłużej czekać, aż się stąd wydostaniemy, ty i ja, aż będziemy sami – pomyślał Jack. – Mój Boże, jak bardzo cię pragnę poczuć naga.”

Zacisnął palce wokół jej kostki. Jęknęła z bólu i uśmiechnęła się do niego.

– Słuchaj, Jack – powiedział Arnie Kott – ...przykro mi...

Zdanie się urwało. Jack nie usłyszał dalszego ciągu. Siedząca obok kobieta mówiła:

– Pospiesz się, ja też nie mogę czekać.

Dyszała ciężko i nie odrywała od niego wzroku. Jej twarz znalazła się blisko jego twarzy. Oczy miała wybałuszone, jak człowiek wbijany na pal. Żadne z nich nie słuchało Arniego. W pokoju zrobiło się cicho.

Czy nie usłyszał czegoś, co powiedział Arnie? Jack złapał swoją szklanę, ale była pusta.

– Skończyła się woda – powiedział, stawiając ją znowu na stoliku do kawy.

– Na miłość boską! – wykrzyknął Arnie – Muszę się dowiedzieć, co już zrobiłeś, Jack. Nie masz mi nic do powiedzenia?

Nie przestając mówić wyszedł do kuchni. Jego głos ucichł. Kobieta nadal wpatrywała się w Jacka. Z trudnością chwytiała powietrze, jakby znalazła się jego mocnym uścisku i brakło jej tchu.

„Musimy stąd iść, gdzieś, gdzie będziemy sami” – dotarło do Jacka. Rozejrzał się wokół i zobaczył, że są sami. Arnie wyszedł z pokoju i nie widział ich. Rozmawiał w kuchni ze swoim oswojonym Murzochidem. A więc byli już sami.

– Nie tutaj – powiedziała Doreen.

Drżała, ale nie opierała się, gdy objął ją w talii. Nie stawiała oporu, bo sama też tego chciała. Ona również nie potrafiła się opanować.

– Tak – powiedziała. – Ale pośpiesz się. – Wbiła paznokcie w jego barki i mocno zacisnęła powieki. Jęczała i wstrząsały nią dreszcze. – Rozpina się z boku... spódnica...

Kiedy się nad nią pochylił, jej senna, przejrzała niemal uroda zaczęła gasnąć. Zęby dziewczyny pokryły się żółtymi rysami, popękały i rozplynęły się w dziąsłach, które stały się zielone i wyschnięte jak rzemień. Zakaszła i zionęła na niego próchnem. Jack zrozumiał, że dobrał się do niej Glublak, nim on sam zdążył to zrobić, więc mu ją oddał. Doreen osunęła się do tyłu. Jej kości rozsypywały się z cichym chrzęstem.

Oczy dziewczyny zapadły się w głąb oczodołów i zmętniały. Rzęsy jednego z nich stały się kosmatymi mackami włochatego owada, który w nim ugrzązł i teraz starał się wydostać na zewnątrz. Jego czerwone oczko wielkości łebka od szpilki ukazało się zza zwiotczalej spojówki i schowało z powrotem. Owad zaczął się wić, wybrzuszając powierzchnię niewidzącego oka. Na chwilę wychynął przez źrenicę i rozejrzał się wkoło. Zobaczył Jacka, ale nie wiedział, kim lub czym on jest. Nie potrafił w pełni wykorzystać zniszczonego mechanizmu, który zamieszkiwał.

Z cycków dziewczyny, jak z przejrzałych purchawek, uszło z sykiem powietrze. Ich przegniłe wnętrza wyrzuciły z siebie chmurę zarodników, które przez siateczkę porów buchnęły Jackowi w twarz. Uderzyła go woń pleśni i starości. Glublak już dawno zagnieździł się w dziewczynie. Teraz wydostawał się na zewnątrz.

Martwe usta drgnęły i z głębi rurki, która była gardłem wydobył się pomruk:

– Nie zdążyłeś.

Wtedy głowa odpadła, odslaniając białe kłykcie.

Kiedy Jack wypuścił dziewczynę z objęć zmieniła się w kupkę cienkich, prawie przezroczystych płatów, przypominających zrzuconą skórę węża. Odsunął je od siebie dłonią; prawie nic nie ważyły. W tej samej chwili ku swemu zdziwieniu usłyszał z kuchni jej głos:

– Arnie, chyba pójdę do domu. Naprawdę mam już dość Manfreda. On nigdy nie przestaje się kręcić, nigdy nie siedzi cicho.

Odwrócił głowę i zobaczył, że Doreen stoi bardzo blisko Arniego. Pocałowała go w ucho.

– Dobranoc, kochanie – rzekła.

– Czytałem o dzieciaku, który myślał, że jest maszyną – powiedział Arnie.

Potem drzwi do kuchni zamknęły się i Jack nie widział już ich ani nie słyszał.

Tarł czoło i myślał: „Naprawdę jestem pijany. Co się ze mną dzieje? Mój mózg rozpada się na kawałki...”

Zamrugnął oczami. Starał się pozbierać. Niedaleko kanapy, na dywanie, Manfred Steiner wycinał tępymi nożyczkami kawałki czasopism i uśmiechał się sam do siebie. Cięty papier szeleścił. Jego dźwięk nie pozwalał Jackowi się skupić.

Zza drzwi kuchni usłyszał ciężkie dyszenie, a potem długie, mozolne postękiwanie.

„Co oni robią? – zastanawiał się Jack. – Cała trójka: ona, Arnie i oswojony Murzochid?...”

Postękiwania stawały się coraz rzadsze i wreszcie ustały. Zapadła cisza.

„Chciałbym teraz być w domu – myślał Jack rozpaczliwie. W głowie miał kompletny zamęt. – Chcę się stąd wydostać, ale jak to zrobić?”

Czuł się słaby i było mu potwornie niedobrze. Został tam gdzie siedział, na kanapie, niezdolny do ucieczki, niezdolny poruszyć się ani zebrać myśli.

W jego mózgu odezwał się głos:

„Glub, glub, glub, glublam, glublam, glublam.”

„Przestań” – powiedział Jack.

„Glub, glub, glub, glub” – odparł głos.

Ze ścian spadł na niego tynk. Pokój trzeszczał od osypujących się ścian i starości. Wszystko wokół Jacka się rozkładało.

„Glub, glub, glub – powiedział pokój. – Przyszedł Glublak, żeby ciebie zgłublać, zgłublać na glublak.”

Jack niepewnie stanął na nogach. Krok po kroku zdołał podejść do wzmacniacza i magnetofonu Arniego. Wziął taśmę i po kilku nieudolnych próbach udało mu się nałożyć ją na oś.

Uchyliły się drzwi kuchenne i spojrzało na niego jakieś oko. Jack nie wiedział, do kogo ono należy.

„Muszę się stąd wydostać – postanowił. – Albo się przemóc. Muszę to przewyciężyć,

wyrzucić z siebie, bo inaczej to mnie pożre. To już mnie zżera.”

Gwałtownie przekręcił gałkę wzmacniacza. Zadudniła ogłuszająca muzyka. Z rykiem obiegła pokój, odbiła się od ścian i mebli, wpadła przez uchylone drzwi do kuchni, atakując wszystko i wszystkich po drodze.

Drzwi wypadły z zawiasów i z trzaskiem runęły na podłogę. Z kuchni wybiegło zataczające się stworzenie. Poniewczasie ruszyło do akcji zwabione rykiem muzyki. Macało przestrzeń wokół Jacka w poszukiwaniu gałki wzmacniacza. Muzyka przycichła.

Jack poczuł się lepiej. Bogu dzięki, znowu był przy zdrowych zmysłach.

Jack Bohlen wysadził swojego ojca przed biurem notarialnym i razem z Manfredem poleciał do Lewistown, tam, gdzie mieszkała Doreen Anderton.

– Co się stało, Jack? – zapytała, kiedy ujrzała go w drzwiach.

Szybko wpuściła ich do środka.

– Dziś wieczorem stanie się coś naprawdę złego – powiedział Jack.

– Jesteś pewny? – Usiadła naprzeciw niego. – Czy w ogóle musisz tam iść? Tak, wydaje mi się, że musisz. Ale może się mylisz.

– Manfred mi o tym powiedział. On już to zobaczył.

– Nie bój się – powiedziała łagodnie Doreen.

– Nie mogę się nie bać – odrzekł.

– Dlaczego ma się coś stać?

– Nie wiem. Manfred nie potrafił mi tego wyjaśnić.

– Ale... – wzruszyła ramionami. – Przecież nawiązałeś z nim kontakt, to wspaniale. Tego właśnie chce Arnie.

– Mam nadzieję, że ty też tam będziesz – powiedział Jack.

– Tak. Ale niewiele mogę zrobić. Nie wiem, czy choć trochę liczysz się z moim zdaniem, ale jestem przekonana, że Arnie będzie zadowolony. Wydaje mi się, że twój niepokój jest zupełnie bezpodstawny.

– Dzisiejszy wieczór – odparł Jack – to koniec między mną i Arniem. Wiem, że tak się stanie, ale nie wiem dlaczego. – Poczuł mdłości. – Jestem prawie pewny, że Manfred nie tylko czyta w przyszłości. On robi coś więcej: w jakiś sposób nad nią panuje, sprawia że zdarzenia przybierają najgorszy z możliwych obrót, bo to wydaje mu się normalne, on tak właśnie widzi rzeczywistość. Przebywając w pobliżu Manfreda zostaliśmy wciągnięci w jego świat. On zaczyna się w nas wsączać i zastępować nasz własny sposób widzenia rzeczywistości. Pewne zdarzenia, co do których byliśmy dotąd pewni, że się zdarzą, jakoś przestały się zdarzać. Normalnie tak się nie czuję. Nigdy nie miałem takich przeczuc co do przyszłości.

Zamilkł na chwilę.

– Za dużo z nim przestawiałeś – powiedziała Doreen. – Twoja osobowość, która jest... – zawahała się – chwiejna, podobna do osobowości Manfreda... Miałaś wciągnąć go do naszego świata, do naszej wspólnej rzeczywistości... a tymczasem to zdaje się on wciągnął ciebie do swojego świata? Nie wydaje mi się, żeby to było jasnowidzenie. Myślę, że od samego początku robiliśmy wszystko źle. Byłoby lepiej, gdybyś dał sobie z tym spokój i zostawił tego chłopca... – Spojrzała na Manfreda, który podszedł do okna i wyglądał na ulicę. – Najlepiej, gdybyś nie miał już z nim więcej do czynienia.

– Na to już za późno – stwierdził Jack.

– Nie jesteś psychoterapeutą ani lekarzem – mówiła Doreen. – Dla Milтона Glauba codzienny bliski kontakt z dziećmi autystycznymi i schizofrenikami jest zupełnie czymś innym. Ale ty... ty jesteś po prostu monterem, który w to wdepnął z powodu zwariowanego pomysłu Arniego. Tak wypadło, że nawinałeś mu się pod rękę, bo naprawiałeś jego koder. A skończyłeś w taki sposób. Nie powinieneś być aż tak bierny, Jack. Pozwalasz, by twoje życie kształtował przypadek. Na miłość boską, nie wiesz, skąd się bierze ta twoja bierność?

– Chyba wiem – odparł po chwili.

– To powiedz.

– Schizofrenicy są skłonni do bierności. Jestem tego świadom.

– Bądź bardziej zdecydowany. Nie ciągnij tego dalej. Zadzwoń do Arniego i powiedz, że zwyczajnie nie masz odpowiedniego przygotowania, by radzić sobie z Manfredem. Powinien wrócić do Obozu B-G, gdzie może z nim pracować Milton Glaub. Tam mogą zbudować tę komorę spowalniającą. Przecież zaczęli, nieprawdaż?

– Nigdy się za to nie wezmą. Mówili, że chcą sprowadzić sprzęt z Domu. Sama wiesz, co to oznacza.

– Ty też się za to nigdy nie weźmiesz – odparła – bo zanim cokolwiek zrobisz, dostaniesz hopla. Ja też potrafię zajrzeć w przyszłość i wiesz, co widzę? Widzę, że załamujesz się łatwiej niż kiedyś. Przewiduję, że się kompletnie załamiesz psychicznie, Jack, jeśli nadal będziesz nad tym pracował. Już teraz masz ostre napady lęku schizofrenicznego, paniki? Może nie?

Skinał głową.

– Widziałam to u mojego brata – mówiła dalej. – Schizofreniczny napad paniki. A kiedy raz się to widziało, nigdy już się nie zapomina. Wokół schizofreników wali się cała rzeczywistość... ich poczucie czasu i przestrzeni, przyczyny i skutku... i czy to właśnie nie dzieje się z tobą? Mówisz tak, jakby na to spotkanie z Arniem nic, co zrobisz, nie miało wpływu. A takie rozumowanie to krok w tył, regresja: uchylasz się od odpowiedzialności za swoje decyzje, jaką ma każdy dorosły człowiek. – Westchnęła głęboko, boleśnie i ciągnęła dalej: – Zadzwoń do Arniego i powiem mu, że ty z tego wychodzisz i będzie musiał znaleźć kogoś innego, by skończył pracę z Manfredem. Powiem mu, że nie posunąłeś się ani o krok, że dla was obu nie ma

sensu tego ciągnąć. Arnie miewał już wcześniej tego typu fantazje. Chodzą mu po głowie przez kilka dni albo tygodni, a potem o nich zapomina. O tym też zapomni.

– O tym nie zapomni – zaprzeczył Jack.

– Spróbuj.

– Nie – odparł. – Muszę tam iść dziś wieczorem i zdać mu sprawę z tego, co osiągnąłem.

Powiedziałem, że przyjdę. Jestem mu to winny.

– Beznadziejny z ciebie głupiec – stwierdziła Doreen.

– Wiem. Ale z innego powodu. Jestem głupcem, bo przyjąłem pracę nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Ja... – urwał. – Może jest tak, jak mówisz. Nie mam przygotowania do pracy z Manfredem.

– A jednak brniesz dalej. Co takiego musisz pokazać Arniemu dziś wieczorem? Pokaż to mnie.

Jack wyciągnął kopertę i wyjął z niej rysunek Manfreda.

Doreen oglądała go uważnie przez dłuższą chwilę. Potem oddała mu kartkę.

– To zły i chory rysunek – powiedziała ledwo słyszalnym głosem. – Wiem, co to jest. To grób, tak? To właśnie narysował. Świat po śmierci. Oto, co on widzi i co ty także zaczynasz widzieć za jego sprawą. Chcesz to pokazać Arniemu? Straciłeś kontakt z rzeczywistością. Myślisz, że Arnie zechce oglądać takie paskudztwo? Spal to.

– Nie jest aż tak zły – powiedział Jack zbity z tropu jej reakcją.

– A właśnie że jest – odparła. – I to przerażające, że ty nie odbierasz go w taki sposób. Czy na początku też ci się taki wydał?

Musiał przyznać, że nie.

– A więc widzisz, że mam rację.

– Muszę to ciągnąć dalej – powiedział. – Spotkamy się u Arniego.

Podszedł do okna i poklepał Manfreda po ramieniu.

– Musimy już iść. Zobaczymy tę panią wieczorem, i pana Kotta też.

– Do widzenia, Jack – powiedziała Doreen odprowadzając go do drzwi. W jej wielkich oczach czaiła się rozpacz. – Widzę, że w żaden sposób nie mogę cię powstrzymać. Zmieniłeś się. Jesteś jakby mniej... żywy niż dzień albo dwa temu... Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nie – odparł. – Nie zdaję sobie z tego sprawy. – Nie był zdziwiony, że usłyszał coś takiego. Słowa Doreen zaciążyły mu na sercu. Pochylił się i pocałował jej pełne, smakowite usta. – Do zobaczenia wieczorem.

Stała w drzwiach i w milczeniu patrzyła na wychodzących.

Do wieczora pozostało jeszcze trochę czasu, więc Jack Bohlen postanowił wstąpić do Szkoły Publicznej i zabrać syna. W tym miejscu, którego bał się bardziej niż innych, sprawdzi, czy Doreen miała rację, przekona się, czy wewnętrznie się zmienił i stracił umiejętność odróżniania

rzeczywistości od projekcji własnej podświadomości. Dla niego Szkoła Publiczna stanowiła punkt odniesienia. Kiedy skierował w jej stronę kopter, był głęboko przekonany, że zdoła znieść powtórny wizytę w tym miejscu.

Był także ogromnie ciekaw, jak na szkołę i jej *simulacra*, czyli maszyny uczące, zareaguje Manfred. Od jakiegoś czasu miał silne przeczucie, że kiedy chłopiec zetknie się z Nauczycielami, zareaguje w widoczny sposób. Może reakcja Manfreda będzie podobna do jego własnej, a może zupełnie odwrotna. W każdym razie na pewno się pojawi. Był o tym przekonany.

Wtem pomyślał z rezygnacją: „Czy nie jest za późno? Przecież straciłem pracę, bo Arnie uznał, że to nie ma sensu. Czy przypadkiem nie byłem już u niego dziś wieczorem? Która godzina? Straciłem poczucie czasu” – ogarnęło go przerażenie.

– Lecimy do Szkoły Publicznej – mruknął do Manfreda. – Podoba ci się ten pomysł? Chcesz zobaczyć szkołę, do której chodzi Dawid?

Oczy chłopca błysnęły. Tak, zdawał się mówić, podoba mi się. Lećmy.

– W porządku – powiedział Jack.

Wielką trudność sprawiało mu obsługiwanie sterów koptera. Czuł się tak, jakby znajdował się na dnie ogromnego, martwego morza, jakby z trudem łapał oddech i nie był zdolny wykonać prawie żadnego ruchu. Ale dlaczego?

Nie wiedział. Robił swoje, najlepiej jak potrafił.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pod skórą pana Kotta były martwe kości, lśniące i mokre. Pan Kott był workiem kości, brudnych i lśniących wilgocią. Zamiast głowy miał czaszkę, która wchłaniała i gryzła pleśń. W jego wnętrzu pleśń przechodziła w zgniliznę, w miarę jak coś ją zżerało i rozkładało. Jack Bohlen też był martwym workiem, w którym tętniło glublanie. Jego zewnętrzna powłoka mogła zmylić prawie każdego: była dobrze pomalowana i ładnie pachniała. Pochylała się nad panną Anderton i widział, że pragnie jej w obleśny sposób. Jego mokre, lepkie ciało podpełzało do niej coraz bliżej, a z ust wyskakiwały słowa jak martwe żuki i spadały na nią. Słowa-zdechłe żuki pierzchały między fałdy jej ubrania. Kilka wśliznęło się pod skórę.

– Uwielbiam Mozarta – mówił pan Kott. – Zaraz coś wam puszczę.

Gryzła ją ubranie, pełne włosów, okruszków i słów-żuków. Zaczęła się drapać, rozdzierając to, co miała na sobie. Szarpała i zjadała strzępy.

Pan Kott gmerał przy gąłkach wzmacniacza.

– Dyryguje Bruno Walter – powiedział. – Rarytas ze złotego wieku nagrań.

Dobiegły skądś potworne ryki i piski. Po chwili uświadomiła sobie, że wydobywają się z niej samej. Wstrząsały nią konwulsje. Wszystkie martwe stworki w jej wnętrzu pełzały i parły na zewnątrz. Usiłowały wydostać się na światło dzienne. Boże, jak mogła je powstrzymać? Wyłaziły z niej przez pory w skórze i rozbiegały się; spuszczały się po nitkach lepkiej pajęczyny, by zniknąć w szparach między deskami podłogi.

– Przepraszam – mruknął Arnie.

– Co za koszmar – powiedziała. – Powinieneś był nam tego oszczędzić, Arnie.

Wstając z kanapy odepchnęła ciemny, brzydko pachnący przedmiot, który do niej przylgnął.

– Twoje poczucie humoru... – dodała.

Odwrócił się i zobaczył, że zdarła z siebie resztki ubrania. Odłożył taśmę i podszedł do niej z wyciągniętymi ramionami.

– Zrób to – powiedziała.

Po chwili znaleźli się razem na podłodze. Stopami zsunął z siebie ubranie: zaczepił na nim palce i ściągnął. Ciasno objęci potoczyli się w ciemność pod piecem i tam w ciepłe i wilgoci własnych ciał, wstrząsani konwulsyjnymi drgawkami leżeli pocąc się i łykając kurz.

– Jeszcze – ścisnęła kolanami jego boki, żeby zadać mu ból.

– Przypadek – powiedział.

Przyciskał ją do podłogi i dyszał jej w twarz.

Nad krawędzią pieca pojawiły się oczy. Coś patrzyło na nich, gdy leżeli razem w ciemności. Coś ich obserwowało. Odłożyło klej i nożyczki, i czasopisma. Porzuciło to wszystko, żeby ich

obserwować, pożerać oczami i napawać się każdym spazmem ich ciał.

– Odejdź – wysapała do tego czegoś, ale nie odeszło. – Jeszcze – powiedziała wtedy i to coś się z niej śmiało. Śmiało się i śmiało, a ona i przygniatający ją ciężar robili to dalej. Nie mogli przestać.

– Glubłaj mnie jeszcze – mówiła. – Glubłaj mnie, glubłaj, glubłaj, wsadź swój glublak we mnie, w mój glublak, Olublaczu. Glubłaj mnie, glubłaj, lubię się glublać! Nie przestawaj. Glub, glub glub glub, glub!

Jack Bohlen opuszczał kopter na lądowisko Szkoły publicznej. Spojrzał na Manfreda ciekaw, o czym chłopiec myśli. Manfred patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jego twarz wykrzywiła się w odrażającym grymasie. Jack natychmiast odwrócił od niego wzrok.

Dlaczego musiał mieć do czynienia z tym chłopcem? Doreen miała rację: wkopał się po uszy, obecność Manfreda jakby obudziła chwiejne aspekty jego osobowości. A on nie wiedział, jak się z tego wykręcić. W pewnym sensie było już za późno. Czas jakby stanął w miejscu i na zawsze nierozzerwalnie związał go z tym nieszczęsnym, niemyym stworzeniem, którego aktywność ograniczała się do ciągłego grzebania w swoim wnętrzu.

Do pewnego stopnia Jack przyswoił sobie punkt widzenia Manfreda i to najwyraźniej wywołało stopniowy rozpad jego osobowości.

„Tylko do wieczora – myślał. – Muszę wytrwać do wieczora. Jakoś muszę wytrzymać do chwili, gdy spotkam się z Arniem. Wtedy wszystko to rzucę i wrócę do mojej własnej przestrzeni i czasu. Już nigdy nie będę musiał oglądać Manfreda Steinera. Arnie, na miłość boską, ratuj mnie.”

– Jesteśmy na miejscu – powiedział, gdy kopter zetknął się z powierzchnią lądowiska.

Wyłączył silnik. Manfred natychmiast znalazł się przy drzwiach, chętny do wyjścia.

„A więc chcesz zobaczyć to miejsce – pomyślał Jack – Ciekawe dlaczego?”

Wstał i otworzył drzwi kopitera. Manfred od razu wyskoczył na dach i pomknął do pochylni zejściowej, jakby znał drogę na pamięć.

Kiedy Jack opuścił pojazd, chłopca już nie było. Samotnie zszedł szybko po pochylni.

„Doreen Anderton i Arnie Kott – rozważał w myślach. – Dwoje ludzi, którzy najwięcej dla mnie znaczą, przyjaciele, z którymi najwięcej mnie łączy, poprzez nich utrzymuję najsilniejszą więź z rzeczywistością. Chłopcu naprawdę udało się przeniknąć w sferę moich stosunków z ludźmi. Odsunął mnie od życia, a zaczął od tego, co mnie najbardziej przy nim trzymało.”

„Co mi pozostaje? – pytał sam siebie. – Teraz, kiedy zniszczył moje związki z Doreen i Arniem, to samo stanie się z całą resztą: moim synem, żoną, ojcem i panem Yee. Stracę ich automatycznie, bez walki. Widzę, co mnie czeka, jeśli nadal będę się zatracał w osobowości tego psychotyka. Teraz wiem, czym jest psychoza: całkowitą utratą zainteresowania obiektami świata

zewnątrznego, zwłaszcza obiektami znaczącymi, w tym życzliwymi ludźmi. A co zajmuje ich miejsce? Koszmarne rozpamiętywanie nie kończącego się dogorywania, strumienia własnej świadomości. To rozszczepienie dwóch światów: wewnętrznego i zewnętrznego, tak że przestają się one przenikać. Oba nadal istnieją, ale obok siebie. To zatrzymanie czasu. Kres odbioru wrażeń, czegokolwiek nowego. Kiedy człowiek staje się psychotykiem, nic więcej już mu się nie przydarza.”

„A ja – uświadomił sobie – stoję u progu psychozy. Może tak było zawsze. Przeczuwałem to od samego początku. Lecz w dużej mierze Manfred doprowadził mnie do takiego stanu. Lub raczej sam się do niego doprowadziłem z jego powodu. Wielkie, zakrzepłe ja, które przesłania sobą wszystko inne i zajmuje całe pole uwagi. Najdrobniejsza zmiana badana jest z największą wnikliwością. W takim właśnie stanie znajduje się Manfred. Zawsze z nim tak było. Ostatnie stadium schizofrenii.”

– Manfred, poczekaj – zawołał i ciężkim krokiem ruszył za chłopcem do budynku Szkoły Publicznej.

Sylwia Bohlen siedziała w kuchni June Henessy, piła kawę i rozmawiała z nią o swoich problemach: mnóstwo ich nagromadziło się w ostatnim czasie.

– Najokropniejsze jest to, że oni są, powiedzmy sobie szczerze, tacy pospolicci – powiedziała mając na myśli Ernę Steiner i jej dzieci. – Nie powinnam mówić w ten sposób, ale tak często z nimi przebywałam, że nie mogłam na to nie zwrócić uwagi. Mam już ich powyżej uszu.

June Henessy ubrana w białe szorty i skąpy opalacz krążyła po domu i podlewała ze szklanego dzbanka rośliny doniczkowe.

– To dopiero dziwny chłopiec – odezwała się. – On chyba stanowi największy problem.

Sylwia wzruszyła ramionami.

– Przez cały dzień nie ma go w domu. Wiesz, Jack z nim pracuje. Ma go przywrócić ludzkiej społeczności. Jeśli chodzi o mnie, myślę, że takich potworków i cudaków należałoby się pozbyć. Pozwolić im żyć na dłuższą metę nie służy ani im, ani społeczeństwu. To źle pojęta litość. Tym chłopcem trzeba się będzie opiekować do końca jego dni. On nigdy nie wyjdzie z zakładu.

– Opowiem ci, co Tony zrobił przed paroma dniami – powiedziała June wracając do kuchni z pustym dzbankiem. Tony był jej aktualnym kochankiem. Miała z nim romans od pół roku i o wszystkim na bieżąco informowała znajome panie, zwłaszcza Sylwię. – Zabrał mnie na lunch do Genewy II, do pewnej znanej mu francuskiej restauracji. Zamówił winniczki, no wiesz, ślimaki. Podają je w skorupkach i zjada się je koszmarne wyglądającymi widelcami, co to mają zęby na prawie pół metra. Pochodzą oczywiście z czarnego rynku. Wiedziałas o tym? Że są restauracje, które serwują wyłącznie czarnorynkowe przysmaki? Ja nie wiedziałam, dopóki Tony mnie tam nie zabrał. Rzecz jasna, nie mogę podać ci nazwy tej restauracji.

– Ślimaki – powiedziała Sylwia z obrzydzeniem i wyobraziła sobie wszystkie wspaniałe dania, które ona sama by zamówiła, gdyby miała kochanka i ten zaprosiłby ją do restauracji.

Jak to jest mieć romans? Rzecz byłaby trudna, lecz niewątpliwie warta zachodu, jeśli udało by się jej zachować sprawę w tajemnicy przed mężem. Pewien problem stwarzałby oczywiście Dawid. Poza tym Jack pracował teraz dużo w domu, no i obecność teścia... Sylwia nie mogłaby też nigdy sprowadzić kochanka do domu z powodu bliskiego sąsiedztwa Erny Steiner. Gdyby tylko ta wielka, rozlazła *hausfrau* go zobaczyła, wyczułaby pismo nosem i pewnie od razu z pruskiego poczucia obowiązku powiadomiła Jacka. Ale czyż ryzyko nie jest częścią życia? Czy nie dodaje mu swoistego smaczku?

– Co by zrobił twój mąż, gdyby się dowiedział? – zapytała Sylwia. – Rozerwałby cię na strzępy? Bo Jack tak by właśnie zrobił.

– Od czasu, gdy się pobraliśmy, Mike sam miał kilka romansów. Rozzłościłby się i pewnie podbił mi oko, a potem by się wyniósł na jakiś tydzień do którejś ze swoich przyjaciółek, zostawiając mnie samą z dziećmi, ma się rozumieć. Ale w końcu by mu przeszło.

Sylwia zastanawiała się, czy Jack miał kiedyś jakiś romans. Nie wydało jej się to możliwe. Była ciekawa, jak by się poczuła, gdyby się dowiedziała, że Jack ma kochankę. Czy to byłby koniec ich małżeństwa?

„Tak – pomyślała. – Zaraz bym poszła do adwokata. Na pewno? Nie można tego powiedzieć z góry...”

– Jak ci się układa z teściem? – spytała June.

– Och, całkiem nieźle. Razem z Jackiem i synem Steinerów poleciał dziś w interesach. Prawdę mówiąc, rzadko kiedy widuję Leo. Przyleciał przede wszystkim służbowo. June, ile miałaś romansów?

– Sześć – odparła June.

– Oj! – westchnęła Sylwia. – A ja żadnego.

– Niektóre kobiety nie są do tego stworzone.

Sylwia odebrała to raczej jako osobistą zniewagę niż refleksję natury ogólnej. – Co masz na myśli? – zapytała.

– Nie mają odpowiedniej konstrukcji psychicznej – wyjaśniła gładko June. – Nie każda kobieta potrafi dzień po dniu tworzyć i podtrzymywać wokół siebie skomplikowaną fikcję. Mnie bawi wymyślanie kłamstw dla zmylenia Mike’a. Ty jesteś inna. Jesteś bezpośrednia i prostolinijna. Zwodzenie innych nie leży w twojej naturze. Ale masz chociaż przystojnego męża.

Uniosła brwi, aby podkreślić wagę swego osądu.

– Był czas, kiedy Jack wpadał do domu tylko raz na tydzień – powiedziała Sylwia. – Mogłam wtedy mieć kochanka. Teraz byłoby mi o wiele trudniej.

Gorąco pragnęła mieć jakieś twórcze, pożyteczne lub podniecające zajęcie, które wypełniłoby jej długie, puste popołudnia. Była śmiertelnie znudzona wielogodzinnym przesiadywaniem w kuchniach znajomych pań i popijaniem kawy. Nic dziwnego, że tyle kobiet miało kochanków. Inaczej by powariowały.

– Jeśli kobieta ogranicza swoje doświadczenia uczuciowe do męża – powiedziała June Henessy – nie ma podstaw do wydawania sądów. Mniej lub bardziej zdana jest na to, co ma do zaoferowania współmałżonek. Ale jeśli pójdzie do łóżka z innym mężczyzną, może o wiele lepiej ocenić słabe strony własnego męża. Wtedy staje się bardziej obiektywna. Gdy coś u niego wymaga zmiany, może naciskać, żeby to zmienił. Ty ze swej strony także dowiadujesz się, w czym nie jesteś dość dobra, inni mężczyźni mogą ci pomóc nad tym popracować, więc dajesz potem swojemu mężowi większą satysfakcję. Doprawdy nie wydaje mi się, by ktoś na tym tracił.

Dzięki takiemu przedstawieniu sprawy zasady June zdawały się być do przyjęcia dla wszystkich zainteresowanych. Uwzględniały nawet dobro męża.

Pijąc kawę i rozmyślając nad tym, co powiedziała June Sylwia wyjrzała przez okno i ku swemu zdumieniu ujrzała lądujący kopter.

– Kto to? – spytała.

– A skąd mam wiedzieć?! – odparła June rzucając spojrzenie za okno.

Kopter zatrzymał się w pobliżu domu. Otworzyły się drzwi i wysiadł ciemnowłosy przystojny mężczyzna – goguś w europejskim stylu. Miał na sobie jasną nylonową koszulę, krawat i luźne spodnie. Za nim szedł Murzochid, który taszczył dwie ciężkie walizki.

Serce mocniej zabiło w piersi Sylwii, gdy patrzyła na zbliżającego się mężczyznę i podążającego za nim Murzochida. Tak właśnie wyobrażała sobie obecnego kochanka June.

– A niech to! – powiedziała June. – Ciekawe, co to za jeden. Handlarz pewnie?

Rozległo się pukanie do drzwi i pani Henessy poszła otworzyć. Sylwia odstawiła filiżankę i podażyła za nią. Przy drzwiach June się zatrzymała.

– Jestem chyba zbyt... roznegliżowana. – Nerwowym ruchem dotknęła szortów. – Zajmij go przez chwilę, a ja tymczasem się przebiorę. Nie spodziewałam się nikogo obcego. No, wiesz, musimy zachować ostrożność, nasi mężowie są daleko...

Z rozwianym włosiem popędziła do sypialni. Sylwia otworzyła drzwi.

– Dzień dobry – powiedział przystojny mężczyzna, odsłaniając w uśmiechu nieskazitelnie białe zęby. – Czy mam przyjemność z panią domu? – spytał z lekkim akcentem.

– Chyba tak – odparła Sylwia.

Była onieśmielona i zażenowana. Rzuciła szybkie spojrzenie na swój strój, zastanawiając się, czy jest ubrana odpowiednio skromnie, by rozmawiać z obcym mężczyzną.

– Chciałbym zaprezentować bardzo dobrej jakości artykuły żywnościowe, które skądinąd mogą być już pani znane – powiedział mężczyzna.

Choć nie spuszczał wzroku z jej twarzy, Sylwia nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że szczególnie całą ją sobie obejrzał. Zakłopotanie pani Bohlen wzrosło, ale nie czuła się urażona, mężczyzna zachowywał się czarująco: był nieśmiały i zarazem dziwnie bezpośredni.

– Zdrowa żywność – wybąkała. – No cóż, ja...

Mężczyzna skinął głową. Murzochid otworzył na podłodze jedną z walizek. Koszyczki, butelki, paczuski... Sylwia bardzo się zaciekała.

– Niehomogenizowane masło orzechowe – oznajmił mężczyzna. – Mam także dietetyczne, niskokaloryczne słodczy, które pozwolą pani zachować wspaniałą sylwetkę, kielki pszenicy, drożdże, a więc witamina E, źródło witalności... ale oczywiście nie polecam tego takiej młodej kobiecie jak pani.

Mruczał pokazując kolejne artykuły. Sylwia pochyliła się nad walizką. Zetknęli się ramionami. Szybko odsunęła się, zdjeta nagłą obawą.

W drzwiach pokazała się June, ubrana teraz w spódnice i wełniany sweter. Stała tak przez krótką chwilę, po czym cofnęła się i zamknęła drzwi. Mężczyzna jej nie zauważył.

– Jest także – mówił dalej – duży wybór przysmaków dla smakoszy. Może zainteresuje panią to.

Podał jej słoiczek. Sylwii zapało dech w piersiach: kawior!

– Mój Boże! – westchnęła przeciągle. – Gdzie pan to dostał?

– Drogie, ale warto kupić. – Ciemne oczy mężczyzny wpatrzyły się w Sylwię. – Przyzna pani rację? To przypomina Dom, łagodny blask świec, orkiestra gra do tańca, romantyczne chwile spędzone w miejscach tak miłych dla oka i ucha.

Uśmiechnął się do niej szeroko i szczerze. „C z a r n y r y n e k” – uświadomiła sobie Sylwia. Krew silnie pulsowała jej w skroniach.

– Proszę posłuchać – powiedziała. – To nie jest mój dom. Mieszkam jakieś dwa kilometry dalej w dół kanału. – Wskazała ręką kierunek. – Ja... ja jestem bardzo zainteresowana.

Uśmiech mężczyzny przypiekł ją jak rozpalone żelazo.

– Pan nie był w tych stronach, prawda? – mówiła, zacinając się ze zdenerwowania. – Nigdy pana nie widziałam. Jak pan się nazywa? To znaczy pańska firma.

– Nazywam się Otto Zitte. – Wręczył jej wizytówkę, na którą nie spojrzała. Nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy. – Moja firma działa już od dłuższego czasu, jednak ostatnio z powodu nieprzewidzianych okoliczności została całkowicie zreorganizowana. Obecnie mogę więc osobiście poznawać nowych klientów. Takich jak na przykład pani.

– Czy jeszcze tu pan przyleci?

– Tak, trochę później, po południu... a w wolnej chwili możemy się bliżej przyjrzeć szerszemu asortymentowi importowanych smakołyków. Jestem ich jedynym dostawcą. Dzień dobry.

Z kocią gracją podniósł się z podłogi.

W drzwiach ponownie ukazała się June Henessy.

– Dzień dobry – odezwała się niskim, pełnym ciekawości głosem.

– Oto moja wizytówka.

Otto Zitte podał jej białą kwadratową karteczkę z wytłaczanego papieru. Teraz obie panie miały jego wizytówkę. Każda przeczytała swoją uważnie.

Rzuciwszy im chytry, porozumiewawczy uśmiezek, Otto Zitte skinął na Murzochida, by otworzył drugą walizkę.

Siedząc w swoim gabinecie w Obozie Ben Guriona, doktor Milton Glaub usłyszał na korytarzu głos, silny i władczy, ale ponad wszelką wątpliwość należący do kobiety. Zatrzymała się nagabnięta przez pielęgniarkę. Glaub nasłuchiwał przez chwilę... już wiedział: to Anna Esterhazy przyszła odwiedzić Sama, swojego syna.

Doktor otworzył kartotekę na literze E i po chwili miał przed sobą na stole kartę: Esterhazy, Samuel.

To było interesujące. Chłopiec urodził się jako nieślubne dziecko w rok czy trochę później po rozwodzie pani Esterhazy z panem Kottem. Do Obozu B-G przyjęto go pod nazwiskiem matki. Był to jednak niewątpliwie potomek Arniego Kotta. Karta zawierała sporą ilość informacji o Arniem, ponieważ lekarze przyjęli to pokrewieństwo za całkowity pewnik.

Widocznie Arnie i Anna Esterhazy spotykali się nadal, chociaż ich małżeństwo formalnie już nie istniało. W każdym razie musieli widywać się wystarczająco często, by splodzić dziecko. Ich wzajemne stosunki nie były więc czysto służbowe.

Przez chwilę doktor Glaub rozważał możliwe sposoby wykorzystania powyższej informacji. Czy Arnie miał wrogów? Doktor nie słyszał o żadnym. Arniego wszyscy lubili, wszyscy tylko nie on, Milton Glaub. Najwyraźniej doktor był jedyną osobą na Marsie, która ucierpiała za sprawą Arniego. Uświadomienie sobie tego faktu nie uczyniło Glaubu ani trochę szczęśliwszym. „Ten człowiek potraktował mnie w bardzo niehumanitarny i pogardliwy sposób” – powiedział sobie po raz setny.

Co w związku z tym można zrobić? Zawsze mógł podać Arniego do sądu... z nadzieją, że dostanie trochę groszaków za swoje usługi. To jednak za mało. Glaub chciał znacznie więcej i miał do tego prawo. Po raz kolejny obejrzał kartę. Samuel Esterhazy, dziwaczny odmieniec. Glaub nie znał drugiego podobnego przypadku. Chłopiec wyglądał jak pozostałość jakiejś dawnej linii praludzi albo jak mutant, z tych, co kiedyś żyły częściowo w wodzie. To przypomniało doktorowi teorię przedstawioną przez kilku antropologów, mówiącą, że człowiek wywodzi się od małych wodnych, które żyły w rafach i na mieliznach.

Zauważył, że iloraz inteligencji Sama wynosi tylko 73. Skandal.

Nagle przyszło mu do głowy, że z tego powodu Sam mógłby być zaklasyfikowany raczej jako opóźniony umysłowo niż anormalny. Obóz B-G nie był instytucją zajmującą się dziećmi zahamowanymi w rozwoju umysłowym. Dyrektor obozu, Susan Haynes, odesłała z powrotem rodzicom kilka rzekomo autystycznych dzieci, które okazały się po prostu zwykłymi imbecylami. W dokonaniu wcześniejszej selekcji przeszkodziły, rzecz jasna, problemy z postawieniem diagnozy. W przypadku Sama Esterhazy istniało jeszcze znamię fizyczne...

„Co do tego nie ma wątpliwości – uznał doktor Glaub. – Mogę odesłać Sama Esterhazy do domu. Mam do tego podstawy. Bez problemu może się uczyć w Szkole Publicznej, wystarczy obniżyć w stosunku do niego wymagania. Jest anormalny tylko od strony fizycznej, a opieka nad kalekami fizycznymi nie należy do naszych zadań.” „Jednak co mnie skłania do takiej decyzji? – zadał sobie pytanie. – Może chcę się odegrać na Arniem Kotcie za to, że tak bezwzględnie się ze mną obszedł? Nie – stwierdził. – To nie wydaje mi się prawdopodobne. Nie jestem typem psychologicznym, który szukałby zemsty. Takim motywem kierowałby się raczej typ ekopulsywno-analny albo inkorporacyjno-oralny.”

Tymczasem on sam dawno temu zaliczył siebie do najwyższej stojącego typu genitalnego, oddającego się dojrzałym genitalnym dążeniom.

Z drugiej strony starcie z Arniem sprawiło jednak, że doktor zajrzał do karty Sama Esterhazy... tak więc istniała pewna niewielka relacja przyczynowa.

Podczas ponownego przeglądania karty Sam raz jeszcze uderzyła Glauba dziwaczność związku, w jakim pozostawali jego rodzice. Oto po rozwiązaniu małżeństwa nadal utrzymywali z sobą stosunki seksualne. Dlaczego się rozwiedli? Może doszło między nimi do poważnego konfliktu. Anna Esterhazy była dominującym typem kobiety z wyraźną domieszką cech męskich, kobietą opętaną animusem, jak nazwałby ją Jung. Aby skutecznie radzić sobie z tym typem kobiety, należało odgrywać ściśle określoną rolę: trzeba było od razu potraktować ją z pozycji siły i nigdy nie popuszczać. Należało być głową rodziny, w przeciwnym razie groziło całkowite podporządkowanie.

Doktor Glaub odłożył kartę i powolnym krokiem ruszył korytarzem do pokoju dziecięcego. Znalazł tam panią Esterhazy: rzucała woreczek z fasolą do swojego syna. Glaub podszedł bliżej i stał przyglądając się ich zabawie, dopóki pani Esterhazy go nie zauważyła i nie przerwała gry.

– Witam, doktorze Glaub – rzuciła wesoło.

– Dzień dobry, pani Esterhazy. Hmm, kiedy pani skończy odwiedziny, prosiłbym do mojego gabinetu.

Miło było patrzeć, jak spokojną, zadowoloną twarz kobiety zasnuwa troska.

– Oczywiście, doktorze.

Dwadzieścia minut później siedziała naprzeciw niego.

– Pani Esterhazy, gdy przyjmowaliśmy pani syna do Obozu B-G, nie mieliśmy jasności co

do natury jego defektu. Przez jakiś czas sądziliśmy, że należy do dziedziny zaburzeń psychicznych, że jest to może nerwica pourazowa lub...

– Doktorze – przerwała mu kobieta stanowczym głosem – chce pan powiedzieć, że skoro Sam nie ma innych problemów poza obniżoną zdolnością do nauki, nie powinien tu dłużej pozostawać. Czy nie tak?

– Ma wprawdzie jeszcze defekty fizyczne... – dodał doktor Glaub.

– Ale tym się nie zajmujecie.

Wzruszył ramionami na znak, że się z nią zgadza, lecz nic nie może zrobić w sprawie jej syna.

– Kiedy mam go zabrać do domu?

Pobladła na twarzy. Drżała, jej dłonie zacisnęły się na torebce.

– Och, za trzy albo cztery dni, może za tydzień.

Pani Esterhazy przez chwilę załamywała palce i tępym wzrokiem wpatrywała się w dywan.

– Jak zapewne panu wiadomo, doktorze – zaczęła drżącym głosem – od pewnego czasu występuję przeciwko projektowi ustawy w sprawie zamknięcia Obozu B-G, który przedłożono ONZ – dokończyła pewniejszym tonem. – Skoro jestem zmuszona zabrać stąd Sama, wycofam swój sprzeciw i może pan być pewny, że ten projekt przejdzie. Powiem Susan Haynes, dlaczego może przestać liczyć na moje poparcie.

Doktor Glaub doznał szoku. Nie wiedział, jak zareagować.

– Czy pan mnie dobrze zrozumiał, doktorze? – zapytała pani Esterhazy.

Zdołał jedynie skinąć głową.

– Przez długi czas zajmowałam się polityką – oznajmiła pani Esterhazy wstając z miejsca. – Arnie Kott uważa mnie wprawdzie za dyletantkę, ale ja nią nie jestem. Proszę mi wierzyć, w pewnych dziedzinach jestem bardzo skutecznym politykiem.

Tak – zgodził się Glaub. – Zdażyłem to zauważyć.

Machinalnie wstał zza biurka i odprowadził ją do drzwi gabinetu.

– Proszę nigdy więcej nie poruszać sprawy Sama – powiedziała, gdy otworzył drzwi. – To dla mnie zbyt bolesne. Łatwiej mi uważać go za anormalnego. – Zmierzyła go wzrokiem. – Nie jestem w stanie myśleć o nim jako o opóźnionym umysłowo.

Odwróciła się i szybko odeszła.

„Wszystko poszło źle – stwierdził w duchu doktor Glaub, kiedy roztrzęsiony zamykał drzwi gabinetu. – Ta kobieta jest najwyraźniej typem sadystki: silna wrogość w powiązaniu z gwałtownymi wybuchami agresji.”

Usiadł za biurkiem i przygnębiony zapalił papierosa. Zaciągał się i próbował odzyskać zimną krew.

Kiedy Jack Bohlen znalazł się na dnie pochylni, nie dojrzał nigdzie Manfreda. Obok niego przebiegło kilkoro dzieci, które z pewnością podążały do swoich Nauczycieli. Jack zaczął krążyć po szkole. Zastanawiał się, dokąd poszedł chłopiec. I dlaczego tak się spieszył? To nie wróżyło nic dobrego.

Ujrzał grupkę dzieci, które zebrały się wokół jednego z Nauczycieli – wysokiego, białowłosego pana o krzaczastych brwiach. Jack rozpoznał Marka Twaina. Jednak Manfreda wśród dzieci nie było.

Gdy mijał Marka Twaina, ten przerwał monolog, jaki wygłaszał do dzieci, zaciągnął się parę razy cygarem i zawołał za nim:

– Mogę panu w czymś pomóc, przyjacielu?

Jack zatrzymał się.

– Szukam pewnego chłopca, którego zabrałem tutaj z sobą – odparł.

– Znam całe to bractwo – powiedziała maszyna ucząca. – Jak się nazywa?

– Manfred Steiner.

Jack opisał wygląd chłopca. Maszyna słuchała z uwagą.

– Hmm – odrzekła, gdy skończył. Zaciągała się przez chwilę, po czym wyjęła cygaro z ust. – Wydaje mi się, że znajdzie pan tego młodego człowieka dalej, rozmawia z rzymskim cesarzem Tyberiuszem. Tak przynajmniej poinformowały mnie władze, którym powierzono opiekę nad tą instytucją. Mam na myśli dyspozytor systemu.

Tyberiusz. Jack nie miał pojęcia, że tak nikczemne obłąkane postacie przebywały w Szkole Publicznej. Mark Twain widocznie odgadł jego myśli.

– Tutaj w szkole – wyjaśnił – znajdzie pan osoby których nie należy naśladować, przeciwnie, trzeba bardzo się wystrzegać brania z nich przykładu. Jeśli powędruje pan korytarzami, spotka pan bandytów, piratów i łotrów, którzy żalonymi, smętnymi głosami prawią swoje pouczające historyjki ku oświeceniu młodzieży.

Mark Twain mrugnął do niego, zaciągając się cygarem. Jack pełen niepokoju poszedł dalej.

Przystanął obok Immanuela Kanta, aby spytać o drogę. Kilku nastolatków odsunęło się na bok, by go przepuścić.

– Tyberiusza – powiedział Kant z twardym akcentem – można znaleźć, jeśli pójdzie się w tamtą stronę. – Wskazał kierunek apodyktycznym gestem wyrażającym przekonanie, że nie ma najmniejszych wątpliwości. Jack niezwłocznie podążył w tym kierunku.

Po chwili zbliżał się już do cesarza rzymskiego – drobnej, kruchej postaci o białych włosach. Cesarz zdawał się zadumany. Kiedy jednak Jack do niego podszedł, obrócił w jego stronę głowę.

– Chłopiec, którego szukasz, poszedł dalej. To twój syn, tak? Nadzwyczaj ładny młodzieniec.

Cesarz zamilkł, jakby obcował z własnymi myślami. Jack wiedział, że tak naprawdę

Tyberiusz właśnie łączy się w dyspozytorem, który wykorzystuje wszystkie maszyny, by odnaleźć Manfreda.

– W tej chwili z nikim nie rozmawia – powiedział wreszcie Tyberiusz.

Jack kontynuował poszukiwania. Po drodze uśmiechnęła się do niego zza okularów jakaś kobieta w średnim wieku, Jack jej nie rozpoznał. Wokół niej nie było wianuszka zasłuchanych dzieci.

– Znajdzie pan swojego chłopca w pobliżu Filipa II Hiszpańskiego – odezwała się nagle. – Wskazała korytarz na prawo i dodała dziwnym głosem: – Proszę się pospieszyć. Bylibyśmy wielce zobowiązani, gdyby zabrał go pan ze szkoły tak szybko, jak to tylko możliwe.

Jack szybkim krokiem ruszył w dół wskazanego korytarza.

Wkrótce znalazł się przed brodatą, ascetyczną postacią Filipa II. Manfreda tam nie znalazł, ale w powietrzu zdawał się unosić jakiś nieuchwytny ślad jego bytności.

– Odszedł dosłownie chwilę temu, drogi panie – powiedziała maszyna ucząca. W jej głosie kryła się taka sama dziwna, usilna prośba, jak w głosie kobiety. – Uprzejmie proszę, niech pan go znajdzie i zabierze ze szkoły. Byłbym wielce zobowiązany.

Nie zwlekając ani chwili Jack pobiegł w dół korytarza. Przechodził go zimny dreszcz strachu.

– ...wielce zobowiązany – powiedziała siedząca postać w białej szacie, kiedy przebiegał obok.

Potem minął siwowłosego mężczyznę w surducie i ten także podjął tę samą błagalną litanie:

– ...tak szybko, jak to tylko możliwe.

Jack minął zakręt korytarza. Tam znalazł Manfreda.

Chłopiec był sam. Siedział na podłodze ze spuszczoną głową. Plecami opierał się o ścianę. Najwyraźniej pogrążał się w rozmyślaniach.

– Dlaczego uciekłeś? – Jack pochylił się nad dzieckiem.

Chłopiec milczał. Jack dotknął go, lecz ten nadal nie reagował.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Nagle chłopiec poruszył się, wstał z podłogi i Jackowi w oczy.

– Co jest? – zapytał Bohlen.

Chłopiec nie odpowiedział. Owładnęło nim jakieś posępne uczucie, które nie znalazło ujścia na zewnątrz i wywołało na jego twarzy ponury grymas. Chłopiec wpatrywał się w Jacka niewidzącym wzrokiem. Całkowicie zamknął się w sobie i stracił kontakt ze światem zewnętrznym.

– Co się stało? – powtórzył Jack.

Wiedział jednak, że nigdy się tego nie dowie. Stojąca przed nim istota nie mogła w żaden sposób wyrazić swoich uczuć. Między nimi zalegało milczenie, całkowity brak komunikacji.

Pustka, której nie można było niczym zapełnić.

Wtedy chłopiec odwrócił wzrok i osunął się z powrotem na podłogę.

– Zostań tutaj – rzekł Jack. – Poproszę, żeby przyprowadzili Dawida.

Ostrożnie odsunął się od chłopca, ale ten ani drgnął. Kiedy podszedł do najbliższej maszyny uczącej, powiedział:

– Proszę, by tu przyszedł Dawid Bohlen. Jestem jego ojcem. Chcę go zabrać do domu.

Maszyna ucząca była starszym panem imitującym Thomasa Edisona. Drgnęła, spojrzała na niego i przyłożyła dłoń do ucha. Jack powtórzył to, co powiedział przed chwilą.

– Glub, glub – odparł Nauczyciel kiwając głową.

Jack wlepił w niego wzrok. Potem odwrócił się i spojrzał na Manfreda. Chłopiec siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę. Thomas Edison znowu otworzył usta.

– Glub, glub – powiedział do Jacka. Potem zamilkł i już się więcej nie odezwał.

„Czy to ja mówię? – zapytał siebie Jack. – Czy załamałem się do tego stopnia? Albo może...”

Nie mógł uwierzyć, że stało się coś zupełnie innego. To po prostu było niemożliwe.

W dole korytarza inna maszyna ucząca przemawiała do grupki dzieci. Jej metaliczny głos dochodził z daleka i echem odbijał się od ścian. Jack natężył słuch.

– Glub, glub – mówiła maszyna do dzieci.

Jack zamknął oczy. W przebłysku absolutnej świadomości zrozumiał, że umysł i zmysły go nie mylą. To, co widział i słyszał, działo się naprawdę.

Obecność Manfreda Steinera naruszyła strukturę Szkoły publicznej. Wtargnęła do jej istoty.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Doktor Glaub wciąż siedział za biurkiem w swoim gabinecie i rozmyślał nad zachowaniem Anny Esterhazy, kiedy wezwano go do nagłego przypadku. Dzwonił dyspozytor ze Szkoły Publicznej.

– Doktorze – oznajmił bezbarwny głos – przykro mi, że pana niepokoję, ale potrzebna nam pomoc. Na terenie szkoły przebywa jakiś mężczyzna, który najwyraźniej znajduje się w stanie rozstroju nerwowego. Prosimy pana o przybycie i zabranie tego człowieka.

– Oczywiście – wymamrotał Glaub. – Zaraz tam będę.

Po chwili leciał swoim kopterem nad pustynią w kierunku Szkoły Publicznej.

Kiedy przybył na miejsce, powitał go dyspozytor i szybkim krokiem poprowadził w głąb budynku do zamkniętego korytarza.

– Uznaliśmy, że nie należy dopuszczać do niego dzieci – wyjaśnił odsuwając ścianę, by wejść na korytarz.

Stał tam mężczyzna z wyrazem oszołomienia na twarzy. Od razu wydał się doktorowi znajomy. Glaub poczuł satysfakcję. A więc schizofrenia dopadła jednak Jacka Bohlena. Oczy montera były rozbiegane. Najwyraźniej znajdował się w stanie osłupienia katatonicznego, który prawdopodobnie występował naprzemiennie z okresami przebudzenia. Wyglądał na wyczerpanego. Był z nim ktoś jeszcze, osoba także znana doktorowi. Na podłodze siedział skulony Manfred Steiner. Pochylał się do przodu jak w zaawansowanym daleko stanie wycofania.

„Wzajemne związki nie wyszły na dobre żadnemu z was” – stwierdził w myśli doktor Glaub.

Przy pomocy dyspozytora wpakował Bohlena i Manfreda do koptera i ruszył w drogę do Nowego Izraela, do Obozu B-G.

Bohlen pochylał się naprzód i zaciskał dłonie.

– Wyjaśnię panu, co się stało – powiedział.

.– Proszę – odparł doktor Glaub czując, że monter w końcu odzyskał nad sobą kontrolę.

– Przyszedłem do szkoły, żeby zabrać mojego syna – mówił Jack łamiącym się głosem. – Wziąłem z sobą Manfreda. – Obrócił się, by spojrzeć na chłopca, który nadal pozostawał w stanie katalepsji. Leżał zwinięty na podłodze koptera, nieruchomy jak posąg. – Manfred uciekł i wtedy... straciłem kontakt ze szkołą. Słyszałem jedynie...

Nie dokończył zdania.

– *Folie á deux* – mruknął Glaub. – Psychoza indukowana.

– Zamiast szkoły – podjął dalej Jack – słyszałem jego. Słyszałem jego słowa wydobywające

się z ust Nauczycieli.

Zamilkł.

– Manfred ma silną osobowość – powiedział doktor. – Jeśli ktoś zbyt długo przebywa w jego towarzystwie, zatracą swoją. Myślę, że ze względu na własne dobro i zdrowie powinien pan przestać brać udział w projekcie Pana Kotta. Moim zdaniem zbyt wiele pan ryzykuje.

– Muszę się widzieć z Arniem dziś wieczorem – powiedział Bohlen zdławionym, rwącym się głosem.

– A co będzie z panem? Co dla pana z tego wyniknie?

Jack nic nie odpowiedział.

– Na tym etapie rozwoju pańskiej choroby – dział doktor Glaub – mogę pana jeszcze wyleczyć. Nie jestem pewny, czy uda mi się to później.

– Tam, w tej cholernej szkole – mówił Jack – zrobił mi się kompletny mętlik w głowie. Nie wiedziałem, co robić. Szedłem przed siebie szukając kogoś, z kim mógłbym normalnie porozmawiać. Kto nie byłby taki jak... on. – Wskazał na chłopca.

– Zetknięcie ze szkołą stwarza schizofrenikom poważne problemy. Schizofrenik, a pan nim jest, często nawiązuje kontakt z ludźmi poprzez podświadomość. Rzecz jasna maszyny uczące nie mają nawet cienia osobowości. Wszystko, czym są, mieści się na ich powierzchni. Ponieważ schizofrenik przywykł do ignorowania powierzchni i do patrzenia w głąb, trafia na pustkę. Tak więc po prostu nie może zrozumieć maszyn.

– Nie zrozumiałem nic z tego, co mówiły – powiedział Bohlen. – Słyszałem jedynie bezsensowną paplaninę Manfreda. Ten jego prywatny język.

– Ma pan szczęście, że wyszedł pan z tego.

– Wiem.

– A więc co pan teraz wybierze, Bohlen? Odpoczynek i powrót do zdrowia? Czy niebezpieczny dla pana kontakt z dzieckiem o tak chwiejnej...

– Nie mam wyboru – przerwał mu Bohlen.

– Racja. Nie ma pan wyboru. Musi się pan z tego wycofać.

– A jednak czegoś się nauczyłem – stwierdził Jack. – Dowiedziałem się, czym ryzykuję. Teraz wiem, jak się czuje ktoś odcięty od świata, zupełnie odizolowany, jak Manfred. Zrobiłbym wszystko, żeby tego uniknąć. Teraz nie chcę się poddać.

Wyjął z kieszeni papierosa i zapalił go drżącymi rękami.

– Prognozy są dla pana nie najlepsze – powiedział doktor Glaub.

Jack Bohlen skinął głową.

– Remisja nastąpiła bez wątplenia dlatego, że opuścił pan teren szkoły. Czy mogę być z panem całkiem szczerzy? Nie potrafię przewidzieć, jak długo będzie pan w stanie funkcjonować, może jeszcze dziesięć minut, może godzinę, być może aż do wieczora. A wtedy

może pana spotkać jeszcze gorsze załamanie. Godziny nocne są szczególnie trudne, prawda?

– Tak – odrzekł Bohlen.

– Mogę dla pana zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze: zabrać Manfreda z powrotem do Obozu B-G, i po drugie: jako pański psychiatra reprezentować pana z urzędu u Arniego dziś wieczorem. Na tym polega moja praca. Proszę mi dać upoważnienie i odwiezę pana do domu.

– Może po dzisiejszym spotkaniu z Arniem – powiedział Bohlen. – Mógłby mnie pan reprezentować później, jeśli mi się pogorszy. Lecz dzisiaj pójdę do Arniego Kotta i zabiorę z sobą Manfreda.

Doktor Glaub wzruszył ramionami.

„Odporny na argumenty – pomyślał. – To objaw autyzmu. Jacka Bohlena nie da się do niczego przekonać. Zbyt już jest odcięty od świata, by mnie wysłuchać i cokolwiek zrozumieć. Komunikacja językowa stała się dla niego pustym, nic nie znaczącym rytuałem.”

– Mój syn, Dawid – przypomniał sobie nagłe Bohlen. – Muszę wrócić do szkoły i odebrać syna. I mój kopter firmowy, on też tam został.

Jego wzrok stał się teraz bardziej przytomny, jakby Jack dochodził do siebie.

– Proszę tam nie wracać – nalegał doktor Glaub.

– Niech mnie pan tam zabierze.

– W takim razie proszę nie wchodzić do szkoły. Zostanie pan na lądowisku, a ja sprowadzę pańskiego syna. Pan posiedzi w swoim kopterze i poczeka. Tak będzie dla pana bezpieczniej. Załatwię wszystko, co trzeba, z dyspozytorem.

Glaub poczuł przypływ sympatii dla tego człowieka za jego uparte obstawanie przy swoim.

– Dziękuję – powiedział Bohlen – Jestem panu bardzo wdzięczny.

Posłał doktorowi uśmiech, który ten odwzajemnił.

– Gdzie jest Jack Bohlen? – zapytał żałośnie Arnie Kott.

Była szósta wieczorem i Arnie siedział sam w saloniku, popijając nieco przesłodzonego Old Fashioned, którego przyrządził Helio.

Jego oswojony Murzochid właśnie znajdował się w kuchni i przygotowywał obiad wyłącznie z czarnorynkowych artykułów z zapasów Arniego. Kott poczuł zadowolenie na myśl, że zaopatruje się we frykasy po cenach hurtowych. Jakież to było ulepszenie w stosunku do dawnego systemu, w którym cały zysk przypadał Norbertowi Steinerowi! Arnie pociągał drinka i czekał na przybycie gości. Ze stojących w kącie głośników sączyła się przejmująca, wyrafinowana muzyka. Koila nerwy współobywatela Kotta.

Nagle brzęk telefonu gwałtownie wyrwał go z transu.

– Arnie, tu Scott.

– Tak? – powiedział niezadowolony Arnie. Wolał kontaktować się z nim poprzez swój

zmyślny system kodujący. – Posłuchaj, mam dzisiaj ważne spotkanie służbowe i jeśli nie masz mi do powiedzenia nic...

– To bardzo ważne – przerwał mu Scott. – Ktoś nam wchodzi w paradę.

Co takiego? – zapytał zaskoczony Arnie. Wtedy zrozumiał, co miał na myśli Scott Tempie. – Chodzi o towary?

Tak – odparł Scott. – I już wszystko zorganizowałem. Ma własne lądowisko, raketę rotacyjną i trasę. Musiał to przejąć po Stein...

– Nie mów nic więcej – przerwał mu Arnie. – Przyjdź tu zaraz.

– Dobrze.

Telefon brzdęknął. Scott odłożył słuchawkę.

„To mi się ani trochę nie podoba – pomyślał Arnie. – Dopiero co rozkręciłem interes i od razu jakiś gnojek wścibia w to swój nochal. A z początku nawet nie chciałem zajmować się czarnym rynkiem. Dlaczego ten facet nie powiedział mi, że chce przejąć interes po Steinerze? Jednak teraz jest już za późno. Wziąłem się za to i nie dam się wyrugować.”

Pół godziny później w drzwiach stanął podekscytowany Scott. Zaczął krążyć po saloniku Arniego i podjadając *hors d'oeuvres*, trajkotał jak katarynka. Zdawał sprawę ze swego odkrycia.

– Ten gość jest prawdziwym zawodowcem. Musiał zdobyć już wcześniej jakieś doświadczenie. Obleciał całego Marsa. Odwiedził praktycznie każdego. Nawet te domy na peryferiach, gdzie mieszkają kobiety, które kupią najwyżej słoiczek czegoś tam. Poruszył niebo i ziemię. Zdmuchnął nam sprzed nosa całą klientelę. Tymczasem my ledwo co ruszyliśmy. Ten gość, powiedzmy to sobie szczerze, zupełnie nas zakasuje.

– Wyobrażam sobie – powiedział Arnie trąc łysinę.

– Musimy coś zrobić.

– Wiesz, gdzie się znajduje jego baza operacyjna?

– Nie, ale chyba w Górach F.D.R. Tam właśnie Norbert Steiner miał lądowisko. To najpierw sprawdzimy.

Scott umieścił to w swoim notatniku.

– Znajdź jego lądowisko – powiedział Arnie – i daj mi znać. Naślę na niego statek policyjny z Lewistown.

– Wtedy się dowie, z kim ma do czynienia.

– Właśnie. Chcę, by wiedział, że ma przeciwko sobie Arniego Kotta, a nie jakiegoś zwyczajnego przeciwnika Statek policyjny zruci tam taktyczną bombę A albo jakąś inną bombę niszczącą o mniejszym zasięgu i raz na zawsze zlikwiduje to lądowisko. Wtedy gnojek zobaczy, że bardzo nam się naraził swoją bezczelnością. Bo to jest bezczelność zrobić konkurencję mnie, który wcale nie chciałem wchodzić w ten biznes! I tak już było wystarczająco paskudnie, a on jeszcze pogarsza całą sprawę.

Scott dokładnie zanotował każde słowo: „... a on jeszcze pogarsza całą sprawę”.

– Podaj mi namiary lądowiska – powiedział Arnie na zakończenie – a ja już dopilnuję, żeby się nim odpowiednio zajęto. Nie chcę, żeby go dopadła policja, wystarczy, że zniszczą jego sprzęt. Nie chcę zadzierać z ONZ. Jestem pewny, że od razu przestanie podskakiwać. Myślisz, że działa sam? Czy to nie jest na przykład jakaś duża grupa z Domu?

– Z tego, co mi wiadomo, działa w pojedynkę.

– Świetnie – powiedział Arnie i pożegnał Scotta.

Kiedy zamknęły się drzwi, znowu siedział samotnie w swoim saloniku, podczas gdy oswojony Murzochid pętał się po kuchni.

– Jak tam *bouillabaisse*? – zawołał do niego Arnie.

– Dobrze, panie – odparł Heliogabalus. – Czy mogę zapytać, kto ma dzisiaj przyjść, żeby to wszystko zjeść?

Krzątał się przy piecu, wśród kilku gatunków ryb, ziół i przypraw.

– Będzie Jack Bohlen, Doreen Anderton i pewne autystyczne dziecko poleczone przez doktora Glauba, nad którym pracuje Jack... syn Norba Steinera.

– Samo dziadostwo – burknął Heliogabalus.

„Tak jak i ty” – pomyślał Arnie. I rzekł z rozdrażnieniem:

– Postaraj się tylko dobrze to ugotować.

Zamknął drzwi kuchenne i wrócił do saloniku.

„Ty czarny skurwielu – myślał. – Sam mnie w to pakowałeś. To przez ciebie i ten twój jasnowidzący kamień przyszedł mi do głowy ten pomysł. I lepiej, żeby coś z niego wyszło, bo postawiłem wszystko na jedną kartę. A w dodatku...”

Dzwonek u drzwi przebił się przez płynącą z głośników muzykę.

W drzwiach stała Doreen. Z ciepłym uśmiechem na twarzy, otulona futrem, na wysokich obcasach weszła do saloniku.

– Cześć. Co tak ładnie pachnie?

– Jakaś tam zakichana ryba.

Arnie zdjął jej pelerynkę. Obnażył gładkie, opalone ramiona, leciutko pokryte piegami.

– Nie – powiedział od razu – to nie taki wieczór jak myślisz. To spotkanie służbowe. Idź założyć jakąś przyzwoitą bluzkę. – Wskazał sypialnię. – Innym razem.

Stał w drzwiach i patrzył, jak Doreen się przebiera.

„Mam tu naprawdę kobietę z klasą” – pomyślał.

Doreen starannie ułożyła na łóżku swoją suknię bez ramiączek.

„To prezent ode mnie”.

Przypomniał sobie modelkę w domu towarowym, która miała na sobie tę suknię. Jednak

Doreen wyglądała w niej o wiele lepiej. Już same jej rude włosy, które spływały na kark jak deszcz ognia...

– Arnie – zwróciła się do niego zapinając bluzkę – bądź dzisiaj wyrozumiały dla Jacka Bohlena.

– Do diabła – rzucił się – o co ci chodzi? Chcę tylko jakichś wyników od naszego kochanego Jacka. Myślę, że miał dosyć czasu. Nie będę czekał ani chwili dłużej!

– Bądź wyrozumiały, Arnie – powtórzyła Doreen. – W przeciwnym razie nigdy ci tego nie wybaczę.

Pomrukując z niezadowolenia Kott podszedł do kredensu w saloniku i zaczął przygotowywać drinka dla Doreen.

– Czego się napijesz? Mam butelkę dziesięcioletni irlandzkiej whisky. Może być?

– Może – odparła Doreen wynurzając się z sypialni. Usiadła na kanapie, założyła nogę na nogę i wygładziła spódnice.

– Tobie we wszystkim jest dobrze – powiedział Arnie.

– Dziękuję.

– Słuchaj, wiesz, że na kontakty z Bohlenem masz oczywiście moją zgodę. Ale to, co z nim robisz, jest jedynie powierzchowne, prawda? W głębi jesteś naprawdę moja.

– Co rozumiesz przez „w głębi”? – zapytała żartobliwie Doreen. Nie spuszczała z niego oczu, dopóki się nie roześmiał. – Pilnuj się – powiedziała. – Oczywiście Arnie, jestem twoja. Wszystko w Lewistown jest twoje, nawet cegły i słoma. Za każdym razem gdy puszczam z kranu trochę wody, myślę o tobie.

– Dlaczego o mnie?

– Bo jesteś bóstwem marnowanej wody. – Uśmiechnęła się do niego. – Tylko żartowałam. Pomyślałam o twojej łaźni parowej.

– Taak – powiedział Arnie. – Pamiętasz, jak kiedyś poszliśmy tam sami późno w nocy? Otworzyłem drzwi własnym kluczem i weszliśmy tam jak para niegrzecznych dzieci... wkradliśmy się, odkręciliśmy wszystkie prysznice z gorącą wodą, aż było gęsto od pary. Zdjęliśmy ubrania, musieliśmy być na niezłym gazie, i biegaliśmy na golasa po całej łaźni. Bawiliśmy się w chowanego... – Uśmiechnął się. – I wtedy dopadłem cię zaraz obok ławki, na której ugniata cię masażyстка, żeby ci spłaszczyć tyłek. Mieliśmy niezłą zabawę na tej ławce.

– Strasznie prymitywną – powiedziała Doreen, która przypomniała sobie tę scenę.

– Czuję się, jakbym znowu miał dziewiętnaście lat. Jak na takiego podstarzałego gościa, mam jeszcze w sobie dużo... no, wiesz, o co mi chodzi. – Przeszedł się po pokoju. – Kiedy ten Bohlen ma zamiar tu przyjść, na litość boską?

Zadzwoił telefon.

– Panie – zawołał z kuchni Heliogabalus. – Nie mogę odebrać. Proszę to zrobić samemu.

– Jeśli to dzwoni Bohlen – powiedział Arnie do Doreen – żeby mi oznajmić, że nie może przyjść...

Zrobił gest podcinania gardła i podniósł słuchawkę.

– Arnie – odezwał się męski głos w słuchawce. – przepraszam, że cię niepokoję. Tu Glaub.

– Cześć, doktorku – odparł z ulgą Arnie. – To nie Bohlen – szepnął do Doreen.

– Wiem, że oczekujesz Jacka Bohlena dziś wieczorem – powiedział Glaub. – Jeszcze go nie ma, prawda?

– Nie ma.

– Arnie – zaczął z wahaniem Glaub – tak się złożyło, że dzisiaj spędziłem trochę czasu z Jackiem, i chociaż...

– O co chodzi? Znowu napad schizofrenii? – Intuicja mówiła Arniemu, że tak się właśnie stało. To było przyczyną telefonu doktora. – W porządku – powiedział Arnie. – Jest przemęczony, czas go nagli, to pewne. Ale takie problemy mamy wszyscy. Jeśli chcesz go usprawiedliwiać jak dziecko, które jest chore i nie może przyjść do szkoły, muszę cię rozczarować. Nie pójdę na to. Bohlen wiedział, w co się pakuje. Jeśli nie ma czym się wykazać, urzęduję go tak, że przez resztę życia nie naprawi już na Marsie żadnego tosterka.

Doktor Glaub milczał przez chwilę, po czym powiedział:

– To ludzie tacy jak ty, stawiający innym zbyt wysokie wymagania, stwarzają schizofreników.

– Co? Mam swoje wymagania i on musi im sprostać. Ot co. Są bardzo wysokie. Wiem o tym.

– On też ma wysokie wymagania.

– Nie tak wysokie jak moje – rzekł Arnie. – No dobrze, doktorze Glaub, masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Nie – odparł Glaub. – Poza tym, że... – Głos mu się załamał. – Nic więcej. Dziękuję, że zechciałeś mi poświęcić chwilę czasu.

– Dzięki za telefon – powiedział Arnie i odwiesił słuchawkę. – Dupek bez jaj. Nie ma odwagi powiedzieć co myśli. – Z obrzydzeniem na twarzy odszedł od telefonu. – Boi się stanąć w obronie tego, w co wierzy. Żywię dla niego jedynie pogardę. Po co dzwoni, skoro nie ma za grosz charakteru?

– Dziwię się, że zadzwonił – powiedziała Doreen. Uniosła twarz. – Co mówił o Jacku? – Jej oczy pociemniały z z troskaniem. Wstała z kanapy i podeszła do Arniego. Położyła mu rękę na ramieniu, żeby przestał chodzić po pokoju. – Powiedz mi.

– Ach, mówił tylko, że spotkał dzisiaj Bohlena. Podejrzewam, że Jack ma coś w rodzaju ataku, tej swojej choroby, no wiesz.

– Przyjdzie tu?

– Nie wiem, na Boga. Dlaczego wszystko musi się tak komplikować? Dzwonią do mnie lekarze, ty chodzisz za mną i skamlesz jak skopany pies. – Ze złością i urazą odepchnął rękę Doreen. – I do tego ten stuknięty czarnuch w kuchni. Chryste! Czy on warzy jakąś diabelską truciznę? Siedzi tam już tyle godzin!

– Posłuchaj, Arnie – powiedziała Doreen cichym, ale opanowanym głosem. – Jeśli zrobisz Jackowi krzywdę, już nigdy nie pójde z tobą do łóżka. Przysięgam.

– Każdy go broni. Nic dziwnego, że jest chory.

– Jest dobrym człowiekiem.

– Lepiej, żeby był również dobrym technikiem. Lepiej, żeby jak mapę rozłożył przede mną umysł tego dziecka.

Popatrzyli sobie w oczy.

Doreen potrząsnęła głową, sięgnęła po drinka, odsunęła się od Arniego i odwróciła tyłem.

– W porządku. Nie będę ci radzić, co masz robić. Możesz poderwać z tuzin kobiet tak dobrych w łóżku jak ja. Czymże jestem dla potężnego Arniego Kotta?

Mówiła zimnym, jadowitym głosem.

Arnie podszedł do niej zakłopotany.

– Do licha, Dor, jesteś wyjątkowa. Słowo daję. Jesteś niewiarygodna. Masz tak cholernie gładkie plecy, to było widać w tej sukni, którą miałaś na sobie. – Poglądził ją po szyi. – Masz klasę nawet według ziemskich standardów.

Zabrzączał dzwonek.

– To on – powiedział Arnie i natychmiast ruszył do drzwi.

Stał w nich Jack Bohlen, twarz miał wyraźnie zmęczoną. Przyprował z sobą chłopca, który za jego plecami niespokojnie podrygiwał na czubkach palców, ukazując się to z jednej jego strony, to z drugiej. Oczy chłopca błyszczały, spojrzenie miał rozbiegane, jego wzrok na niczym się nie zatrzymywał. Chłopiec błyskawicznie prześliznął się obok Arniego do saloniku i zniknął.

Arnie był zmieszany.

– Wejdz – powiedział.

– Dziękuję, Arnie.

Jack wszedł do środka. Arnie zamknął drzwi i obaj zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu Manfreda.

– Poszedł do kuchni – powiedziała Doreen.

I rzeczywiście, gdy Arnie otworzył kuchenne drzwi, ujrzał chłopca, który jak urzeczony wpatrywał się w Heliogabalusa.

– Co się stało? – spytał Arnie. – Nigdy przedtem nie widziałeś Murzochida?

Chłopiec milczał.

– Co będzie na deser, Helio? – zapytał Arnie.

– Babeczki – odparł Heliogabalus. – Danie filipińskie, krem z sosem karmelowym. Z książki kucharskiej pani Rombauer.

– Manfredzie – rzekł Arnie – to jest Heliogabalus.

Jack i Doreen także stanęli w drzwiach kuchni i patrzyli, Arnie zauważył, że chłopiec jest bardzo przejęty widokiem Murzochida. Oczarowany śledził każdy jego ruch. Heliogabalus z wielką starannością nalewał masę do foremek, które zanosił do zamrażalnika.

– Cześć – powiedział nieśmiało Manfred.

– Hej! – zawołał Arnie. – Wymówił prawdziwe słowo!

– Muszę was poprosić o opuszczenie kuchni – odezwał się niezadowolony Helio. – Wasza obecność mnie krępuje i nie mogę pracować.

Tak długo przeszywał ich wzrokiem, aż jedno po drugim opuścili kuchnię. Pchnięte od wewnątrz drzwi zatrzasnęły się za nimi, pozbawiając ich widoku pracującego Helio.

– Jest nieco dziwny – tłumaczył Arnie. – Ale z pewnością umie gotować.

– Pierwszy raz słyszałem Manfreda mówiącego coś takiego – odezwał się Jack do Doreen.

Zachowanie Manfreda zrobiło widocznie na Jacku wielkie wrażenie. Odłączył od towarzystwa i podszedł do okna.

– Czego chcesz się napić? – spytał Arnie, zbliżając się do niego.

– Burbona z wodą.

– Zaraz ci zrobię. Nie mogę zawracać głowy Helio tak banalnymi sprawami.

Roześmiał się. Jack mu nie zawtórował.

Przez chwilę cała trójka siedziała i popijała drinki. Manfred, któremu dano do czytania stare czasopisma, wyciągnął się na podłozę, znowu nieświadomy obecności innych.

– Zobaczycie, co za smakowita potrawa – odezwał się Arnie.

– Pachnie cudownie – stwierdziła Doreen.

– Wszystko z czarnego rynku – rzekł Kott.

Doreen i Jack jednocześnie skinęli głowami.

– To pamiętny wieczór – powiedział Arnie.

Znowu skinęli głowami. Arnie wzniosł toast:

– Za komunikację, bez której nie byłoby w ogóle niczego!

– Piję za to – powiedział ponuro Jack.

Jednak skończył już swojego drinka i wyraźnie zakłopotany wpatrywał się w pustą szklanę.

– Zrobię ci nowego – powiedział Arnie i wziął od niego szklanę.

Kiedy stanął przy kredensie, zobaczył, że Manfredowi znudziły się czasopisma. Chłopiec wstał z podłogi i znowu wędrował po pokoju.

„Może spodobałoby mu się naklejanie wycinanek” – zastanawiał się Arnie.

Podał Jackowi drinka i wyszedł do kuchni.

– Helio, daj temu dzieciakowi klej i nożyczki, i jakiś papier, żeby mógł naklejać wycinanki.

Helio uwinął się już z babeczkami. Wyglądało na to, że skończył pracę. Siedział z „Life'em” w rękach. Niechętnie podniósł się z krzesła i ruszył w poszukiwaniu kleju, nożyczek i papieru.

– Zabawny z niego dzieciak, prawda? – powiedział Arnie, gdy Murzochid wrócił do kuchni.

– Co o nim myślisz? Zgadzasz się ze mną?

– Wszystkie dzieci są takie same – odparł Helio i znowu wyszedł z kuchni.

– Zaraz zabierzemy się do jedzenia – oznajmił Arnie podążając za nim. – Czy wszyscy spróbowali tego niebieskiego duńskiego sera? Czy ktoś czegoś sobie życzy?

Zadzwonił telefon. Doreen, która siedziała najbliżej, podniosła słuchawkę.

– Do ciebie. Jakiś mężczyzna – powiedziała podając ją Arniemu.

Ponownie dzwonił doktor Glaub.

– Panie Kott – powiedział wysokim, nienaturalnym głosem – moim podstawowym obowiązkiem jest ochrona pacjentów. Nie tylko pan może się znęcać nad słabszym. Jak zapewne panu wiadomo, pański nieślubny syn, Sam Esterhazy, znajduje się w Obozie B-G, a ja tam pracuję.

Arnie mruknął niezadowolony.

– Jeśli nie potraktuje pan Jacka Bohlena po ludzku – ciągnął doktor – jeśli zastosuje pan wobec niego swoją okrutną, agresywną, bezwzględną taktykę, ja odpłacę się panu usunięciem Sama z Obozu B-G na tej podstawie, że jest on jedynie opóźniony umysłowo. Czy to jasne?

– Chryste, gadu-gadu, ani końca, ani ładu! – jęknął Arnie. – Porozmawiamy o tym jutro. Idź spać albo co, weź pigułkę. Po prostu odczep się ode mnie.

Arnie rzucił słuchawkę.

Skończyła się taśma. Magnetofon milczał już od jakiegoś czasu. Arnie sztywnym krokiem podszedł do szafki i wyjął pierwsze z brzegu pudełko.

„Dorwę ja jeszcze tego doktora – pomyślał. – Ale nie teraz. Teraz nie ma na to czasu. Z nim jest coś nie tak. Czepia się.”

Spojrzał na pudełko i przeczytał:

W. A. Mozart, Symfonia nr 40 g-moll, K. 550.

– Uwielbiam Mozarta – zwrócił się do Doreen, Jacka Bohlena i Manfreda. – Zaraz coś wam puszczę. – Wyjął taśmę z pudełka i założył na oś. Pogmerał przy gąłkach wzmacniacza, aż usłyszał szmer taśmy przechodzącej przez głowicę. – Dyryguje Bruno Walter – poinformował gości. – Prawdziwy rarytas ze złotego wieku nagrań.

Z głośników dobiegły przeraźliwe piski i krzyki. „To brzmi jak rechot tłumu nieboszczyków” – pomyślał z przerażeniem Arnie.

Pobiegł wyłączyć magnetofon.

Manfred Steiner siedział na dywanie. Wycinał obrazki z czasopism i naklejał je na papier. Usłyszał hałas i podniósł głowę. Ujrzał pana Kotta, który pędził wyłączyć grające urządzenie. Manfred zauważył, że sylwetka pana Kotta zupełnie się rozmywa. Kiedy poruszał się tak szybko, trudno go było zobaczyć. Zdawać by się mogło, że panu Kottowi w jakiś sposób udało się zniknąć z pokoju i pojawić w innym miejscu. Chłopca ogarnął strach.

Hałas także budził w nim przerażenie. Spojrzał na kanapę, żeby sprawdzić, czy pan Bohlen również się przeląkł. Pan Bohlen nadal siedział na swoim miejscu obok Doreen Anderton, sczepiony z nią tak, że chłopiec skulił się ze strachu. Jak dwoje ludzi mogło znieść tak wielką bliskość? Manfredowi zdawało się, że oboje złączyli się w jedno i przeraziła go wizja takiego zespolenia. Udawał, że ich nie widzi. Omijał ich wzrokiem, starając się patrzeć na bezpieczną, nie zmieszaną z niczym ścianę.

Głos pana Kotta sparaliżował chłopca. Manfred usłyszał chropawe, urywane dźwięki, których nie mógł zrozumieć. Potem mówiła Doreen Anderton, a potem Jack Bohlen. Wszyscy bezładnie trajkotali. Chłopiec zatkał uszy palcami. Znienacka, zupełnie bez ostrzeżenia, pan Kott pomknął przez pokój i zniknął.

Co się z nim stało? Chłopiec rozglądał się wszędzie, ale nie mógł go nigdzie znaleźć. Zaczął drzeć, czekając na to, co się za chwilę wydarzy. Ku swojemu zdumieniu zobaczył, że pan Kott pojawił się znowu w pokoju, w którym było jedzenie. Rozmawiał z ciemną postacią.

Ciemna postać z harmonijnym wdziękiem zsunęła się na podłogę ze swojego miejsca na wierzchołku wysokiego krzesła. Przepłynęła przez pokój i wyjęła z szafki szklankę. Urzeczonemu Manfredowi nie odrywał od niej wzroku. Wtedy obejrzała się za siebie i spojrzała mu prosto w oczy.

– Musisz umrzeć – powiedziała dochodzącym z oddali głosem. – Wtedy urodzisz się na nowo. Rozumiesz, mój mały chłopcze? Nic tu po tobie takim, jakim jesteś teraz. Stało się z tobą coś złego i nie widzisz ani nie słyszysz. Nikt ci nie może pomóc. Rozumiesz?

– Tak – odparł Manfred.

Ciemna postać płynnym krokiem podeszła do zlewu, wsypała jakiś proszek do szklanki i nalała wody. Ofiarowała szklankę panu Kottowi, który wypił jej zawartość nie przestając ani na chwilę trajkotać. Jakże piękna była ciemna postać. Nikt nie był do niej podobny.

„Dlaczego ja nie mogę być taki?” – pomyślał Manfred.

Wtem ulotna wizja przysła, zerwał się jego kontakt z człowiekiem-cieniem. Między nimi stanęła Doreen Anderton. Wbiegła do kuchni i zaczęła mówić coś piskliwym głosem. Raz jeszcze Manfred zatkał uszy palcami, jednak nie mógł odgrodzić się od hałasu.

Wbił wzrok przed siebie, by od niego uciec. Odseparował się od dźwięku oraz brutalnych pojawień i zniknięć.

Przed nim ciągnęła się górską ścieżką. Nad głową miał ciężkie czerwone słońce. Zobaczył

punkty: setki plam, które zbliżały się i rosły. Coś się od nich odrywało i spadało w dół. To byli ludzie z nienaturalnymi myślami. Spadli na ziemię i zaczęli zataczać kręgi. Potem jeden za drugim opadły wielkie stwory, jakby ślimaki. One nie miały żadnych myśli. Zaczęły ryć ziemię.

Ujrzał dziurę wielką jak świat. Ziemia znikła i nastał mrok, pustka, nicłość... Ludzie jeden za drugim wskakiwali do środka, aż nie pozostał nikt. Tylko Manfred i milczący, mroczny świat-dziura.

Stanął nad krawędzią i zajął do środka. Na dnie, w nicości, jakby odzyskując wolność, rozwinęło się skrzycone stworzenie. Podpełzło w górę jak wąż, stało się szerokie i płaskie, zaczynało nabierać kolorów.

„Jestem w tobie – pomyślał Manfred. – Znowu.”

Jakiś głos powiedział:

– On przebywa w AM-WEB dłużej niż inni. Był już tutaj, kiedy my przyszliśmy. Jest bardzo stary.

– Czy on cieszy się, że żyje?

– Kto to wie? Nie może chodzić ani samodzielnie jeść. Jego dane przepadły w czasie pożaru. Możliwe, że ma dwieście lat. Amputowano mu ręce i nogi, i oczywiście pozbawiono go większości narządów. Przeważnie narzeka na katar sienny.

„Nie – pomyślał Manfred. – Nie wytrzymam. Nos mnie piecze, nie mogę oddychać. Czy to jest to życie, które obiecała mi postać-cień? Powtórne narodziny, po których będę inny i ktoś będzie w stanie mi pomóc? Proszę, niech mi ktoś pomoże. Potrzebuję kogoś, kogokolwiek. Nie mogę tutaj czekać całą wieczność. To musi nastąpić teraz albo nigdy. Jeśli nic się nie zmieni, urosnę i stanę się światem-dziurą, który wszystko pochłonie.”

Dziura ziejąca pod AM-WEB czekała, żeby wchłonąć wszystkich, którzy chodzą po powierzchni lub kiedykolwiek po niej chodzili. Czekala, żeby stać się wszystkimi i wszystkim. I tylko Manfred Steiner ją powstrzymywał.

Jack Bohlen odstawił pustą szklankę. Miał uczucie, że jego ciało rozpada się na kawałki.

– Skończyła się woda – zdołał powiedzieć do siedzącej obok niego dziewczyny.

– Jack, nie zapominaj, że masz przyjaciół – szeptała gorączkowo Doreen. – Ja jestem twoim przyjacielem, zadzwonił doktor Glaub, więc on też jest twoim przyjacielem. – Patrzyła z niepokojem w jego twarz. – Pozbierasz się?

– Jack, na miłość boską! – krzyknął Arnie. – Muszę się dowiedzieć, co już zrobiłeś. Nie masz mi nic do powiedzenia? – Rzucił im zazdrosne spojrzenie. Doreen niepostrzeżenie odsunęła się od Jacka. – Macie zamiar tak tam siedzieć, szeptać i się gzić? Niedobrze mi.

Wyszedł do kuchni. Zostali sami. Doreen przysunęła się do Jacka. Jej wargi niemal dotykały jego ust.

– Kocham cię – wyszeptała.

Próbował się uśmiechnąć, jednak jego twarz zeszywniała – Dziękuję – powiedział.

Chciał jej dać do zrozumienia, jak wiele znaczy dla niego to, co powiedziała. Pocałował Doreen. Jej usta były gorące i miękkie. Oddawała mu się nie pragnąc niczego w zamian.

– Mam uczucie, że coraz bardziej mi się wymykasz – powiedziała ze łzami w oczach. – Coraz bardziej zamykasz się w sobie.

– Nie – odparł. – Czuję się dobrze.

Tak jednak nie było. I Jack dobrze o tym wiedział.

– Glub glub – powiedziała dziewczyna.

Jack zamknął oczy.

„Nie mogę uciec – pomyślał. – To mną zupełnie zawładnęło.”

Gdy otworzył oczy, zobaczył, że Doreen wstaje z kanapy i idzie do kuchni. Po chwili usłyszał głos jej i Arniego.

– Glub glub glub.

– Glub.

– Słyszysz mnie? – zwrócił się do chłopca, który ciał na dywanie czasopisma. – Rozumiesz mnie?

Manfred poniósł głowę i uśmiechnął się.

– Mów do mnie – prosił Jack. – Pomóż mi.

Chłopiec milczał.

Jack wstał z kanapy i dobrnął do magnetofonu. Przypatrywał mu się odwrócony plecami do pokoju.

„Czy żyłbym teraz – zastanawiał się – gdybym posłuchał doktora Glauba? Gdybym tutaj nie przyszedł, ale pozwolił, żeby on mnie reprezentował? Chyba nie. To i tak musiałyby się stać, to nieuchronne jak ten pierwszy atak, jak proces, który musi się rozwinąć, dobiec do końca.”

Potem uświadomił sobie, że stoi na czarnym, pustym chodniku. Zniknął pokój i ludzie. Jack był sam.

Po obu stronach widział bure pionowe ściany. Czy to było AM-WEB? Rozglądał się gorączkowo. Tu i ówdzie dostrzegł światła. Był w mieście. Poznał Lewistown. Ruszył naprzód.

– Poczekaj – zawołał ktoś.

Z budynku wybiegła kobieta w futrzanej pelerynie. Jej wysokie obcasy stukały po chodniku, odbijając się echem od ścian domów. Jack się zatrzymał.

– Ostatecznie nie poszło aż tak źle – wysapała, gdy go dogoniła. Dyszała ciężko. – Bogu dzięki, że to się wreszcie skończyło. Byłeś taki spięty. Czułam to przez cały wieczór. Arnie jest strasznie załamany wiadomością o spółdzielni. Oni są potężni i bogaci. Przy nich czuje się nikim.

Szli wolno przed siebie. Dziewczyna trzymała go pod rękę.

– No i obiecał – mówiła dalej – że zatrzyma cię jako swojego montera. Jestem pewna, że powiedział to serio. Mimo że jest wściekły. Znam go na wylot. Wiem. Mogę cię zapewnić.

Jack próbował coś sobie przypomnieć, ale daremnie.

– Powiedz coś. Odezwij się do mnie – błagała Doreen.

– On... byłby niebezpiecznym wrogiem – rzekł po chwili.

– Obawiam się, że tak. – Podniosła na niego wzrok. – Pójdziemy do mnie? Czy chcesz gdzieś wstąpić na drinka?

– Po prostu idźmy dalej przed siebie – powiedział.

– Czy wciąż mnie kochasz?

– Oczywiście – odparł.

– Boisz się Arniego? Może próbować się na tobie zemścić. Nie wierzy w tę historię z twoim ojcem. Sądzi, że jednak musiałeś... – potrząsnęła głową. – Jack, Arnie będzie się starał na tobie odegrać. On ciebie obciąża, jest tak diabelnie prymitywny.

– Tak – powiedział Jack.

– Powiedz coś więcej. Jesteś jak kawałek drewna, jakbyś nie żył. Czy to było takie straszne? Nie było, prawda? Chyba już się pozbierałeś.

– Ja... nie boję się tego, co on zrobi – odparł z wysiłkiem Jack.

– Odejdiesz dla mnie od żony, Jack? Powiedziałeś, że mnie kochasz. Może moglibyśmy wrócić na Ziemię?

Szli dalej przed siebie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Otto Zitte czuł się jak nowo narodzony. Od śmierci Norba Steinera krążył po Marsie jak za dawnych czasów. Dostarczał towary, handlował, widywał ludzi i mógł z nimi pogadać.

A co najważniejsze, spotkał już kilka ponętnych kobiet, które samotnie pędziły dni w swoich domach pośród pustyni i tęskniły za, jak to się mówi, towarzystwem...

Jak dotąd nie zdążył jeszcze zawitać do domu pani Sylwii Bohlen, dokładnie jednak wiedział, gdzie się on znajduje. Zaznaczył go na mapie.

Dzisiaj planował tam się udać.

Na tę okazję założył swój najlepszy garnitur: jednorzędowy, angielski, z szarego sztucznego jedwabiu. Nie miał go na sobie od lat. Buty, ku jego ubolewaniu, były miejscowej produkcji, tak jak i koszula. Za to krawat – mucha nie siada! Świeżo z Nowego Jorku: najnowszy fason, jasne, wesołe kolory, u dom fantazyjnie rozcięty. Otto ujął go w dłonie i podziwiał przez dłuższą chwilę. Potem włożył na szyję... i też podziwiał. Jego długie ciemne włosy lśniły. Był szczęśliwy i pełen i w siebie.

„Dzisiaj zaczynam życie na nowo. Z kobietą taką jak Sylwia” – mówił sobie w myślach, gdy wkładał wełniany płaszcz.

Wziął walizki i żwawo wyszedł z magazynu przerobionego teraz na prawdziwie komfortowe mieszkanie. Wsiadł do koptera.

Wielkim łukiem poderwał pojazd w niebo i skierował się na wschód. Zostawił w tyle nagie zbocza Gór F.D.R. przeleciał nad pustynią i wreszcie ujrzał Kanał im. Jerzego Waszyngtona, który posłużył mu za punkt orientacyjny. Lecąc wzdłuż niego, zbliżył się do systemu mniejszych, odchodzących od niego kanałów. Wkrótce znalazł się nad rozgałęzieniem Kanału im. Wiliama Butlera Yeatsa i Kanału im. Herodota, w pobliżu którego mieszkali państwo Bohlen.

„Obie są atrakcyjne – myślał Otto – June Henessy i Sylwia Bohlen. Jednak Sylwia bardziej mi odpowiada. Jest marzycielska i jednocześnie skłonna do namiętności, co zawsze cechuje głęboko uczuciowe kobiety. June jest zbyt śmiała i wścibska. To typ mądrali i pewnie gada bez przerwy. A mnie potrzebna kobieta, która umie słuchać.”

Przypomniały mu się tarapaty, w jakich znalazł się ostatnim razem.

„Ciekawe, jaki jest jej mąż – zastanawiał się. – Muszę wybadać. Wielu tutejszych mężczyzn zbyt dosłownie wzoruje się na życiu pioniera, zwłaszcza ci, którzy mieszkają z dala od miast. Trzymają nawet w domach pistolety.”

Otto kupował kota w worku, lecz nie żałował podjętej decyzji.

W razie ewentualnych kłopotów miał przy sobie mały pistolet, kaliber 22, ukryty w bocznej

kieszeni jednej z walizek.

„Nie dam sobie w kaszę dmuchać – pomyślał. – Jeśli potrzebne im kłopoty, wkrótce będą je mieli.”

Rozbawiony zszedł kopterem niżej i zlustrowawszy leżący w dole teren – na dachu domu Bohlenów nie było żadnego pojazdu – zaczął przygotowywać się do lądowania.

Wiedziony wrodzoną ostrożnością zostawił pojazd prawie dwa kilometry od domu Bohlenów, w pobliżu głównego kanału. Stąd ruszył na piechotę dźwigając ciężkie walizki. Nie miał innego wyjścia. Po drodze minął wiele zabudowań, jednak nigdzie się nie zatrzymywał: szedł prosto wzdłuż kanału.

Kiedy zbliżył się do domu Bohlenów, zwolnił, by złapać oddech. Uważnie rozejrzał się wokół... z pobliskiego domu dobiegły wrzaski małych dzieci. Tu byli rodzice. Dlatego też podszedł do domu Sylwii z drugiej strony. Stapał bezszelestnie, niewidoczny dla mieszkańców domu, z którego dochodziła dziecięca wrzawa.

Wreszcie wszedł na ganek i nacisnął dzwonek.

Ktoś wyjrzał zza czerwonych zasłon w pokoju gościnnym. Otto przywołał na usta powściągliwy, urzędowy uśmiech, odpowiedni na każdą okoliczność.

Otworzyły się frontowe drzwi. Stała w nich Sylwia Bohlen. Była starannie uczesana i umalowana, ubrana w dżersejowy sweter, fikuśne, obcisłe, różowe spodnie i sandały. Otto kątem oka zauważył, że paznokcie u stóp pomalowała na jaskrawy pałowy kolor. Najwyraźniej odstawiła się w oczekiwaniu na jego wizytę. Mimo to przyjęła uprzejmie obojętną pozę. Trzymając rękę na klamce, spoglądała na niego w pełnym rezerwy milczeniu.

– Pani Bohlen – w jego głosie pobrzmiwała poufała nuta. Ukłonił się. – Warto było przebyć kilometry nagich pustkowi, by w nagrodę znowu panią zobaczyć. Czy jest pani zainteresowana naszym specjałem – zupą z kangurzych ogonów? To wspaniałe danie nie było dotąd osiągalne na Marsie za żadną cenę. Przybyłem z tym prosto do pani, gdyż wiem, że potrafi pani docenić wyszukane potrawy i wybrać to, co dobre, nie zważając na cenę.

Wygłaszając tę przygotowaną mowę niepostrzeżenie przesuwał się w kierunku otwartych drzwi.

– Och, proszę wejść – powiedziała Sylwia z wahaniem, siląc się na chłód.

Otworzyła szeroko drzwi. Otto natychmiast wszedł do środka i postawił swoje walizki na podłodze w pokoju gościnnym obok niskiego stolika.

Nagle dostrzegł łuk i kołczan pełen strzał.

– Pani synek jest w domu? – zapytał.

– Nie – odparła Sylwia krążąc nerwowo po pokoju z założonymi rękami. – Jest dzisiaj w szkole. – Próbowała się uśmiechnąć. – Mój teść wyjechał do miasta. Wróci bardzo późno.

„Ach tak” – pomyślał Otto.

– Proszę, niech pani siądzie – nalegał. – Wtedy będę mógł należycie zaprezentować swoje towary. Dobrze? – Jednym ruchem przysunął krzesło. Sylwia przycupnęła na brzeżku i zacisnęła usta.

„Strasznie spięta” – zauważył Otto.

To był pomyślny objaw. Oznaczał, że Sylwia jest w pełni świadoma, jaki charakter ma jego wizyta. Drzwi były starannie zamknięte, a story w pokoju nadal opuszczone.

Nagle Sylwii wyrwało się pytanie:

– Ma pan ochotę na kawę?

Zerwała się z krzesła i zniknęła w kuchni. Chwilę później pojawiła się z tacą, na której stał dzbanek z kawą, cukier, śmietanka i dwie chińskie filiżanki.

– Dziękuję – zamruczał Otto.

Zdążył ustawić drugie krzesło obok krzesła Sylwii. Pili kawę.

– Nie boi się pani mieszkać tutaj sama? – zapytał. – W tej odludnej okolicy?

Spojrzała na niego z ukosa.

– Mój Boże, chyba się do tego przyzwyczaiłam.

– Z jakiej części Ziemi pani pochodzi?

– Z Saint Louis.

– Tutaj jest zupełnie inaczej. Nowe życie, więcej swobody. Można zrzucić pęta i zacząć być sobą. Zgadza się pani? Niech zniknie staroświecki Dawny Świat, a jego prawa i obyczaje niechaj legną w gruzach. Tutaj... – rozejrzał się po standardowo umeblowanym pokoju. Takie krzesła, dywany i bibeloty widział już setki razy w podobnych domach. – Tutaj stoimy przed niezwykłą szansą, pani Bohlen, taką, jaka trafia się odważnemu człowiekowi tylko raz w życiu.

– Co ma pan jeszcze oprócz zupy z kangurzych ogonów?

– No, tak – powiedział zbity z tropu – jaja przepiórcze, bardzo dobre. Prawdziwe masło od krowy. Kwaśną śmietaną. Wędzone ostrygi. A tu... proszę wyjąć: oryginalne krakersy, dodam do tego jeszcze masło i kawior jako poczęstunek.

Uśmiechnął się do niej, a ona ten uśmiech odwzajemniła. Jej oczy błyszczały w oczekiwaniu. Gwałtownie zerwała się na nogi i jak małe dziecko pomknęła do kuchni.

Po chwili siedzieli blisko siebie przy stole. Wyskrobywali z malutkiego słoiczka czarną, oleistą rybą ikrę i nakładali na krakersy.

– Nie ma to jak prawdziwy kawior – westchnęła Sylwia. – Jadłam go tylko raz w życiu, w restauracji w San Francisco.

– Proszę spojrzeć, co jeszcze przyniosłem. – Wydobył z walizki butelkę. – „Green Hungarian” z winiarni w kalifornijskiej Buena Vista, najstarszej w tym stanie!

Sączyli wino z kieliszków o długich nóżkach. (Kieliszki również przywiózł).

Sylwia z na wpół przymkniętymi oczami ułożyła się na kanapie.

– Mój Boże. To jest jak sen. To chyba nie dzieje się naprawdę.

– A jednak.

Otto odstawił kieliszek i pochylił się nad Sylwią. Oddychała powoli i równo, jakby spała. Jednak nie odrywała od niego wzroku. Doskonale wiedziała, co nastąpi za chwilę. Schylał się coraz niżej i niżej. Nie poruszyła się ani nie próbowała odsunąć.

Na jedzeniu i winie – obliczył, gdy ją obejmował – stracił prawie sto dolarów ONZ, tyle dostałby przy sprzedaży detalicznej. Jednak warto było. Przynajmniej on tak uważał.

Historia lubi się powtarzać. Znowu nie płacono mu według oficjalnej taryfy.

„Dostaję znacznie więcej” – pomyślał Otto chwilę później, gdy z pokoju gościnnego przeszli do sypialni.

Story były opuszczone, panował gęsty mrok. Sypialnia, cicha i przytulna, jakby czekała na to, co miało wkrótce nastąpić.

– Jeszcze nigdy – mruzczała Sylwia – coś takiego nie zdarzyło się w moim życiu. – W jej głosie wyczuwało się przyzwolenie. Dobiegał z bardzo daleka. – Jestem pijana, czy tak? Boże!

Potem zamilkła.

– Czy ja straciłam rozum? – wymamrotała po długiej chwili. – Z pewnością zwariowałam. Zupełnie nie mogę w to uwierzyć. To nie dzieje się naprawdę. Jak można robić coś złego we śnie?

I nie powiedziała nic już więcej.

Okazała się dokładnie taka, jak pragnął Otto: nie była gadatliwa.

„Czym jest obłąd?” – zastanawiał się Jack Bohlen.

Dla niego przejawem obłądzenia był fakt, że zgubił gdzieś Manfreda Steinera, lecz nie pamiętał jak i kiedy. Z wieczoru spędzonego u Arniego Kotta nie pamiętał prawie nic.

Dopiero opierając się na tym, co powiedziała mu Doreen, zdołał kawałek po kawałku odtworzyć zaszłe zdarzenia. Obłąd to konieczność tworzenia obrazu swojego życia na podstawie relacji otoczenia.

Utrata pamięci była jednak objawem jakiegoś głębszego zaburzenia. Wskazywała, że w psychice Jacka dokonał się poślizg w czasie. Podświadomie kilkakrotnie już wyprzedził okres, w którym aktualnie żył. Natomiast w jego miejsce pojawiła się biała plama.

Zdał sobie sprawę, że ciągle na nowo siada w saloniku Arniego Kotta i przeżywa ten wieczór, zanim on rzeczywiście nastąpił. A kiedy to się wreszcie wydarzyło, w jakiś sposób go ominęło. Jack cierpiał na zniekształcenie perspektywy czasowej, które doktor Glaub uważał za osiowy objaw schizofrenii.

Wieczór u Arniego rzeczywiście się odbył i jego zapis istniał w umyśle Jacka... ale w odwróconej kolejności.

Tak czy owak, tej kolejności nie można już było zmienić, bo należała do przeszłości. Zaburzenie w postrzeganiu przeszłości nie jest objawem schizofrenii, ale nerwicy kompulsywno-obsesyjnej. Problem Jacka, jako schizofrenika, należał do przyszłości.

Tymczasem jego przyszłość, jak sobie uświadomił, tworzył głównie Arnie Kott i jego instynktowne pragnienie zemsty.

„Jakie mamy szansę w starciu z Arniem? – zadał sobie pytanie. – Prawie żadne.”

Odwrócił się od okna w saloniku Doreen i powoli wszedł do sypialni. Wpatrywał się w dziewczynę, która ciągle jeszcze spała w pomiętej pościeli na dużym podwójnym łóżku.

Kiedy tak stał i na nią patrzył, Doreen obudziła się i uśmiechnęła.

– Miałam strasznie dziwny sen – powiedziała. – Dyrygowałam częścią *Kyrie, Mszy b-moll* Bacha, w takcie cztery czwarte. Kiedy jednak doszłam do połowy, ktoś podszedł, odebrał mi batutę i powiedział, że to nie jest cztery czwarte. – Zmarszczyła brwi. – Ale naprawdę było. Dlaczego miałabym dyrygować *Mszą b-moll* Bacha? Nawet jej nie lubię. Arnie ma tę mszę na taśmie. Puszczą ją na okrągło późnymi wieczorami.

Jack pomyślał o snach, jakie sam ostatnio miewał. Widział niewyraźne obrazy, które wciąż zmieniały się i przelatowały mu przed oczami. Śnił o wysokim budynku z wieloma pokojami i o krążących bez przerwy nad głową jastrzębiach czy sępach. I o czymś strasznym, co czaiło się w pobliżu... Jack tego nie widział, ale czuł obecność.

– Sny zwykle odnoszą się do przyszłości – powiedziała Doreen. – Mają coś wspólnego z możliwościami ukrytymi w człowieku. Arnie chce założyć w Lewistown orkiestrę symfoniczną; rozmawiał o tym z Bosleyem Touvimem w Nowym Izraelu. Może ja będę dyrygentem. Może to właśnie oznacza mój sen.

Wyśliznęła się z łóżka. Stała naga, smukła, jej skóra była taka gładka.

– Doreen – rzekł Jack poważnym głosem. – Nie pamiętam, co się działo wczoraj wieczorem. Co się stało z Manfredem?

– Został u Arniego. Musi teraz wrócić do Obozu B-G i Arnie powiedział, że go tam zabierze. Jeździ wciąż do Nowego Izraela odwiedzać swojego syna, Sama Esterhazy. Będzie tam i dzisiaj. Przecież ci mówił. – Po chwili zapytała: – Jack... miałeś już kiedyś amnezję?

– Nie – odparł.

– To pewnie na skutek szoku po sprzeczce z Arniem. Zauważyłam, że ciężko jest osobom, które z nim zadzierają.

– Może tak – powiedział Jack.

Masz ochotę na śniadanie? – Wyciągnęła z szuflady świeżą bieliznę i bluzkę. – Usmażę jajka na bekonie, na pysznym duńskim bekonie z puszki. – Zawahała się. – Pochodzi z czarnorynkowych łakoci Arniego, ale jest naprawdę dobry.

– Świetnie.

– Wczoraj, gdy się już położyliśmy, nie mogłam zasnąć i zastanawiałam się, co zrobi Arnier. To znaczy, co zrobi z nami. Myślę, że zacznie od twojej pracy. Będzie naciskał na pana Yee, by cię zwolnił. Musisz być na to przygotowany. Oboje musimy. I oczywiście rzuci mnie, to jasne. Ale ja się tym nie przejmuję, mam ciebie.

– Tak, właśnie, masz mnie – odparł machinalnie.

– Arnier będzie się mścił – mówiła Doreen myjąc twarz w łazience. – Ale on jest ludzki, więc to nie takie straszne. Wolę go od Manfreda. Naprawdę nie mogłam już znieść tego dziecka. Wczorajszy wieczór to był koszmar. Przez cały czas czułam snujące się zimne, lepkie macki, były wszędzie w pokoju i w moim mózgu... obecność czegoś plugawego i złego, nie we mnie ani poza mną, ale tuż obok. Wiem, skąd to się brało. – Po chwili dodała: – Z tego dziecka. To były jego myśli.

Zajęła się smażeniem bekonu i robieniem kawy. Jack nakrył stół i oboje siedli do śniadania. Danie pachniało smakowicie. Jedząc i z lubością wdychając jego zapach, Jack poczuł się znacznie lepiej. Dobrze działała na niego obecność siedzącej naprzeciw dziewczyny o rudych, długich włosach, gładko przyczesanych i związanych z tyłu barwną wstążką.

– Czy twój syn jest taki jak Manfred? – zapytała.

– Nigdy w życiu.

– Jest podobny do ciebie, czy do...

– Do Sylwii – powiedział. – Jest podobny do swojej matki.

– Jest ładna, prawda?

– Raczej tak.

– Wiesz, Jack, w nocy, gdy leżałam i nie mogłam spać... pomyślałam sobie: może Arnier nie odda Manfreda do Obozu B-G. Jaki użytek mógłby zrobić z takiego stworzenia jak Manfred? Arnier ma dużą wyobraźnię. Teraz, gdy jego plany zakupu ziemi w Górach F.D.R. spaliły na panewce... może znajdzie zupełnie nowe zastosowanie dla zdolności Manfreda. Przyszło mi do głowy... Wyśmiejesz mnie. Może uda mu się porozumieć z Manfredem przez Heliogabalusa, tego oswojonego Murzochida.

Zamilkła. Jadła śniadanie ze wzrokiem utkwionym w talerz.

– Może masz rację – odparł Jack.

Poczuł się źle. To, co powiedziała Doreen, wydało mu się bardzo prawdopodobne.

– Nigdy nie rozmawiałeś z Helio – odezwała się Doreen. – Jest najbardziej cyniczną i zgorzkniałą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Jest złośliwy nawet w stosunku do Arniergo. Wszystkich dokoła nienawidzi. On ma chyba skrzywioną psychikę.

– To ja poprosiłem Arniergo, żeby zabrał chłopca, czy to był jego pomysł?

– Arnier to zaproponował. Z początku nie chciałeś się zgodzić. Ale stałeś się taki... bierny i zamknięty w sobie. Zrobiło się późno i wszyscy dużo wypiliśmy. Pamiętasz?

Skinął głową.

– Arnie serwuje Black Label Jack Daniels. Sama musiałam wypić chyba jedną piątą butelki.

– Ponuro potrząsnęła głową. – Nikt na Marsie nie ma takich trunków jak Arnie. Tego mi będzie brakowało.

– W tej sprawie niewiele mogę zrobić – odparł Jack.

– Wiem. Nieważne. Nie oczekuję tego od ciebie. Tak naprawdę niczego nie oczekuję. Wczoraj wieczorem wszystko stało się tak nagle. Pracowaliśmy razem: ty, ja i Arnie, a potem całkiem nagle stało się jasne, że znaleźliśmy się po przeciwnych stronach, że już nigdy nie będziemy razem, w każdym razie nie jako przyjaciele. To smutne. – Potarła oko bokiem dłoni. Po jej policzku spłynęła łza. – Jezu, płaczę! – powiedziała ze złością.

– Gdyby tak można było cofnąć się w czasie i przeżyć ten wieczór od nowa...

– Nic bym nie zmieniła. Niczego nie żałuję. I ty też nie powinienesz.

– Dziękuję – odparł. Wziął ją za rękę. – Możesz na mnie polegać. Jak powiedział Arnie, żaden ze mnie chwyt, ale umiem sobie dać radę w życiu.

Uśmiechnęła się i po chwili zabrała się do jedzenia.

Anna Esterhazy stała za ladą w swoim sklepie i przygotowywała do wysłania paczkę. Gdy zaczęła ją adresować, do sklepu wkroczył jakiś człowiek. Podniosła wzrok i ujrzała wysokiego, chudego mężczyznę w ogromnych okularach. Z niesmakiem rozpoznała doktora Glauba.

– Pani Esterhazy – zaczął. – Chciałbym z panią porozmawiać, jeśli wolno. Bardzo żałuję, że doszło między nami do nieporozumienia. Zachowałem się w regresywny, dziecięco-oralny sposób. Chciałbym prosić o wybaczenie.

– Czego pan ode mnie chce, doktorze? – spytała chłodno. – Jestem zajęta.

Zaczął mówić szybkim, jednostajnym, ścisłym głosem:

– Pani Esterhazy, to ma związek z Arniem Kottem i jego zamiarami wobec anormalnego chłopca, którego zabrał z obozu. Znając pani gotowość do służenia ludzkim sprawom, chcę prosić, aby pani użyła swojego wpływu na pana Kotta, byśmy się przekonali, czy pewnej niewinnej, introwertycznej, schizoidalnej jednostce nie dzieje się potworna krzywda. Wciągnięto ją w plan pana Kotta ze względu na jej umiejętności. Ten mężczyzna...

– Moment – przerwała pani Esterhazy. – Nic nie rozumiem.

Gestem zaprosiła go na zaplecze, gdzie nie mogli ich usłyszeć wchodzący do sklepu klienci.

– Ten mężczyzna, Jack Bohlen – mówił doktor Glaub jeszcze szybciej – może stać się na stałe psychotykiem wskutek tego, że pan Kott pragnie się na nim zemścić. Tak więc proszę panią...

Tu nastąpiła wielka ilość próśb.

„Dobry Boże – pomyślała pani Esterhazy. – Znowu ktoś chce mnie zwerbować dla jakiejś

sprawy. Jakbym nie miała już dosyć na głowie.”

Słuchała jednak, nie miała wyboru. To zresztą leżało w jej naturze.

Doktor Glaub kontynuował swoje wywody. Stopniowo zaczynała widzieć sytuację, którą starał się opisać. Było jasne, że doktor żywi do Arniego urazę. Chodziło jednak o coś jeszcze. Glaub był osobliwą mieszanką idealisty i zazdrosnego dziecka.

„Dziwny typ” – doszła do wniosku Anna Esterhazy.

– Tak – odezwała się w pewnym momencie. – To bardzo w stylu Arniego.

– Zastanawiałem się, czy nie pójść na policję – mówił chaotycznie doktor Glaub. – Albo do władz ONZ. Ale wtedy przypomniałem sobie o pani i przyszedłem tutaj.

Patrzył na nią uważnie. Szczery może nie był, ale na pewno zdeterminowany.

O godzinie dziesiątej tego przedpołudnia Arnie Kott wszedł do biura firmy Yee w Bunchewood Park. Podszedł do niego wysoki, chudy Chińczyk o inteligentnym wyrazie twarzy.

– Jestem Yee, czym mogę służyć?

Uścisnęli sobie ręce.

– Chodzi mi o tego Bohlena, którego od pana wynająłem.

– Ach, tak. Prawda, że monter z niego wysokiej klasy? – Pan Yee rzucił mu bystre, przebiegłe spojrzenie.

– Tak bardzo mi się spodobał, że chcę kupić od pana jego kontrakt. – Wyjął książeczkę czekową. – Proszę wyznaczyć cenę.

– Och, musimy zatrzymać pana Bohlena – zaprotestował pan Yee, unosząc w górę ręce. – Nie, proszę pana. Możemy go jedynie wypożyczyć, a nie rozstać się z nim na zawsze.

– Proszę wyznaczyć cenę – powtórzył Arnie. – „Ty chudy, szczwany żółtku” – dodał w myślach.

– Rozstać się z panem Bohlenem! Nie można go nikim zastąpić.

Arnie czekał.

Po chwili zastanowienia pan Yee powiedział:

– Wydaje mi się, że moglibyśmy przejrzeć nasze akta personalne. Jednak nawet przybliżona ocena jego wartości zajęłaby całe godziny.

Arnie czekał z książeczką czekową w ręku. Po zakupieniu od firmy Yee kontraktu Jacka Bohlena, Arnie Kott poleciał do domu, do Lewistown. Helio siedział razem z Manfredem w saloniku. Czytał chłopcu książkę.

– Co to za szopka? – zapytał Arnie.

Helio opuścił książkę.

– To dziecko ma zaburzenia mowy, szukam na to rady.

– Bzdura! – odparł Arnie. – Nic na to nie poradzisz.

Zdjął płaszcz i podał go Helio. Murzochid podniósł się niechętnie, odłożył książkę i odebrał płaszcz, by powiesić go w szafie na korytarzu. Manfred zdawał się obserwować Arniego kątem oka.

– Jak się miewasz, mały – przyjaźnie zagadnął Arnie. Poklepał chłopca po plecach. – Słuchaj, chcesz wracać do tego domu wariatów, do tego beznadziejnego Obozu B-G? Czy wolisz zostać u mnie? Daję ci dziesięć minut na podjęcie decyzji.

„I tak zostaniesz, niezależnie od tego, co tam sobie postanowisz – powiedział sobie w duchu – ty zwariowany dziwaku, co tańczysz na palcach i nie dostrzegasz ludzi Zatrzymam cię razem z twoim talentem czytania w przyszłości. Wiem, że siedzi w tym twoim stukniętym mózgu. Po ostatnim wieczorze nie mam co do tego wątpliwości.”

– On chce zostać tutaj, panie – powiedział Helio wracając do saloniku.

– Pewnie że chce – odparł zadowolony Arnie.

– Jego myśli – powiedział Helio – są dla mnie całkowicie jasne, tak samo moje myśli dla niego. Obaj jesteśmy więźniami, panie, w tej wrogiej krainie.

W tym momencie Arnie głośno się roześmiał.

– Prawda zawsze bawi ignorantów – stwierdził Helio.

– W porządku – odparł Arnie – jestem ignorantem. Po prostu zaskoczyło mnie, że nagle polubiłeś tego małego czubka. A więc macie ze sobą coś wspólnego? Wcale mnie to nie dziwi. – Wziął książkę, którą czytał Helio: – Pascal, *Prowincjalki*. Na rany Chrystusa, po co to? Po jaką cholere?

– Rytm – wyjaśnił cierpliwie Helio. – Wielka proza ma kadencję, która przyciąga i skupia rozproszoną uwagę chłopca.

– Dlaczego jest rozproszona?

– Ze strachu.

– Przed czym?

– Przed śmiercią.

Arnie spoważniał.

– Och. Przed własną śmiercią, czy śmiercią w ogóle?

– Ten chłopiec przeżywa swoją starość. Znajduje się w przyszłości dziesiątki lat od tej chwili. Dogorywa w domu starców, który dopiero będzie zbudowany, na Marsie. To miejsce rozkładu i Manfred brzydzi się nim niepomniernie. Spędza w nim puste, nużące lata. Jest przywiązany do łóżka, jak przedmiot a nie osoba, utrzymywany przy życiu dzięki idiotycznemu prawu. Kiedy próbuje skupić uwagę na teraźniejszości, niemal natychmiast znowu nawiedza go ta potworna wizja.

– Opowiedz mi o tym domu starców – poprosił Arnie.

– Mają go wkrótce zbudować. Nie od razu w tym celu, lecz początkowo jako ogromny dom noclegowy dla przybywających na Marsa imigrantów.

– Taak – powiedział Arnie kojarząc. – W łańcuchu F.D.R.?

– Ludzie przylatują – mówił Helio – osiedlają się i żyją tam, wypędziwszy dzikich Murzochidów z ich ostatniego schronienia. Murzochidzi z kolei rzucają klątwę, by gleba w tych górach stała się jałowa. Osadnicy z Ziemi ponoszą klęskę. Ich budynki z każdym rokiem coraz bardziej się rozpadają. Osadnicy wracają na Ziemię szybciej, niż przybyli na Marsa. Wtedy nasz budynek zostaje zużytkowany w znanym nam celu: staje się domem dla ludzi starych, biednych i zniedołężniałych.

– Powiedz, dlaczego on nie mówi?

– Aby uciec od potwornej wizji, cofa się do szczęśliwszych czasów, do dni, które spędził w łonie matki, kiedy nie było nikogo oprócz niego, nie było zmiany, czasu ani cierpienia. Wraca do życia płodowego. Cofa się do jedyne szczęścia, jakiego kiedykolwiek zaznał. Panie, on nie chce opuścić tego ukochanego miejsca.

– Rozumiem – odparł Arnie, który tylko częściowo uwierzył Murzochidowi.

– On cierpi tak jak pan, jak my wszyscy. Jednak jego cierpienie jest gorsze, bo on ma zdolność czytania w przyszłości, a tej przerażającej zdolności nam brakuje. Nic dziwnego, że jego wnętrze stało się... czarne.

– Taak, on jest tak czarny jak ty – powiedział Arnie – Tyle tylko że nie na zewnątrz, ale, jak to powiedziałaś, od wewnątrz. Jak możesz z nim wytrzymać?

– Ja wszystko wytrzymuję – odparł Murzochid.

– Wiesz, co mi się wydaje? On robi coś więcej, niż zagłada w czas. Myślę, że on ma nad nim władzę.

Wzrok Murzochida stał się nieprzenikniony. Helio sztył ramionami.

– Ma czy nie? – naciskał Arnie. – Słuchaj, Heliogabalusie, ty czarny sukinsynu. Ten dzieciak coś majstrował z wczorajszą nocą. Wiem o tym. Zobaczył ją w przyszłości i próbował ją zmienić. Czy próbował sprawić, żeby się nie wydarzyła? Próbował zatrzymać czas?

– Możliwe – odparł Helio.

– To wielki talent – powiedział Arnie. – Może mógłby cofnąć się w przeszłość, jak tego chce, i zmienić teraźniejszość. Pracuj z nim nadal. Postaraj się go do tego nakłonić. Słuchaj no, czy dziś rano nie dzwoniła tu albo nie wpadła Doreen Anderton? Chcę z nią porozmawiać.

– Nie.

– Myślisz, że zwariowałem? Bo wierzę w zdolności tego dziecka?

– Powoduje tobą gniew, panie – powiedział Murzochid. – A człowiek powodowany gniewem może w swoim szaleństwie natknąć się na prawdę.

– Co za brednie! – zachnął się Arnie. – Nie możesz po prostu powiedzieć tak albo nie?

Musisz zawsze bełkotać?

– Panie, powiem ci coś o panu Bohlenie, którego pragniesz skrzywdzić. On jest bardzo drażliwy...

– Wrażliwy – poprawił go Arnie.

– Dziękuję. On jest słaby, łatwo go zranić. Bez trudu przysłoby panu zrobić mu krzywdę. Jednak ma on przy sobie amulet, który podarował mu ktoś, kto go kocha albo może nawet kilka osób, które go kochają. Wróżkę wodną, amulet Murzochidów. Może mu zapewnić bezpieczeństwo.

– Zobaczymy – odparł Arnie po chwili milczenia.

– Tak – powiedział Helio głosem, jakiego Arnie jeszcze nigdy u niego nie słyszał. – Będziemy musieli poczekać, by przekonać się, jaka siła drzemie nadal w starożytnych amuletach.

– Ty sam jesteś żywym dowodem, że takie rupiecie nie najmniejszej wartości. Wolisz być tutaj, żeby słuchać rozkazów, podawać mi jedzenie, zamiatać podłogę i wieszać mój płaszcz w szafie, niż włóczyć się po marsjańskiej pustyni jak wtedy, gdy cię znalazłem. Byłeś jak zdychające zwierzę. Zebrałeś o wodę.

– Mhhh – burknął Murzochid. – Może i tak.

– I miej to na względzie – dodał Arnie. „Bo możesz znowu się tam znaleźć i pętać się po pustyni ze swoimi jajkami paka i strzałami, zmierzać donikąd, zupełnie donikąd – pomyślał. – Wyświadczam ci wielką łaskę, pozwalając ci tutaj żyć jak człowiekowi.”

Wczesnym popołudniem Arnie Kott otrzymał wiadomość od Scotta Tempie i po chwili, posłużwszy się dekoderem, przesłuchiwał informację:

„W porządku, Arnie. Namierzyliśmy lądowisko wiadomego osobnika w łańcuchu F.D.R. Jego nie było na miejscu, ale dopiero co wylądowała tam rakieta automatyczna. Jakkolwiek by na to patrzeć, facet miał prawdziwy skład pełen frykasów. Zabraliśmy wszystkie towary i są teraz w naszej hurtowni. Potem podłożyliśmy bombę rodnikową i wysadziliśmy lądowisko, barak i cały sprzęt wokół.”

„Świetnie” – pomyślał Arnie.

„A żeby, tak jak mówiłeś, facet dowiedział się, z kim ma do czynienia, zostawiliśmy mu wiadomość. Na tym, co pozostało po wieży sterowniczej lądowiska, przyczepiliśmy kartkę: «Arniemu Kottowi nie spodobało się twoje zajęcie.» Co o tym myślisz, Arnie?”

– To mi się podoba – powiedział Arnie na głos, chociaż kartka wydała mu się nieco, jakby to określić banalna, mało oryginalna.

„Znajdzie to po powrocie. Przyszło mi do głowy – to już mój własny pomysł, więc sam zdecydujesz – żeby zajrzeć tam później w tygodniu i upewnić się, czy facet nie odbudowuje lądowiska i całej reszty. Niektórzy z tych niezależnych spekulantów są trochę stuknięci, jak na

przykład ci goście w zeszłym roku, którzy próbowali założyć własny system telefoniczny. W każdym razie mam nadzieję, że to mu przemówi do rozsądku. A swoją drogą, on posługiwał się sprzętem Norba. Znaleźliśmy archiwa z nazwiskiem Steinera. Miałaś rację: dobrze, że od razu zajęliśmy się tym facetem, bo mógł się stać kłopotliwy.”

Przekaz się skończył. Arnie założył taśmę i usiadł przy mikrofonie, żeby przesłać odpowiedź.

– Dobrze się spisałeś, Scott. Dzięki. Mam nadzieję, że więcej nie usłyszę o tym facecie. Pochwalam to, że skonfiskowałeś jego towar. Przyda się nam. Wpadnij któregoś wieczoru na drinka.

Wyłączył urządzenie i przewinał taśmę.

Z kuchni dobiegał natarczywy, przytłumiony głos Heliogabalusa, który czytał książkę Manfredowi Steinerowi. Arnie poczuł złość i wezbrała w nim niechęć do Murzochida.

„Dlaczego pozwoliłeś na to, bym wziął sobie na głowę Bohlena, skoro ty potrafisz czytać w umyśle tego dziecka? – zadał sobie pytanie. – Dlaczego nie powiedziałeś mi ani słowa?”

Czuł jawną nienawiść do Heliogabalusa.

„Ty też mnie zdradziłeś – pomyślał Arnie. – Jak cała reszta. Jak Anna i Jack, i Doreen. Jak wszyscy.”

– Są jakieś efekty czy nie? – krzyknął podchodząc do drzwi kuchni.

Heliogabalus opuścił książkę.

– Panie, to wymaga czasu i pracy.

– Czas! – wykrzyknął Arnie. – Do diabła, w tym cała rzecz. Wyślij go w przeszłość, powiedzmy dwa lata wstecz, i każ mu kupić Henry Wallace na moje nazwisko. Możesz to zrobić?

Heliogabalus milczał. Pytanie wydało mu się tak absurdalne, że szkoda nawet się było nad nim zastanawiać. Arnie zaczerwienił się, zatrzasnął drzwi do kuchni i sztywnym krokiem wrócił do saloniku.

„W takim razie spraw, żeby on mnie wysłał w przeszłość – rzekł do siebie. – Ta zdolność do przenoszenia się w czasie warta jest zachodu. Dlaczego nie miałbym dostać tego, czego chcę? O co im wszystkim chodzi? Każą mi czekać tylko po to, żeby mnie rozzłościć. A ja nie mam zamiaru czekać ani chwili dłużej.”

Do pierwszej po południu nie wpłynęły żadne wezwania z firmy Yee. Jack Bohlen siedział przy telefonie w mieszkaniu Doreen Anderton, wiedział, że stało się coś złego.

O wpół do drugiej zadzwonił do pana Yee.

– Sądziłem, że pan Kott cię poinformował, Jack – powiedział pan Yee swoim monotonnym głosem. – Nie jesteś już moim pracownikiem, ale jego. Dziękuję ci za świetne referencje.

– Kott kupił mój kontrakt? – zapytał Jack zgaszonym głosem.

– Tak się złożyło, Jack.

Bohlen odłożył słuchawkę.

– Co ci powiedział? – spytała Doreen, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

– Jestem pracownikiem Arniego.

– Co on ma zamiar zrobić?

– Nie wiem – odrzekł. – Chyba lepiej będzie, jak do niego zadzwonię i sam się dowiem. Nie wygląda na to, żeby sam zamierzał mnie poinformować.

„Bawi się ze mną w kotka i myszkę... pewnie go to śmieszy” – pomyślał.

– Nie ma sensu do niego dzwonić – powiedziała Doreen. – Nigdy nic nie mówi przez telefon. Musimy zobaczyć się z nim osobiście. Chcę pójść z tobą. Proszę, pozwól mi.

– W porządku – odparł Jack. Podeszedł do szafy, by wyjąć płaszcz. – Chodźmy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

O drugiej po południu Otto Zitte wytknął głowę przez tylne drzwi domu państwa Bohlen i upewnił się, że nikt go obserwuje.

„Może wyjść bez obawy” – pomyślała Sylwia, kiedy się zorientowała, o co mu chodzi.

„Co ja najlepszego zrobiłam? – pytała sama siebie, kiedy stała na środku sypialni, nerwowo zapinając bluzkę. – Jaką mogę mieć pewność, że utrzymam to w tajemnicy? Nawet jeśli nie widziała go pani Steiner, on na pewno opowie wszystko June Henessy, a ta wypaple to każdemu przy Wiliam Butler Yeats. Uwielbia plotki. Jestem pewna, że Jack się dowie. Poza tym Leo mógł wcześniej wrócić do domu...”

Nie czas już było gdybać. Stało się. Otto złapał walizki i zbierał się do wyjścia.

„Szkoda że nie umarłam” – pomyślała Sylwia.

Otto pożegnał się z nią w pośpiechu, zmierzając do frontowych drzwi:

– Do widzenia, Sylwio. Przekręcę do ciebie.

Nie odpowiedziała. Była zajęta zakładaniem butów.

– Nie pożegnasz się ze mną? – spytał zatrzymując się u drzwi sypialni.

Sylwia rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Nie. I wynoś się stąd! Nigdy więcej nie wracaj. Nienawidzę cię z całego serca.

Wzruszył ramionami.

– Dlaczego?

– Bo jesteś potworem – wyjaśniła z druzgoczącą logiką. – Nigdy nie miałam nic wspólnego z kimś takim jak ty. Musiałam upaść na głowę. To wszystko przez tę samotność.

Wyglądało na to, że jej słowa bardzo go dotknęły. Stercząc w drzwiach sypialni, zaczerwienił się jak burak.

– To był również twój pomysł – wybąkał w końcu.

– Idź sobie – powiedziała, odwracając się do niego plecami.

Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły. Poszedł.

„Nigdy, przenigdy” – przyrzekła sobie Sylwia.

Poszła do apteczki w łazience i wyjęła buteleczkę luminalu. Pospiesznie nalała sobie szklankę wody i połknęła sto pięćdziesiąt miligramów leku. Odetchnęła.

„Nie powinnam była tak go potraktować – zaczęła sobie wyrzucać. – Nie miałam prawa. To była moja wina. Skoro sama jestem podła, dlaczego mam zwalać winę na niego? Jeśli nie on, wcześniej czy później byłby ktoś inny. Czy on jeszcze kiedyś tu wróci? – zadała sobie pytanie. – Czy przepędziłam go raz na zawsze?”

I znów poczuła się samotna, nieszczęśliwa i strasznie zagubiona, skazana na wieczną pustkę.

„Właściwie był bardzo miły – stwierdziła. – Czuły i delikatny. Mogłam trafić znacznie gorzej.”

Poszła do kuchni, usiadła przy stole, podniosła słuchawkę i wykręciła numer June Henessy.

W słuchawce rozległ się głos June:

– Halo?

– Zgadnij, co się stało – powiedziała Sylwia.

– No powiedz.

– Poczekaj, aż zapalę papierosa.

Gdy to zrobiła, wzięła popielniczkę, przesunęła krzesło, usiadła wygodnie i opowiedziała wszystko June, ze szczegółami. Opisując najważniejsze momenty dodała nawet nieco od siebie.

Ku swemu zdziwieniu odkryła, że opowiadanie jest tak przyjemne jak sama przygoda.

Może nawet troszeczkę bardziej przyjemne.

Otto Zitte wracał przez pustynię do swojej bazy w Górach F.D.R. Przeżywał w myślach schadzkę z panią Bohlen i składał sobie gratulacje. Był w dobrym nastroju, mimo że żegnając się Sylwia zasypała go wymówkami i oskarżeniami.

„Musisz się zawsze z czymś takim liczyć” – pocieszał się Otto.

To się zdarzało nie po raz pierwszy, jednak zawsze nieco psuło mu humor. Cóż, takie dziwaczne, drobne sztuczki to typowe dla kobiety. Zawsze wtedy, gdy usiłowały się wykręcić od spojrzenia prawdzie w oczy, zrzucały winę na tego, kto się znalazł pod ręką.

Otto nie przejął się tym zbytnio. Nic nie było w stanie zatruć mu wspomnień szczęśliwych chwil we dwoje.

Co dalej? Wrócić do bazy, zjeść lunch, odpocząć chwilę, ogolić się, wziąć prysznic i przebrać się... Wciąż jeszcze będzie dosyć czasu, by wyruszyć na prawdziwą wyprawę handlową, tym razem już tylko w interesach.

Widział poszarpane szczyty górskie. Wkrótce dotrze na miejsce.

Nagle wydało mu się, że zza gór wznosi się pióropusz paskudnego szarego dymu.

Przerażony zwiększył prędkość koptera. Nie było co do tego wątpliwości: dym unosił się z jego lądowiska lub terenu położonego tuż obok.

„Nakryli mnie! – pomyślał zrozpaczony. – ONZ.. wysadzili lądowisko i teraz czekają tam na mnie.”

Mimo to leciał dalej. Musiał się upewnić.

W dole ujrzał dymiące, zasypane gruzem pogorzeliśko. Bez celu krążył nad zniszczoną bazą. Płakał w głos, łzy ściekały mu po policzkach. Nie dostrzegł jednak żadnych pojazdów wojskowych ani żołnierzy.

Czy mogła eksplodować powracająca rakietka?

Otto wylądował. Po rozgrzanej ziemi dobiegł do zgliszczy, które były kiedyś jego barakiem składowym.

Kiedy zbliżył się do wieży sygnalizacyjnej lądowiska, zobaczył przyczepiony do niej kawałek tektury z napisem:

ARNIEMU KOTTOWI NIE SPODOBAŁO SIĘ TWOJE ZAJĘCIE

W kółko odczytywał napis, usiłując zrozumieć jego treść. Arnie Kott... właśnie wybierał się, by złożyć mu wizytę. Arnie był najlepszym klientem Norba. Co to miało znaczyć? Czy dostarczył Arniemu produkty złej jakości? Bo jak inaczej mógł go rozzłościć? To nie miało sensu. Co zrobił Arniemu Kottowi, że zasłużył sobie na coś takiego?

„Dlaczego? – zachodził w głowę Otto. – Cóż ci takiego zrobiłem? Dlaczego mnie zniszczyłeś?”

Dobrnął do baraku żywiąc bezrozumną nadzieję, że część zapasów ocalała, że znajdzie coś pomiędzy resztkami...

Nie było żadnych resztek. Zabrano wszystkie zapasy. Otto nie znalazł ani jednej puszki, słoika, paczuszki czy torebki, jedynie ruiny samego budynku, tylko tyle. A więc oni – ci, którzy zrzucili bombę – najpierw przyszli i zwędzili jego towar.

„Podłożyłeś mi bombę, Arnie Kotcie, i ukradłeś mój towar” – myślał Otto, gdy krążył po bazie. Zaciskał pięści i rzucał ku niebu oszalałe z wściekłości spojrzenia.

Nadal nie rozumiał, dlaczego go to spotkało.

„Musi być jakiś powód. I ja go poznam. Niech cię diabli wezmą, Arnie Kotcie. Nie spocznę, dopóki nie dowiem się prawdy. A wtedy dostanę cię w swoje ręce. Odpłacę ci za to, co mi zrobiłeś.”

Wytarł łzy, pociągnął nosem, dowlóknął się do koptera i długo, bardzo długo patrzył przed siebie.

Wreszcie otworzył jedną z walizek. Wyjął swój pistolet kaliber 22. Położył go na kolanach, myśląc o Arniem Kotcie.

– Panie, wybacz, że ci przeszkadzam – powiedział Heliogabalus. – Ale jeśli jesteś gotowy, wyjaśnię ci, co musisz zrobić.

Arnie, zadowolony, stanął przy biurku.

– Wał śmiało.

Na twarzy Helio malował się smutek i zarazem duma. Zaczął mówić:

– Musi pan zabrać Manfreda na pustynię i razem z nim pieszo dojść do Gór Franklina

Delano Roosevelta. Wasza pielgrzymka zakończy się u stóp Nieczystego Głazu, świętej skały Murzochidów. Tam znajdzie pan odpowiedź na swoje pytania. Pozna ją pan, gdy chłopiec wejdzie do wnętrza skały.

Arnie pogroził Murzochidowi palcem.

– A mówiłeś, że to oszukaństwo – powiedział chytrze.

Przez cały czas czuł, że w wierzeniach Murzochidów coś się kryje. Helio próbował wywieść go w pole.

– Musi pan zjednoczyć się z tym świętym miejscem.

Duch ożywiający Nieczysty Głaz pochłonie wasze dusze i jeśli będzie łaskawy, pańskie prośby zostaną spełnione. Powodzenie zależy od zdolności tego chłopca. Sama skała jest bezsilna. W miejscu, gdzie leży Nieczysty Głaz, czas ma najmniejszą moc. W ciągu wieków Murzochidzi przekonali się o tym.

– Rozumiem – powiedział Arnie. – Coś w rodzaju przebicia w czasie. A wy przez nie zaglądacie w przyszłość. No tak, ale mnie interesuje przeszłość, a to wszystko wydaje mi się dość podejrzane. Mimo to spróbuję. Już tyle niestworzonych rzeczy naopowiadałeś mi o tej skale...

– To, co powiedziałem przed chwilą, jest prawdą – odparł Helio. – Sam Nieczysty Głaz nie mógłby nic dla pana zrobić.

Helio patrzył Arniemu prosto w oczy.

– Myślisz, że Manfred zechce współpracować?

– Opowiedziałem mu o Nieczystym Głazie i bardzo pragnie go zobaczyć. Powiedziałem, że z tego miejsca można wrócić do przeszłości. Chłopiec myśli tylko o tym. Jednak... – Helio zawiesił głos. – Musi pan wynagrodzić Manfredowi jego wysiłek. Może mu pan ofiarować coś bezcennego... Panie, możesz na zawsze przepędzić z jego życia wizję AM-WEB. Obiecuj mu, że odeślesz go z powrotem na Ziemię. Wtedy niezależnie od tego, co się z nim stanie, nigdy nie zobaczy wnętrza tego odrażającego budynku. Jeśli pan to dla niego zrobi, wszystkie siły swojego umysłu odda w służbę panu.

– To brzmi rozsądnie – odparł Arnie.

– Nie sprawi pan chłopcu zawodu?

– Ależ nie, u diabła – obiecał Arnie. – Zaraz załatwię wszystkie formalności z ONZ. To skomplikowane, ale mam prawników, którzy bez problemu poradzą sobie z taką sprawą.

– Dobrze – zgodził się Helio. – Byłbym niegodziwcem, jeślibym zawiódł tego chłopca. Gdyby mógł pan przez chwilę doświadczyć jego potwornego lęku przed przyszłym życiem w tym miejscu...

– Taak, to musi być okropne – przyznał Arnie.

– Jakie to by było upokorzenie – powiedział Helio mierzając go wzrokiem – gdyby pan sam

musiał kiedyś znosić coś podobnego.

– Gdzie jest teraz Manfred?

– Spaceruje po Lewistown – odparł Helio. – Napawa się widokiem miasta.

– Chryste! Przecież on może wykryć jakiś numer!

– Nie sądzę – rzekł Helio. – Jest podekscytowany widokiem ludzi, sklepów, ruchem na ulicach. To wszystko jest dla niego nowe.

– Rzeczywiście pomogłeś temu dziecku – stwierdził Arnie.

Zabrzęczał dzwonek i Helio poszedł otworzyć drzwi. Kiedy Arnie podniósł wzrok, stali przed nim Jack Bohlen i Doreen Anderton. Napięcie i wyczekiwanie malowało się na twarzach.

– Och, witajcie – powiedział z roztargnieniem Arnie. – Wejdźcie dalej. Właśnie miałem dzwonić, Jack. Słuchaj, mam dla ciebie zajęcie.

– Dlaczego kupiłeś mój kontrakt od pana Yee? – zapytał Bohlen.

– Bo jesteś mi potrzebny – odparł Arnie. – Zaraz ci powiem, dlaczego. Idę na pielgrzymkę z Manfredem i chcę, żeby ktoś nad nami leciał, byśmy się nie zgubili i nie pomarli z pragnienia. Musimy przejść przez pustynię do Gór F.D.R. Czy nie tak, Helio?

– Tak, panie – odrzekł Helio.

– Chcę wyruszyć od razu – wyjaśnił Arnie. – Obliczyłem, że wędrówka potrwa jakieś pięć dni. Weźmiemy z sobą przenośny nadajnik, żebyśmy mogli cię zawiadomić, gdybyśmy potrzebowali jedzenia albo wody. Lądowałbyś wieczorem i na noc rozbijał nam namiot. Sprawdź, czy masz apteczkę pokładową, na wypadek, gdyby Manfreda albo mnie coś ukąsiło. Słyszałem, że na pustyni grasują marsjańskie węże i szczury. – Spojrzał na zegarek. – Teraz jest trzecia. Chciałbym wyruszyć przed czwartą i iść dzisiaj jeszcze jakieś pięć godzin.

– Jaki jest cel tej... pielgrzymki? – zapytała Doreen.

– Mam tam coś do załatwienia – odparł Arnie. – To prywatna sprawa. Ty też lecisz? Jeśli tak, lepiej włóż na siebie coś innego, jakieś wysokie buty i grube spodnie, na wszelki wypadek, gdybyście musieli lądować. Pięć dni w kopterze to kawał czasu. Przede wszystkim sprawdź, czy jest dosyć wody.

Doreen i Jack wymienili spojrzenia.

– Mówię poważnie – powiedział Arnie. – Pospieszcie się, dobrze?

– Jak widzę – Jack zwrócił się do Doreen – nie mam wyboru. Muszę robić to, co on mi każe.

– Właśnie, bracie – przyznał Arnie. – Zabierz się za przygotowanie sprzętu. Piecyk turystyczny, latarki, przenośna łazienka, żywność, mydło, ręczniki, jakaś broń. Zresztą sam wiesz, czego będziemy potrzebowali. Przecież mieszkasz na skraju pustyni.

Jack powoli skinął głową.

– Co to za prywatna sprawa? – spytała znowu Doreen. – I dlaczego musicie iść pieszo? Jeśli chcesz się tam dostać, dlaczego nie polecisz kopterem, jak zawsze?

– Mam iść pieszo i tyle – odparł Arnie z rozdrażnieniem. – Tak musi być. To nie był mój pomysł. – Zwrócił się do Helio: – Z powrotem mogę lecieć kopterem czy nie?

– Tak, panie – odparł Helio. – Możesz wrócić, czym zechcesz.

– Na szczęście mam niezłą kondycję – powiedział Arnie – bo inaczej mowy by o tym nie było. Mam nadzieję, że i Manfred da sobie radę.

– On jest dość silny, panie – powiedział Helio. – Zabierasz chłopca? – mruknął Jack.

– Właśnie – rzekł Arnie. – Jesteś przeciw?

Bohlen nie odpowiedział, ale minę miał wyjątkowo ponurą. Nagle wybuchnął:

– Nie możesz kazać chłopcu pięć dni iść przez pustynię! To go zabije!

– Nie mógłbyś czymś pojechać? – spytała Doreen. – Na przykład jednym z tych małych piaskołazików, jakimi ONZ rozwozi pocztę? Podróż i tak zajęłaby dużo czasu. To wciąż jeszcze byłaby pielgrzymka.

– Co ty na to, Helio? – zapytał Arnie.

Po chwili zastanowienia Murzochid powiedział:

– Wydaje mi się, że ten mały wóz powinien być odpowiedni.

– Świetnie – odparł Arnie i z miejsca podjął decyzję. – Zadzwoń do paru znajomych facetów i wezmę jeden z pocztowych piaskołazików. Podsunęłaś mi dobry pomysł, Doreen. Potrafię to docenić. Oczywiście wy dwoje nadal będziecie mi potrzebni. Łazik może nawalić.

Jack i Doreen skinęli głowami.

– Może kiedy dotrę na miejsce – powiedział Arnie – poznacie moje zamiary.

„Oj, poznacie je aż za dobrze – powiedział sobie w duchu. – Tego jestem zupełnie pewny.”

– To wszystko jest bardzo dziwne – stwierdziła Doreen.

Stała blisko Jacka i trzymała go za ramię.

– To nie moja wina – odparł Arnie – ale Helio.

Uśmiechnął się.

– To prawda – powiedział Helio. – To był mój pomysł.

Ta wiadomość nie pocieszyła Jacka i Doreen.

– Rozmawiałeś dzisiaj ze swoim ojcem? – spytał Arnie Jacka.

– Tak. Krótko, przez telefon.

– Wniósł już roszczenie do działki? Wszystko zarejestrowane? Gładko poszło?

– Mówi, że wszystko odbyło się jak należy. Przygotowuje się do powrotu na Ziemię.

– Sprawna operacja – powiedział Arnie. – Jestem pełen podziwu. Pojawia się na Marsie, oznacza teren, idzie do hipoteki, by to udokumentować, i wraca na Ziemię. Nieźle.

– Arnie, co chcesz zrobić? – zapytał cicho Jack.

Kott wzruszył ramionami.

– Muszę odbyć świętą pielgrzymkę. Razem z Manfredem. To wszystko.

Przez cały czas jednak był ubawiony, nie potrafił powstrzymać się od śmiechu. Nawet nie próbował się opanować.

Użycie pocztowego łożnika skróciłoby pielgrzymkę z Lewistown do Nieczystego Głazu z pięciu dni do zaledwie ośmiu godzin. Tak przynajmniej obliczył Arnie.

„Teraz nie pozostaje już nic innego, tylko jechać” – powiedział sobie, gdy przechadzał się po saloniku. Pod oknem w zaparkowanym przy krawężniku wozie siedział Helio z Manfredem. Arnie zobaczył ich przez okno. Wyjął z szuflady biurka rewolwer, umocował go na pasku pod płaszczem, zamknął biurko i szybko wyszedł na korytarz.

Po chwili był na chodniku i zmierzał do piaskołożnika.

– Jedziemy – powiedział do Manfreda.

Helio opuścił wóz i za kierownicą usiadł Arnie. Rozruszał malutki silnik turbinowy, który zabzyczał jak trzmiel zamknięty w butelce.

– Chodzi na medal – powiedział przyjaźnie. – Do widzenia, Helio. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, czeka cię nagroda. Nie zapominaj o tym.

– Nie oczekuję nagrody – odrzekł Helio. – Spełniam jedynie swój obowiązek, panie. Zrobiłbym to dla każdego.

Arnie zwolnił hamulec. Włączył się w ruch uliczny Lewistown. Wyruszyli późnym popołudniem. W górze bez wątpienia krążył kopter z Jackiem Bohlenem i Doreen na pokładzie. Arnie nie zwracał sobie głowy wypatrywaniem koptera, był pewny, że się tam znajduje. Pomachał na pożegnanie Murzochidowi. Wolne miejsce po łożniku zajął ogromny piaskobus. Helio zniknął im z oczu.

– Jak ci się to podoba, Manfred? – zapytał Arnie, gdy prowadził piaskołożnik ku rogiatom Lewistown, za którymi rozciągała się pustynia. – Pojazd jak się patrzy, no nie? Wyrabia prawie osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, a to nie bagatela.

Chłopiec nie odzywał się, ale drżał z podniecenia.

– To prawdziwe cudo – odpowiedział sam sobie Arnie na swoje pytanie.

Zbliżali się do granic Lewistown, kiedy Arnie zauważył, że dogonił ich jakiś samochód i jedzie tuż obok z taką samą prędkością. W samochodzie siedziały dwie osoby, mężczyzna i kobieta. W pierwszej chwili Arnie pomyślał, że to Jack i Doreen. Szybko jednak zorientował się, że kobieta to jego była żona, Anna Esterhazy, a mężczyzna to doktor Milton Glaub.

„Czego oni chcą, u diabła? – zastanawiał się Arnie. – Nie widzą, że jestem zajęty? Niech mi nie zwracają głowy.”

– Kott – krzyknął doktor Glaub – zjedź na bok, chcemy pogadać! To bardzo ważne!

– Cholera – zaklął Arnie i dodał gazu. Lewą ręką zaczął szukać rewolweru. – Nie mamy o czym gadać. A co wy macie ze sobą wspólnego?

Ani trochę nie spodobał mu się widok tej pary.

„Zupełnie jakby sprzymierzyli się przeciwko mnie – pomyślał. – Powiniennem był się tego spodziewać.”

Gwałtownym ruchem włączył przenośny nadajnik, żeby połączyć się ze swoim stewardem w Gmachu Związkowym, Eddym Gogginsem.

– Tu Arnie. Mój żyrokompas wskazuje 8. 45702. Jestem dokładnie na skraju miasta. Przyleć do mnie szybko. Jest tu pewna para, którą się trzeba zająć. Pospiesz się, doganiają mnie.

Rzeczywiście, tamci ani na chwilę nie zostali w tyle Mogli z łatwością dogonić albo nawet prześcignąć malutki piaskołazik.

– Już się robi, Arnie – powiedział Eddy Goggins. – Już wysyłam kilku chłopców. Nie martw się.

Samochód wysunął się naprzód i zajechał Arniemu drogę Kott z niechęcią zatrzymał piaskołazik. Samochód ustawił się tak, by uniemożliwić ucieczkę. Glaub wyskoczył z niego i rzucił się do łazika.

– To koniec twojej kariery, kłamco i tyranie! – zawołał do Arniego.

„Chryyyyste – pomyślał Arnie. – W takiej chwili.”

– Czego chcesz? – zapytał. – Tylko się streszczaj, bo nie mam czasu.

– Zostaw Jacka Bohlena – wysapał doktor Glaub. – Bo będziesz miał ze mną do czynienia! Ja go reprezentuję, on potrzebuje odpoczynku i spokoju.

Z samochodu wysiadła Anna Esterhazy. Podeszła do łazika i stanęła naprzeciwko Arniego.

– Jeśli dobrze rozumiem...

– Nic nie rozumiesz – przerwał jej Arnie ze złością. – Przepuście mnie, bo inaczej moi ludzie się wami zajmą.

W górze pojawił się kopter ze znacznikiem Związku Pracowników Wodnych i zaczynał obniżać lot. Arnie domyślił się, że to Jack i Doreen. Z tyłu z ogromną prędkością nadlatywał drugi kopter. To był niewątpliwie Eddy i współobywatele. Oba pojazdy zaczęły przygotowywać się do lądowania w pobliżu samochodu i łazika.

– Arnie – powiedziała Anna Esterhazy – Wiem, że jeśli nadal będziesz realizował swój zamiar, spotka cię coś złego.

– Mnie? – spytał z rozbawieniem i niedowierzaniem.

– Czuję to. Proszę cię, Arnie. Cokolwiek chcesz zrobić, lepiej dwa razy pomyśl. Warto jeszcze pożyć. Musisz się mścić?

– Wracaj do Nowego Izraela i dogładaj swojego cholernego sklepu.

Zaczął rozgrzewać silnik piaskołazika.

– Ten chłopiec – powiedziała Anna – to Manfred Steiner, tak? Pozwól Miltonowi zabrać go do Obozu B-G. Tak będzie lepiej dla wszystkich, dla niego i dla ciebie.

Wylądował jeden z kopterów. Wskoczyło z niego trzech ludzi z ZPW. Biegli w górę ulicy. Na ich widok Glaub sposepniał i złapał Annę za rękaw.

– Widzę ich – powiedziała Anna spokojnym głosem. – Proszę cię, Arnie. Ty i ja często pracowaliśmy razem, dokonaliśmy wspólnie wielu wspaniałych rzeczy... przez wzgląd na mnie, przez wzgląd na Sama... jeśli zrobisz to, wiem, że w żaden sposób nigdy już nie będziemy razem. Czy ty tego nie czujesz? Czy to, co robisz, jest od tego wszystkiego ważniejsze? Stać cię na to, by tak wiele stracić?

Arnie milczał.

Obok piaskołazika pojawił się zdyszany Eddy Goggins. Ludzie ze związku zbliżali się do Anny Esterhazy i doktora Glaub. Teraz wylądował drugi kopter i wysiadł z niego Jack Bohlen.

– Zapytaj go – powiedział Arnie. – Leci z własnej woli, jest dorosłym człowiekiem. Wie, co robi. Spytaj, czy dobrowolnie wybiera się na tę pielgrzymkę.

Gdy doktor Glaub i Anna Esterhazy zwrócili się do Jacka, Arnie Kott wycofał piaskołazik. Zmienił biegi, dał całą naprzód i błyskawicznie wyminął zaparkowany wóz. Doktor Glaub próbował wrócić do samochodu, wywiązała się krótka szamotanina między nim i dwoma współobywatelami, którzy się na niego rzucili. Arnie zaś pędził prosto przed siebie – Glaub, Anna i ludzie z ZPW zostali w tyle.

– Udało się – powiedział Arnie do Manfreda.

Przed nimi jezdnia przechodziła w niewyraźny pasek biegnący przez pustynię w kierunku widocznych w dali Wzgórz. Piaskołazik mknął po drodze z maksymalną niemal prędkością. Arnie się śmiał. Oczy siedzącego obok chłopca błyszcząły z podniecenia.

„Nikt mnie nie powstrzyma” – powiedział sobie w duchu Arnie.

Nie dochodziły już do niego odgłosy sprzeczki. Słyszał jedynie bzyczenie silnika. Wygodnie usadowił się na siedzeniu.

„Przygotuj się, Nieczysty Głazie” – pomyślał.

Wtedy przypomniał sobie o magicznym amulecie Jacka Bohlena, o wróżce wodnej, którą zgodnie ze słowami Helio, miał mieć przy sobie. Arnie zmarszczył brwi. Jednak tylko na chwilę wytrąciło go to z równowagi. Nie zwolnił.

Podniecony Manfred piszczał z radości:

– Głub głub!

– Co to znaczy „głub głub”? – zapytał Arnie.

Chłopiec nie odpowiedział. Jechali dalej. Pocztowy piaskołazik podskakiwał na drodze wiodącej w Góry F.D.R.

„Może dowiem się, co to znaczy, gdy dotrzemy na miejsce – myślał Arnie. – Chciałbym się dowiedzieć.”

Z jakiegoś powodu dźwięki wydawane przez chłopca, jego niezrozumiałe słowa, bardziej niż

cokolwiek innego wprawiały Arniego w stan niepokoju. Nagle pożałował, że nie ma z nim Helio.

– Głub głub – krzyczał Manfred, gdy pędzili naprzód.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W jaskrawym świetle wczesnego poranka sterczało przed nimi czarne garbate wzniesienie zbudowane z piaskowca i szkliva wulkanicznego. Nieczysty Głaz. Noc spędzili na pustyni w namiocie rozbitym w pobliżu koptera. Jack Bohlen i Doreen Anderton nie zamienili z nimi ani słowa. O świcie kopter wzbił się w powietrze, by krążyć nad jadącym piaskołazikiem. Arnie i Manfred zjedli solidne śniadanie, a potem spakowali się i ruszyli w kierunku głazu.

Ich podróż, pielgrzymka do świętej skały Murzochidów, dobiegła końca.

Patrząc z tak bliska na Nieczysty Głaz, Arnie pomyślał: „On uleczy nas ze wszystkich bolączek.”

Pozwolił Manfredowi przejąć kierownicę łazika, a sam zajrzał do mapy, którą narysował Helioabalus. Pokazywała ścieżkę biegnącą w górę, w głąb łańcucha, aż do Nieczystego Głazu. Zgodnie z tym, co powiedział Helio, W północnym zboczu skały miała znajdować się wydrążona komora, w której powinien przebywać murzochidzki kapłan. Chyba że, pomyślał Arnie, odsypia właśnie libację. Znał tych kapłanów: byli w większości starymi pijanicami. Nawet Murzochidzi mieli ich w pogardzie.

Arnie zaparkował piaskołazik w cieniu, u podnóża pierwszej z gór. Wyłączył silnik.

– Od tego miejsca będziemy szli pieszo – powiedział do Manfreda. – Weźmiemy z sobą tyle, ile zdołamy unieść: wodę, żywność i oczywiście nadajnik. Jeśli zechcemy coś ugotować, możemy wrócić po piecyk. Nie oddalimy się na więcej niż kilka kilometrów.

Chłopiec wyskoczył z łazika. Razem z Arniem wyładowali sprzęt i wkrótce mozolnie wspinali się skalistym szlakiem w głąb łańcucha F.D.R.

Manfred rozglądał się dookoła załęcznionym wzrokiem. Kulił się i drżał. Może znowu męczyła go wizja AM-WEB. Tak przypuszczał Arnie. Henry Wallace leżał zaledwie sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Chłopiec mógł wyczuwać promieniowanie AM-WEB, który znajdował się tak blisko. Był prawie namacalny.

A może wyczuwał działanie skały Murzochidów?

Arniemu nie spodobał się wygląd skał. Po cóż było robić z czegoś takiego świątynię? Co za przewrotność wybrać tak jałowe miejsce! Ale może kiedyś ta religia przeżywała okres rozkwitu? Wzdłuż ścieżki widać było ślady dawnych obozów Murzochidów. Może stąd wywodzą się Marsjanie. Grunt niewątpliwie sprawiał wrażenie starego, wyraźnie użytkowanego, jakby żyły tam w ciągu wieków miliony szaroczarnych istot. A czym to miejsce było teraz? Ostatnim bastionem ginącej rasy. Reliktem, gdzie ostały się niedobitki.

Arnie przystanął sapiąc z wysiłku. Wspinanie się na górę z ciężkim ładunkiem było męczące. Za nim po stromym zboczu wdrapywał się Manfred. Wciąż rzucał wokół pełne

niepokoju spojrzenia.

– Spokojnie – dodawał sobie odwagi Arnie. – Nie ma się czego bać.

Czy wewnętrzne siły chłopca łączyły się już z siłami skały? I czy skała także zaczęła się bać? Czy była w ogóle do tego zdolna?

Szlak nie piał się już w górę i stał się szerszy. Było ciemno, zimno i wilgotno. Zdawać by się mogło, że wędrują we wnętrzu wielkiego grobu. Skały porastała skąpa i skarłała roślinność, która sprawiała wrażenie zatrutej. Na ścieżce leżał martwy ptak. Arnie nie był w stanie stwierdzić, jak stare jest ścierwo. Zwłoki ptaka wyglądały na zmumifikowane.

„Z całą pewnością to miejsce mi się nie podoba” – pomyślał Arnie.

Manfred przystanął.

– Glublak – powiedział pochylając się nad ptakiem.

– Taak – mruknął Arnie. – Chodźmy.

Wreszcie stanęli u podnóża góry.

Wiatr szeleścił wśród krzaków, które wyglądały jak obdarte ze wszystkich zielonych części, nagie i jakby ogołoczone z liści, niczym kości wetknięte w ziemię. Ze szczeliny powiał wiatr. Niósł zapach jakiegoś zwierzęcia. Może tak pachniał sam kapłan. Arnie bez szczególnego zdziwienia zauważył pustą butelkę po winie i inne odpadki zaczepione na ostrych gałązkach pobliskiego krzaka.

– Jest tu kto? – zawołał Arnie.

Po długiej chwili z komory w jaskini wynurzył się stary Murzochid. Wyglądał jak osnuty pajęczynami. Zdawało się, że uderzają w niego podmuchy wiatru. Zarzucało go na boki. Przystanął na chwilę przy ścianie, po czym dalej brnął naprzód. Miał przekrwione oczy.

– Ty stary pijaku – szepnął Arnie.

Z karteczki, którą dał mu Helio, odczytał powitanie w języku Murzochidów.

Kapłan bezzębnymi ustami machinalnie wymamrotał odpowiedź.

– Proszę – Arnie podał mu karton papierosów.

Kapłan bełkocząc coś pod nosem zbliżył się chyłkiem do Arniego i drapieżnym ruchem chwycił karton. Wetknął go pod pajęczynowatą szatę.

– Lubisz to, he? – powiedział Arnie. – Tak też myślałem.

Odczytał z karteczki, jaki jest cel jego wizyty i czego chce od kapłana. Pragnie, by kapłan zostawił jego i Manfreda samych w komorze na godzinę lub dwie, aby mogli wezwać ducha skały.

Nie przestając bełkotać kapłan opuścił komorę. Długa szata krępowała mu ruchy, poły plątały się między nogami. Odszedł jakąś boczną ścieżką, nie obejrzawszy się nawet na Arniego i Manfreda.

Arnie przewrócił kartkę na drugą stronę i przeczytał wypisane przez Helio instrukcje.

(1) Wejść do komory.

Arnie wziął Manfreda za rękę i krok po kroku zanurzyli się razem w ciemnej rozpadlinie skalnej. Zaświecił latarkę i powiodł chłopca do szerszej części komory. Czuć było stęchlizną, jakby jaskinia zamknięta była przez całe wieki. Panował zaduch jak w starej skrzyni z przegniłymi szmatami, woń raczej roślinna niż zwierzęca.

Co dalej? Arnie znowu zajrzał do karteczki.

(2) Rozpalić ognisko.

Zobaczył szerniałą jamę otoczoną wianuszkami okrągłaków. Leżały w niej kawałki drewna i coś, co wyglądało jak kości... Widocznie stary opój przyrządzał tu sobie posiłki.

Arnie przyniósł drewno na rozpałkę. Złożył je na ziemi i zeszywniałymi palcami majstrował przy rzemykach.

– Tylko się nie zgub – powiedział do Manfreda.

„Ciekawe, czy kiedykolwiek stąd wyjdziemy?” – Pomyślał.

Gdy zapłonęło ognisko, obaj poczuli się lepiej. W jaskini zrobiło się cieplej, ale wciąż było wilgotno. W powietrzu nadal unosił się zapach pleśni. Stał się nawet silniejszy, jakby ogień przyciągał coś, co ten zapach wydzielało, cokolwiek to było.

Następne polecenie zdumiało Arniego. Zdawało się nie mieć sensu. Niemniej zastosował się do niego.

(3) Nastawić przenośne radio na 574 kHz.

Arnie wyciągnął mały japoński tranzystor i nastawił go na wskazaną częstotliwość. Przy 574 kHz. było słycać jedynie szumy. Widocznie miało to służyć pobudzeniu otaczającej ich skały – jakby się zmieniła: stała się bardziej czujna, jak gdyby dobiegający z radia dźwięk przywołał ją do stanu świadomości. Następne polecenie było równie irytujące.

(4) Zżyć nembutal (chłopiec nie).

Arnie połknął nembutal, popijając wodą z manierki. Zastanawiał się, czy środek ten ma przytępić jego zmysły, czy też sprawić, by stał się łatwowierny. A może przytłumi jego niepokoje?

Zostało jeszcze tylko jedno polecenie.

(5) Wrzucić załączoną paczuszkę do ognia.

Helio wsadził do bagażu Arniego małą papierową paczuszkę, jakąś trawę zawiniętą w kartkę wyrwaną z „New York Timesa”. Arnie ukląkł przy ogniu, ostrożnie rozwinął zawiniątko i wrzucił w płomienie ciemne suche powrózki. Ogień przygasł, a w nozdrza pielgrzymów uderzył obrzydliwy smród. Komorę wypełniły kłęby dymu. Arnie usłyszał kaszel Manfreda.

„Cholera – pomyślał Arnie. – Podusimy się, jeśli tu zostaniemy”. Dym prawie natychmiast się rozwiął. Jaskinia zdawała się teraz mroczna, pusta i znacznie większa, jakby ustąpiła otaczająca ich skała. Nagle Arnie poczuł, że za chwilę upadnie. Zdawało mu się, że nie utrzymuje pionowej postawy. Uświadomił sobie, że stracił poczucie równowagi. Nie mógł znaleźć żadnego oparcia.

– Manfred – powiedział. – Teraz posłuchaj. Dzięki mnie nie musisz już się martwić o AM-WEB. Helio wyjaśnił ci dlaczego. Zrozumiałeś? Dobrze. A teraz cofnij się o trzy tygodnie. Możesz to zrobić? Naprawdę przyłóż się do tego, jak tylko potrafisz.

W mroku chłopiec łypał na niego oczami rozszerzonymi strachem.

– Cofnij się do czasu, gdy nie znałem jeszcze Jacka Bohlena – dodał Arnie. – Zanim spotkałem go na pustyni tego dnia, gdy Murzochidzi umierali z pragnienia. Rozumiesz?

Arnie podszedł do chłopca i...

Upadł na twarz.

„To nembutał – pomyślał. – Lepiej się o coś oprę, zanim zupełnie stracę przytomność.” – Z trudem dźwignął się na nogi, po omacku szukając czegoś, czego mógłby się przytrzymać. Błysnęło światło. Wyciągnął ręce i... znajdował się w wodzie. Po twarzy sływały mu ciepłe strugi. Prychnął, zakrtuszył się – wokół kłębiła się para. Pod stopami poczuł znajome kafelki.

Był w swojej łaźni parowej.

Dobiegły go głosy rozmawiających mężczyzn. Głos Eddy’ego mówiący:

– W porządku, Arnie.

Wtedy ujrzał wokół siebie niewyraźne kształty. To były sylwetki mężczyzn biorących prysznic.

Gdzieś głęboko, w okolicy pachwiny, poczuł pieczenie, to odzywał się wrzód dwunastnicy. Arnie uświadomił sobie, że jest potwornie głodny. Wyszedł spod prysznica.

Miał nogi jak z waty. Stąpając po rozgrzanych, mokrych kafelkach szukał służącego, by wziąć swój wielki, mechaty ręcznik kąpielowy.

„Już raz tutaj byłem – pomyślał. – Wszystko to już robiłem, powiedziałem to, co dopiero powiem. Niesamowite! To jakoś się nazywa, jest takie francuskie wyrażenie...

Lepiej zjem jakieś śniadanie.”

Burczało mu w brzuchu, a ból dwunastnicy stawał się coraz silniejszy.

– Hej, Tom – zawołał do służącego. – Wytrzymaj mnie i ubierz, chcę iść coś zjeść. Ten wrzód mnie wykończy.

Nigdy przedtem nie czuł takiego bólu.

– Już się robi, Arnie – odparł służący, podchodząc do niego z dużym, miękkim, białym ręcznikiem.

Kiedy służący pomógł mu się ubrać w szare flanelowe spodnie, koszulkę bawełnianą, buty z miękkiej skóry i czapkę z daszkiem, współobywatel Arnie Kott opuścił łaźnię parową i ruszył korytarzem Gmachu Związkowego w kierunku jadalni, gdzie Heliogabalus czekał na niego ze śniadaniem.

W końcu zasiadł przed stertą grzanek z bekonem, prawdziwą kawą pochodzącą z Domu i szklanką soku z pomarańczy rosnących w Nowym Izraelu. W dłoni trzymał niedzielne wydanie „New York Timesa” z minionego tygodnia.

Gdy sięgał po zimny, odcedzony, słodki sok trząśniętą szklanką była śliska i gładka. Kiedy podniósł ją do ust, niemal wypadła mu z rąk...

„Muszę być ostrożny – powiedział sobie. – Tylko spokojnie. To naprawdę się stało. Wróciłem do punktu, w którym znajdowałem się kilka tygodni temu. Zdziałałi to razem Manfred i skała Murzochidów. Świetnie.” – Myśli kłębiły mu się w głowie. – A to dopiero!

Pociągał sok pomarańczowy, delektując się każdym łykiem, aż opróżnił szklankę.

„Mam to, czego chciałem – powiedział do siebie. – Teraz muszę być ostrożny. Jest parę rzeczy, których z pewnością nie chciałbym zmienić. Muszę mieć pewność, że nie sprzęję moich interesów na czarnym rynku. Nie mogę zareagować jak każdy normalny człowiek, nie mogę zapobiec, by stary dobry Norb Steiner odebrał sobie życie. To znaczy, będzie mi przykro z jego powodu, ale nie mam ochoty rezygnować z tego interesu. Więc niech zostanie jak jest. Jak będzie – poprawił się natychmiast. – Muszę przede wszystkim zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze: uzyskać prawo własności ziemi w łańcuchu F.D.R., całego rejonu Henry Wallace i musi ono wyprzedzać o kilka tygodni roszczenie ojca Bohlena. Stary spekulant będzie mnie mógł pocałować gdzieś! Kiedy pojawi się tu za parę tygodni, dowie się, że ziemia jest już kupiona. Cała podróż w tę i z powrotem okaże się daremna. Może dostanie ataku serca. – Na myśl o tym Arnie zachichotał. – Jaka szkoda. I po drugie: sprawa Jacka Bohlena. Załatwię go. Jeszcze tego faceta nie spotkałem i on mnie nie zna, ale ja go znam. Odgrywam w stosunku do Jacka Bohlena rolę przeznaczenia.”

– Dzień dobry, panie Kott.

Podniósł wzrok, zły, że przerwano mu rozważania. Zobaczył, że do jadalni weszła dziewczyna i wyczekująco stanęła przy biurku. Nie poznał jej.

„Sekretarka – uświadomił sobie. – Przyszła po poranne rozporządzenia.”

– Mów mi Arnie – mruknął. – Każdy ma tak się do mnie zwracać. Jak to się stało, że tego nie wiesz? Jesteś tu nowa?

Uznał, że dziewczyna nie jest zbyt atrakcyjna i wrócił do czytania gazety. Miała pełne kobiece kształty. Pod czarną jedwabną suknią niewiele chyba nosiła. Wszystko to zauważył, obserwując dziewczynę zza gazety. Nie była zamężna. Na jej palcu nie dostrzegł obrączki.

– Podejdź bliżej – powiedział. – Boisz się mnie, bo jestem sławnym wielkim Arniem Kottem, który wszystkim tutaj rządzi?

Dziewczyna zbliżyła się do niego zalotnym, kocim krokiem, co wprawiło go w zdumienie. Zdawała się skradać do biurka.

– Nie, Arnie, nie boję się ciebie – odparła zachrypłym głosem, w sposób dający wiele do zrozumienia.

Jej powłóczyście spojrzenie było dalekie od niewinności. Wprost przeciwnie – to, co wyrażało, wstrząsnęło Arniem. Zdało mu się, że dziewczyna zna każdą jego zachciankę i potrzebę, szczególnie te cielesne.

– Od dawna tu pracujesz? – zapytał.

– Nie, Arnie.

Podeszła bliżej i oparła się o krawędź biurka, tak że – nie mógł w to uwierzyć – jedną nogą dotykała jego nogi. Jej noga drgała rytmicznie. Arnie odsunął się i powiedział słabym głosem:

– Hej.

– O co chodzi? – zapytała dziewczyna i uśmiechnęła się.

Jeszcze nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Uśmiech był chłodny, a jednocześnie niezmiernie poufały i całkowicie bezosobowy, jakby wykonała go maszyna, jakby według wzorca złożyła go z warg, zębów, języka... – a mimo to przejął go swoją zmysłowością. Uśmiech rozlewał żar. Arnie zeszytywniał na krześle, niezdolny odwrócić wzrok w inną stronę. Najbardziej przykuł jego uwagę język, który drżał. Jego końcówka była zaostzona, jakby gotowa do cięcia. Taki język mógł zranić, rozpruć coś żywego, męczyć i zmuszać do błagania o litość. To lubił najbardziej: słuchać błagalnych prośb. Zęby także, białe i ostre... stworzone do rozszarpywania. Arniego przeszedł dreszcz.

– Przeszkadzam ci, Arnie? – zamruczała dziewczyna.

Stopniowo przesuwiała się wzdłuż biurka i teraz – Arnie nie mógł pojąć, jak jej się to udało – opierała się o niego prawie całym ciałem.

„Mój Boże – pomyślał. – Ona... to niemożliwe.”

– Słuchaj – powiedział przelękając ślinę. Zaschło mu w gardle. Ledwo mógł cokolwiek

z siebie wydusić. – Idź już i daj mi przeczytać gazetę. – Złapał „Timesa” i odgrodził się nim od dziewczyny. – Idź sobie – powtórzył chrapliwie.

Postać za gazetą odsunęła się nieco.

– O co chodzi, Arnie?

Jej głos brzmiał tak, jak tarcie metalowych kół. Arnie pomyślał przez chwilę, że dźwięk dochodzi z taśmy.

Milczał. Trzymał w rękach gazetę i czytał.

Kiedy znowu podniósł wzrok, dziewczyny już nie było. Został sam.

„Tego nie pamiętam – pomyślał. Był cały rozedrgany. Wszystko się w nim trzęsło. – Nic nie rozumiem. Co się działo przed chwilą?”

Machinalnie zaczął czytać artykuł o statku, który zaginął w dalekiej przestrzeni kosmicznej, frachtowcu z Japonii wiozącym ładunek rowerów. Arnie poczuł rozbawienie, mimo że przepadło trzystu ludzi. To było po prostu cholernie śmieszne. Pomyśleć tylko: tysiące małych, lekkich japońskich rowerów unoszą się w przestrzeni kosmicznej jako złom, w nieskończoność będą okrążać Słońce... Nie żeby nie potrzebowano ich na Marsie, gdzie nie istniały prawdziwe źródła energii... ze względu na słabą grawitację można było bez trudu przejechać rowerem setki kilometrów.

Czytając dalej doszedł do artykułu o przyjęciu w Białym Domu wydanym dla... zmrzył oczy, żeby lepiej widzieć. Słowa zdawały się zlewać. Prawie nie mógł ich odczytać. Jakiś błąd w druku? Co tu jest napisane? Nieomal wsadził nos w gazetę – było napisane „glub glub”. Artykuł stał się bezsensowny. Składał się wyłącznie ze słów „glub glub”. Dobry Boże! Arnie patrzył na to z odrazą. Jego żołądek zaczął się buntować, a wrzód bardziej niż kiedykolwiek dawał o sobie znać. Arnie był spięty i wściekły – najgorszy z możliwych zestaw dla pacjenta z wrzodem, zwłaszcza w czasie posiłku.

„Przekłete glub glub – pomyślał. – To właśnie powtarza ten dzieciak! To coś zepsuło cały artykuł.”

Przejrzał gazetę i przekonał się, że prawie wszystkie artykuły zamieniły się w stek bzdur, zamazały się po pierwszym zdaniu. Irytacja Arniego wzrosła do tego stopnia, że cisnął gazetę.

„Co to jest, u licha? – zastanawiał się. – To mowa schizofrenika – zrozumiał po chwili. – Prywatny język. Ani trochę mi się to nie podoba! Jeśli chłopak sam chce tak mówić, w porządku. Ale jego mowa nie należy do tego świata! On nie ma prawa wpychać tego świństwa do mojej rzeczywistości. Oczywiście, przeniósł mnie tutaj, więc może myśli, że to mu daje prawo, aby uznawać ten świat za swój?”

Ta myśl nie spodobała się Arniemu. Żałował, że w ogóle przyszła mu do głowy.

Wstał zza biurka i podszedł do okna. Wyjrzał na ulicę. Po chodnikach spieszyli ludzie. Jak oni szybko szli! Samochody również pędziły. Dlaczego tak prędko? Było coś nieprzyjemnego

w sposobie ich poruszania się: gwałtowne szarpnięcia, przedmioty zderzające się jak kule bilardowe, twarde i niebezpieczne... budynki zdawały się jeżyć ostrymi krawędziami. Mimo to kiedy próbował ustalić, na czym polegała zmiana – a zmiana zaszła, nie miał co do tego wątpliwości – nie potrafił tego zrobić. To była znajoma scena, którą widział każdego dnia. A jednak... Czy oni poruszali się zbyt szybko? Czy na tym polegała zmiana? Nie, to było coś głębszego. Wszystko przenikała wszechobecna wrogość. Powiedzieć, że ludzie i rzeczy zderzali się, to słabe określenie – oni walili w siebie z całą siłą, jakby robili to z rozmysłem.

Wtedy zobaczył coś, co zaparło mu dech w piersi. Ludzie spieszący ulicą prawie nie mieli twarzy, lecz ich cząstki czy pozostałości... jakby ich twarze nie zdążyły się ukształtować.

„To niemożliwe! – pomyślał Arnie. Teraz padł na niego blady strach. – Co jest grane? Ktoś mi kit wciska!”

Roztrzęsiony odszedł od okna i znowu siadł za biurkiem. Pił kawę usiłując zapomnieć, co przed chwilą widział. Chciał podjąć rutynowe, poranne czynności.

Kawa miała gorzki, obcy smak. Natychmiast odstawił filiżankę.

„Ten dzieciak chyba sobie wyobraża, że ktoś mu podsypuje truciznę do jedzenia – pomyślał z rozpaczą. – Ale czy z powodu jego urojeń ja też muszę pić takie paskudztwa? Boże! Przecież to obrzydliwe. Najlepiej będzie – uznał – jeśli szybko załatwię swoje sprawy i wrócę do teraźniejszości.”

Z dolnej szuflady biurka wyjął mały dyktafon na baterie i przygotował go do pracy.

– Scott – rzekł do mikrofonu – mam ci do przekazania strasznie pilną wiadomość. Natychmiast wykonaj to, co ci powiem. Chcę wykupić ziemię w Górach F.D.R., bo ONZ planuje zbudować tam potężne osiedle mieszkaniowe, zwłaszcza na terenie Kanionu im. Henry’ego Wallace’a. Przekaż odpowiednią kwotę z funduszy związkowych, oczywiście na moje nazwisko, żebym uzyskał prawo własności całego tego terenu. Za jakieś dwa tygodnie przyłecą spekulanci z...

Arnie nie dokończył udzielać instrukcji, bo urządzenie stęknęło i przestało chodzić. Walnął je pięścią. Szpule poruszyły się lekko i znowu znieruchomiały.

„Sądziłem, że naprawiono dyktafon – pomyślał ze złością. – Przecież reperował go ten cały Jack Bohlen.”

Wtedy przypomniał sobie, że wrócił do przeszłości i Jacka Bohlena nie wezwano jeszcze do naprawy dyktafonu. Nic dziwnego, że urządzenie nie funkcjonowało.

„Muszę wszystko podyktować tamtemu potworowi” – przypomniał sobie o sekretarce.

Dotknął palcem przycisku na blacie biurka, żeby ją do siebie wezwać, ale się zawahał.

„Czy mógłbym przez to przejść jeszcze raz?” – zadał sobie pytanie.

Jednak nie miał innego wyboru. Nacisnął przycisk.

Otworzyły się drzwi i weszła sekretarka.

– Wiedziałaś, że mnie wezwiesz, Arnie – oświadczyła, podchodząc dumnym krokiem do biurka.

– Słuchaj no – powiedział władczym tonem. – Nie podchodź do mnie tak blisko. Nie cierpię, gdy ludzie za bardzo się do mnie zbliżają.

Zanim skończył mówić, uświadomił sobie, czym w rzeczywistości były jego obawy. Ulegał podstawowemu lękowi schizofrenika, poczuciu zagrożenia zbytnią bliskością innych ludzi, którzy mogą naruszyć jego osobistą przestrzeń. To się nazywa mizantropia. Bierze się stąd, że schizofrenik w całym otoczeniu wyczuwa wrogość.

„Temu właśnie ulegam” – pomyślał Arnie.

Mimo że to sobie uświadomił, nie mógł znieść bliskości dziewczyny. Gwałtownie podniósł się z krzesła i podszedł do okna.

– Jak sobie życzysz, Arnie – odrzekła głosem, w którym wyczuwało się nienasyconą żądzę.

Nie zważając jednak na to, co przed chwilą powiedziała, podkradła się do niego i znowu stanęła tak, że prawie go dotykała. Słyszał jej sapanie, wdychał ostrą woń potu i czuł na sobie nieprzyjemny, gorący oddech... Dusił się, brakło mu tchu.

– Zaraz ci coś podyktuję – powiedział, gdy odszedł na bezpieczną odległość. – To wiadomość dla Scotta Tempie i trzeba ją zaszyfrować, żeby oni nie mogli jej przeczytać.

„Oni” – pomyślał. Cóż, to już była jego własna stała obawa. Nie mógł za to winić chłopca.

– Mam ci do przekazania strasznie pilną wiadomość – dyktował Arnie. – Natychmiast wykonaj to, co ci powiem. To sprawa dużej wagi. Zdobyłem poufną informację, że ONZ ma zamiar kupić ogromny szmat ziemi w Górach F.D.R...

Dyktował dalej, jednak obsesyjny lęk go nie opuszczał, wprost przeciwnie – rósł z każdą chwilą.

„A jeśli ona pisze po prostu »glub glub«? Muszę spojrzeć na kartkę. Podejdę bliżej i sprawdzę, co ona notuje. Muszę to zrobić.”

Jednak wzdrygnął się na samą myśl o takim zbliżeniu.

– Słuchaj no, moja panno – powiedział przerywając dyktowanie. – Podaj mi notatnik. Chcę zobaczyć, co już napisałaś.

– Arnie – odparła szorstko, przeciągając głoski. – Przecież i tak nic nie zrozumiesz.

– Dla... dlaczego? – zapytał przestraszony.

– To jest stenogram – wyjaśniła z chłodnym uśmiechem, który Arniemu wydał się wyraźnie złośliwy.

– W porządku – zgodził się zrezygnowany.

Skończył dyktowanie instrukcji. Kazał ją dziewczynie zaszyfrować i niezwłocznie przesłać Scottowi.

– A co potem? – zapytała.

– Co masz na myśli?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli, Arnie.

Ton jej głosu wywołał w nim przerażenie i czysto fizyczną odrazę.

– Potem nic nie będzie – odpowiedział. – Wynoś się stąd i więcej nie wracaj.

Zatrzasnął za nią drzwi.

„Chyba muszę zobaczyć się ze Scottem osobiście – stwierdził. – Jej nie mogę ufać.”

Usiadł za biurkiem, podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Usłyszał sygnał, jednak nikt nie odbierał telefonu.

„Dlaczego Scott nie odbiera? – zastanawiał się Arnie. – Przestał dla mnie pracować? Może działa przeciwko mnie? Może trzyma z nimi? Nie mogę mu ufać. Nikomu nie mogę ufać.”

Nagle usłyszał w słuchawce:

– Halo. Mówi Scott Tempie.

Arnie zdał sobie sprawę, że telefon dzwonił zaledwie kilka sekund. W tym czasie zdążył już przypisać Scottowi zdradę, źle go osądzić.

– Tu Arnie.

– Cześć, Arnie. Co się święci? Z tonu twojego głosu wnioskuję, że coś kombinujesz. Wal śmiało.

„Straciłem poczucie czasu – uświadomił sobie Arnie. – Zdawało mi się, że telefon dzwonił pół godziny, a wcale tak nie było.”

– Arnie – powiedział Scott. – Jesteś tam? Odezwij się.

„To schizofreniczny stan rozkojarzenia myślowego – stwierdził Arnie. – Polega przede wszystkim na zaburzeniu perspektywy czasowej. Ma to ten dzieciak i zaczyna się to udzielać mnie.”

– Na miłość boską! – niecierpliwił się Scott.

Arnie z trudem przerwał tok swoich myśli.

– Posłuchaj, Scott – powiedział. – Mam informację od bliskich mi osób. Musimy ją natychmiast wykorzystać. Rozumiesz? – Szczegółowo opowiedział o ONZ i jej planach dotyczących Gór F.D.R. – Sam więc widzisz – rzekł na zakończenie – że to doskonała lokata całej naszej gotówki.

– Czy ta informacja jest pewna? – spytał Scott.

– Tak! Oczywiście!

– Jak ją zdobyłeś? Powiem całkiem otwarcie. Lubię cię, Arnie, ale wiem, że miewasz zwariowane pomysły i za każdym razem zbyt szybko z nich rezygnujesz. Nie chciał bym wdepnąć w jakieś gówno.

– Daję ci słowo, że tak nie będzie.

– Słowo mi nie wystarcza.

Arnie nie wierzył własnym uszom.

– Pracujemy razem od lat i nasza współpraca była oparta jedynie na ustnych zobowiązaniach. Zawsze mieliśmy do siebie zaufanie – wydusił. – Co się z tobą dzieje?

– O to samo chciałbym zapytać ciebie – odparł chłodno Scott. – Jak to możliwe, że człowiek z twoim doświadczeniem chwyta się jakiejś wyssanej z palca plotki? Prawda jest taka, że łańcuch F.D.R. nie ma żadnej wartości, i ty o tym doskonale wiesz. Każdemu o tym wiadomo. Więc o co ci chodzi?

– Nie u f a s z mi, tak?

– A niby dlaczego miałbym ci u f a ć? Udowodnij, że ta informacja jest pewna i że nie rzucasz znowu słów na wiatr.

– Niech cię diabli – wydusił z trudem Arnie. – Gdybym mógł to udowodnić, nie musiałbyś mi ufać. Zaufanie nie wchodziłoby już w grę. W porządku. Wchodzę w to sam, a kiedy dowiesz się, co straciłeś, nie miej do mnie pretensji.

Rzucił słuchawkę. Był zrozpaczony, ale trząsał się też i z oburzenia. Coś takiego! Wprost nie mógł w to uwierzyć: Scott Tempie, jedyna osoba, z którą mógł ubijać interesy przez telefon. Cała reszta to byli obrzydliwi kanciarze, funta kłaków nie warki.

„To zwykle nieporozumienie – starał się przekonać samego siebie. – Lecz jego przyczyną jest głęboko zakorzeniona nieufność. Nieufność schizofreniczna. To załamanie się funkcji komunikacyjnych z otoczeniem.”

Wstał i powiedział na głos:

– Coś mi się zdaje, że muszę osobiście udać się do Pax Grove, do hipoteki, i wystąpić z propozycją kupna.

Wtedy przypomniał sobie, że musi najpierw oznaczyć terytorium, które chciałby nabyć. Musi polecieć w Góry F.D.R. Tymczasem wszystko w nim buntowało się przeciw i wyprawie w te rejony. Tam znajdowało się miejsce, w którym kiedyś pojawi się pewien wstrętny budynek...

Cóż, nie ma wyjścia: trzeba lecieć. Najpierw musi obstałować słupek w którymś ze związkowych warsztatów, potem wziąć kopter i zasuwać do Henry Wallace.

Naraz wydało mu się, że stoi przed nim niewyobrażalnie trudne zadanie. Czy mu sprosta? Najpierw będzie musiał znaleźć jakiegoś metalowca, który wygraweruje na słupku jego nazwisko. To może potrwać parę dni. Zastanawiał się, czy zna kogoś w Lewistown, komu mógłby zlecić tę robotę. Nie może powierzyć zadania nikomu obcemu, bo nie miałby do niego zaufania.

Z wysiłkiem pływaka walczącego z prądem rzeki zdołał podnieść słuchawkę i wykonać telefon do warsztatu.

„Jestem tak skonany, że ledwo się ruszam – zauważył. – Dlaczego? Cóż takiego dzisiaj

robiłem?” Ślaniał się ze zmęczenia.

„Gdybym tylko mógł chwilę odpocząć – pomyślał. – Gdybym tak mógł się przespacerować.”

Dopiero późnym popołudniem Arnie Kott postarał się o metalowy słupek ze swoim nazwiskiem i załatwił kopter z ZPW, który miał go zabrać w Góry F.D.R.

– Hej, Arnie – powitał go pilot z ZPW.

Był młodym człowiekiem o przyjemnej aparycji.

– Hej, chłopcze – odpowiedział Arnie.

Pilot powiódł go do wygodnego, skórzanego fotela, który wykonano specjalnie dla Arniego w związkowej tapicerni. Kiedy pilot zajął miejsce przy sterach, Arnie rzekł:

– Pospiesz się, bo i tak już jestem spóźniony. Muszę polecieć najpierw w góry, a potem do hipoteki w Pax Grove.

„Wiem, że nie zdążymy – pomyślał. – Po prostu jest za mało czasu.”

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ledwo kopter Związku Pracowników Wodnych wzbił się w powietrze, odezwał się głośnik:

– Komunikat specjalny. Na otwartej pustyni znajduje się grupka Murzochidów, w punkcie 4.65003 według żyrokompasu. Giną od spiekoty i braku wody. Wszystkie pojazdy będące na północ od Lewistown mają podążyć możliwie najszybciej we wskazanym kierunku, aby udzielić pomocy umierającym. Prawo Organizacji Narodów Zjednoczonych zobowiązuje do tego wszystkie statki handlowe, również i prywatne.

Suchy głos spikera ze sztucznego satelity raz jeszcze powtórzył komunikat.

– Bez przesady, mój chłopcze – zaprotestował Arnie, kiedy zorientował się, że kopter zmienia kurs.

– Muszę się zgłosić, proszę pana – odpowiedział pilot. – Takie jest prawo.

Znajdowali się nad pustynią i ze znaczną prędkością zbliżali się do punktu podanego przez spikera ONZ.

„Czarnuchy Murzochidzi – pomyślał Arnie. – Każą nam wszystko rzucić, żeby ratować tych cholernych półgłówków. Najgorsze jest to, że za chwilę spotkam Jacka Bohlena. Tego się nie da uniknąć. Całkiem o tym zapomniałem, a teraz już jest za późno.”

Dotknął kieszeni płaszcza i stwierdził, że pistolet jest na swoim miejscu, co poprawiło mu nieco nastrój. Gdy kop ter podchodził do lądowania, Arnie nadal trzymał dłoń na pistolecie.

„Może uda nam się zdążyć przed nim – pomyślał, lecz ku swemu przerażeniu ujrzał, że kopter firmy Yee zdążył już wylądować i Jack Bohlen właśnie podaje wodę pięciu Murzochidom. – A niech to wszyscy diabli!”

– Przydam się na coś? – zawołał pilot Arniego nie opuszczając kabiny. – Jeśli nie, lecę dalej.

– Mam dla nich za mało wody – odkrzyknął Jack Bohlen.

Wycierał chusteczką spoconą twarz.

– W porządku – odparł pilot i zatrzymał śmigła.

– Powiedz mu, żeby tu podszedł – odezwał się Arnie do pilota.

Ten wyskoczył z koptera i zbliżył się do Jacka: przyniósł dwudziestolitrowy kanister. Po chwili Bohlen przestał się zajmować Murzochidami i podszedł do Arniego.

– Chciał pan czegoś ode mnie?

Stał z podniesioną głową obok koptera.

– Tak – odparł Arnie. – Zaraz cię zabiję.

Wyciągnął pistolet i wycelował w Jacka.

Murzochidzi przestali napełniać wodą swoje skorupy.

Młody, kościsty mężczyzna, prawie nagi w blasku czerwonego marsjańskiego słońca,

sięgnął ręką za siebie do kołczana. Wyciągnął zatrutą strzałę, napiął cięciwę i jednym ruchem wypuścił strzałę z łuku. Arnie poczuł ostry ból: w jego piersi, nieco poniżej mostka, tkwił brzeszczot.

„Czytają w myślach – zaświtało Arniemu w głowie. – Odgadują zamiary.”

Próbował wyszarpnąć strzałę, ale nawet nie drgnęła. Nagle zdał sobie sprawę, że umiera. Strzała była zatruta i Arnie czuł, że jad paraliżuje mu kończyny, zatrzymuje krążenie, wraz z krwią wędruje do mózgu.

– Dlaczego chciał mnie pan zabić? – spytał stojący obok Jack Bohlen. – Przecież nawet mnie pan nie zna.

– Pewnie że cię znam – jęknął Arnie. – Naprawisz mój dyktafon, zabierzesz mi Doreen, a twój ojciec okradnie mnie ze wszystkiego, co mam, ze wszystkiego, co przedstawia dla mnie jakąś wartość: zagarnie łańcuch F.D.R.

Zamknął oczy, by trochę odpocząć.

– Pan chyba oszalał – powiedział Jack Bohlen.

– Nie – odrzekł Arnie. – Po prostu znam przyszłość.

– Zabiorę pana do lekarza – Jack odepchnął z drogi oniemiałego pilota i wskoczył do koptera. – Jeśli zdążymy na czas, dadzą panu odtrutkę.

Włączył silnik. Śmigła zaczęły się poruszać, najpierw wolno, potem coraz szybciej.

– Zawieź mnie do Henry Wallace – wymamrotał Arnie. – Żebym mógł wbić słupek z moim nazwiskiem.

Jack Bohlen przyjrzał mu się uważnie.

– Pan nazywa się Arnie Kott, prawda? – mówił siadając za sterami. Kopter natychmiast uniósł się w powietrze. – Zabiorę pana do Lewistown. To najbliżej i znają tam pana.

Arnie milczał. Z zamkniętymi oczami rozłożył się w fotelu. Źle poszło. Nie oznaczył terenu i nie zemścił się na Jacku Bohlenie. Teraz wszystko było skończone.

„To przez tych Murzochidów – pomyślał Arnie; poczuł, że Bohlen wynosi go z koptera.

Byli już w Lewistown. Zamroczony bólem Arnie ledwie dostrzegał domy i ludzi.

„To od samego początku wina Murzochidów. Gdyby nie oni, nigdy w życiu nie spotkałbym Jacka Bohlena. Całe zło stało się za ich sprawą.”

„Ale dlaczego jeszcze nie umarłem? – zastanawiał się, gdy Jack taszczył go przez lądowisko na dachu szpitala ku pochylni prowadzącej na ostry dyżur. Minęło wiele czasu.

Jad z pewnością zatrzał organizm. Mimo to Arnie nadal czuł, myślał, kojarzył... Może nie mogę umrzeć w przeszłości – zaświtała mu myśl. – Może utrzymam się przy życiu, dopóki nie wrócę do swojego czasu. Skąd u tego młodego Murzochida taki refleks? Przecież nie strzelają z łuku do ludzi. Grozi za to kara śmierci. Coś takiego oznacza koniec Murzochidów. Może więc na mnie czekali. Zmówili się, że ocala Bohlena, bo dał im jedzenie i wodę. Założę się, że to

właśnie oni dali mu tę wróżkę wodną. Pewnie że oni. I wiedzieli, co się stanie, kiedy mu ją dawali. Już wtedy, na samym początku, znali przyszłość. Jestem bezradny w tej cholernej, koszarnej przeszłości schizofrenika Manfreda Steinera. Przywróć mnie do mojego świata, do mojego czasu. Chcę się tylko stąd wydostać. Nie będę już niczego dochodzić, nie chcę robić nikomu krzywdy. Chcę znowu znaleźć się w jaskini pod Nieczystym Głazem, razem z tym cholernym chłopcem, w czasie, nim to się zaczęło. Proszę! Manfred!”

Jacyś ludzie wiozą go na wózku ciemnym korytarzem. Głosy. Otwierają się drzwi. Błysk metalu, to narzędzia chirurgiczne. Widzi twarze w maskach. Czuje, że kładą go na stole...

„Pomóż mi, Manfred! – krzyczy w myślach. – Oni mnie zabijają! Musisz mnie stąd zabrać. Zrób to teraz, bo za chwilę będzie za późno...”

Pojawiła się nad nim pustka i całkowita ciemność. Powoli opadła mu na twarz.

„Nie! – krzyczał. – To jeszcze nie koniec. Nie mogę tak skończyć. Manfred, na miłość boską, zrób coś, zanim będzie za późno! Muszę raz jeszcze zobaczyć normalny świat, gdzie nie ma miejsca na schizofreniczny mord i izolację, i zwierzęcą żądzę, i śmierć. Ocal mnie od śmierci. Przywróć mnie mojej rzeczywistości. Pomóż mi, Manfred. Ratuj mnie.”

– Proszę wstać, panie. Twój czas dobiegł końca – powiedział jakiś głos.

Arnie otworzył oczy.

– Daj więcej papierosów, panie.

Pochylał się nad nim brudny, starożytny, murzochidzki kapłan odziany w pajęczynową szatę. Obmacywał Arniego i skamlał mu do ucha swoją litanię:

– Jeśli chcesz tu zostać, panie, musisz mi zapłacić.

Szperał w płaszczu Kotta.

Arnie usiadł, rozglądając się w poszukiwaniu Manfreda. Chłopiec zniknął.

– Odczep się – powiedział dźwigając się z ziemi.

Powiódł rękoma po klatce piersiowej, ale nie wyczuł strzały.

Chwiejnym krokiem podszedł do wylotu jaskini. Przecisnął się przez szczelinę i znalazł w chłodnym blasku przedpołudniowego słońca.

– Manfred! – zawołał.

Chłopiec przepadł bez śladu.

„No cóż – pomyślał. – Przynajmniej znowu jestem w normalnym świecie. Tylko to się liczy.”

Nie pałał już żądzą wykończenia Jacka Bohlena. Nie chciał też kupować ziemi w Górach F.D.R.

„Jeśli o mnie chodzi, to może nawet zatrzymać Doreen Anderton – powiedział sobie

w duchu, gdy ruszył w stronę ścieżki, którą przyszedł tu razem z chłopcem. – Ale dotrzymam słowa danego Manfredowi: gdy tylko będę miał okazję, wyślę go na Ziemię. Może zmiana go uleczy albo może tam w Domu mają teraz lepszych psychiatrów. W każdym razie na pewno nie skończy w tym całym AM-WEB.”

Kiedy schodził ścieżką, nie przestając rozglądać się za Manfredem, zobaczył krążący w górze kopter.

„Może widzieli, dokąd poszedł chłopiec – przyszło Arniemu na myśl. – Jack i Doreen przez cały ten czas na pewno obserwowali nas z góry.”

Zatrzymał się i zaczął wymachiwać rękami, dając kopterowi znak, by wylądował.

Pojazd obniżał się ostrożnie, aż osiadł nieco dalej, na szerokiej platformie przed wejściem do wnętrza Nieczystego Głazu. Rozsunęły się drzwi i wyszedł jakiś człowiek.

– Szukam dzieciaka – zaczął Arnie i wtedy zorientował się, że to nie Jack Bohlen, ale ktoś obcy, kogo nigdy przedtem nie widział. Mężczyzna był przystojny, ciemnowłosy i miał dzikie spojrzenie szaleńca. Szybko zbliżył się do Arniego, wymachując jakimś błyszczącym przedmiotem.

– Ty jesteś Arnie Kott? – zawołał ostrym głosem.

– Tak. A bo co? – odparł Arnie.

– Zniszczyłeś moje lądowisko! – wrzasnął tamten.

Wyjął pistolet i wypalił.

Pierwsza kula nie trafiła Arniego.

„A ten to kto, co to ma znaczyć?” – przemknęło Arniemu przez głowę.

Wsunął rękę pod płaszcz, szukając pistoletu. Wtedy zrozumiał: „To ten drobny, żaloszny spekulant, któremu daliśmy nauczkę, kiedy próbował wepchnąć się na czarny rynek.”

Biegący mężczyzna uskokzył, padł na ziemię, przetoczył się kawałek i znowu strzelił. Arnie również go nie trafił. Tym razem kula śmignęła tak blisko Kotta, że przez chwilę myślał, iż został trafiony. Instynktownie przyłożył dłoń do piersi.

„Nie, nie trafiłeś mnie, skurwielu.”

Arnie uniósł broń, wycelował i przygotował się do następnego strzału.

Nagle światem wokół niego wstrząsnął wybuch. Słońce spadło z nieba i stoczyło się w ciemność, a wraz z nim Arnie Kott.

Po dłuższej chwili leżący na ziemi napastnik poruszył się, ostrożnie podniósł i chwilę stał, bacznie przyglądając się Arniemu. Wreszcie ruszył w jego kierunku. W wyprostowanych rękach trzymał wycelowany pistolet.

Zaszumiały śmigła. Mężczyzna spojrział w górę. Po jego sylwetce przesunął się cień i między nim a Arniem wylądował drugi kopter. Arnie stracił przeciwnika z oczu. Z koptera wyskoczył Jack Bohlen. Podbiegł do Arniego i pochylił się nad rannym.

– Dorwij tego faceta – wyszeptał Arnie.

– Nie mogę – odparł Jack i pokazał dłonią: tamten zdążył już wystartować. Jego kopter wzniósł się ponad Nieczystym Głazem, ominął szczyt i odleciał.

– Zapomnij o nim. Myśl o sobie, jesteś ciężko ranny.

– Nie przejmuj się tym – wyszeptał Arnie. – Posłuchaj. – Złapał Jacka za koszulę i przyciągnął do siebie tak, że ucho Bohlena znalazło się na wysokości twarzy Arniego. – Wyjawię ci pewną tajemnicę. Odkryłem coś. To jeszcze jeden z tych schizofrenicznych światów. Już raz przeszedłem przez tę całą cholerną schizofreniczną nienawiść, żądzę i śmierć. Nie zdołały mnie zabić. Poprzednim razem to była zatruta strzała w mojej piersi. A teraz to. Ja się tym nie przejmuję. – Zamknął oczy. Starał się usilnie zachować przytomność. – Znajdź tego dzieciaka, gdzieś tu się kręci. Zapytaj go, a sam ci powie.

– Mylisz się, Arnie – powiedział Jack.

– Jak to?

Prawie już nie widział Bohlena. Świat mroczniał. Sylwetka Jacka rozmywała się w ciemności i przypominała widmo.

„Nie opowiadaj bzdur – pomyślał Arnie. – Wiem, że wciąż jestem w umyśle Manfreda. Już niedługo się obudzę i nie będę ranny. Znowu będę zdrow i odnajdę drogę do mojego świata, w którym takie rzeczy się nie zdarzają.”

Usiłował coś powiedzieć, ale nie był w stanie.

– On umrze, czy tak? – spytała Doreen, która pojawiła się obok Jacka.

Jack milczał. Próbował zarzucić sobie Arniego na plecy, żeby go dotaszczyć do koptera.

„To tylko jeszcze jeden z tych glublastych światów – powiedział sobie Arnie, czując, że Jack podnosi go z ziemi. – Dostałem niezłą lekcję. Nie zrobię po raz drugi czegoś tak głupiego.”

Chciał wyjaśnić to wszystko Jackowi, kiedy ten niósł go do koptera.

„Dopiero co robiłeś to samo – chciał mu powiedzieć. – Zabrałeś mnie do szpitala w Lewistown, żeby wyjęli mi strzałę. Nie pamiętasz?”

– Nie ma żadnej szansy, że uda się go uratować – powiedział Jack do Doreen, kiedy ulokował Arniego we wnętrzu pojazdu.

Dyszząc z wysiłku usiadł za sterami.

„Ależ jest – pomyślał Arnie z oburzeniem. – Co z tobą? Nie próbujesz mnie ratować? Musisz, do jasnej cholery!”

Znowu usiłował coś powiedzieć i znowu mu się nie udało: nie mógł wykrztusić ani słowa.

Kopter odrywał się od ziemi, unosząc na pokładzie trójkę ludzi.

Arnie Kott zmarł w drodze do Lewistown.

Jack Bohlen przekazał stery Doreen, a sam usiadł obok zmarłego.

„Umarł w przekonaniu, że nadal błądzi w ciemnych zakamarkach umysłu Manfreda – pomyślał. – Może to lepiej dla niego. Może dzięki temu było mu łatwiej w ostatnich chwilach.”

Ku swemu zaskoczeniu uświadomił sobie, że śmierć Arniego napełniła go smutkiem.

„To niesprawiedliwe – pomyślał. – Arnie nie zasłużył na coś takiego. Zrobił wiele złego, to prawda, ale na tak surową karę nie zasłużył.”

– Co on ci powiedział? – spytała Doreen.

Zdawała się zupełnie spokojna, jakby już pogodziła się ze śmiercią Arniego. Wprawnie i trzeźwo prowadziła kopter.

– Wydawało mu się, że to, co go spotyka, nie dzieje się naprawdę – odparł Jack. – Myślał, że błąka się w wymyślanym świecie schizofrenika.

– Biedny Arnie.

– Wiesz, kim był ten człowiek, który go zastrzelił?

– Ktoś, kto miał z nim porachunki.

Oboje milczeli przez chwilę.

– Powinniśmy odnaleźć Manfreda – powiedziała Doreen.

– Tak – odparł Jack.

„Ja przecież wiem, gdzie on teraz jest – pomyślał. – Spotkał w górach dzikich Murzochidów i poszedł z nimi. To jasne jak słońce. Wcześniej czy później tak musiało się stać.”

Nie martwił się o chłopca. Możliwe, że po raz pierwszy w swoim życiu Manfred znalazł się w sytuacji, do której potrafił się przystosować. Wśród dzikich Murzochidów odnalazł inne życie, to właśnie było jego prawdziwe życie, a nie tylko blade, udręczone odzwierciedlenie; bez względu na to, jak bardzo by się starał, nigdy by się nie upodobił do tych, którzy go dotychczas otaczali, istot tak od niego różnych.

– Czy Arnie miał rację? – zapytała Doreen.

Przez chwilę Jack nie mógł pojąć, o co jej chodzi. Nagle zrozumiał, co miała na myśli, i potrząsnął głową.

– Nie – odparł.

– Więc dlaczego był tego taki pewny?

– Nie wiem. Ale to ma coś wspólnego z Manfredem. Wspomnił o tym przed śmiercią.

– Arnie był na swój sposób rozsądny – powiedziała Doreen. – Skoro więc tak myślał, musiał mieć powody.

– Był rozsądny – odparł Jack – ale zawsze wierzył w to, w co chciał wierzyć.

„I zawsze robił to, co chciał – uświadomił sobie po chwili. – W końcu sprowadził na siebie śmierć. Sam sobie napytał biedy swoim trybem życia.”

– Co z nami będzie? – spytała Doreen. – Bez niego? Trudno mi wyobrazić sobie dalsze życie bez Arniego... wiesz, co mam na myśli, prawda? Że też od razu nie domyśliliśmy się, co się

stanie, gdy wylądował tamten kopter. Gdybyśmy tylko przylecieli kilka minut wcześniej... – nie dokończyła. – Nie ma sensu o tym teraz mówić.

– Tak, to nie ma sensu – zgodził się Jack.

– Wiesz, co się z nami stanie? – powiedziała Doreen. – Rozejdziemy się każde w swoją stronę. Może nie od razu, może dopiero za kilka miesięcy albo nawet lat. Ale bez niego wcześniej czy później do tego dojdzie.

Jack milczał. Nie próbował protestować. Może dziewczyna miała rację. Był zmęczony, nie chciało mu się dociekać, jaka czeka ich przyszłość.

– Czy wciąż mnie kochasz? – spytała. – Po tym, co się stało?

Odwróciła się w stronę Jacka, żeby zobaczyć wyraz jego twarzy.

– Tak, oczywiście – odparł.

– Ja też – powiedziała cichym, ledwo słyszalnym głosem. – Ale wydaje mi się, że to za mało. Masz żonę syna, a to w dłuższej perspektywie znacznie bardziej się liczy. Tak czy owak, ja niczego nie żałuję i nigdy nie będę żałować. Nie jesteśmy odpowiedzialni za śmierć Arniego. Nie powinniśmy czuć się winni. Sam ją w końcu na siebie sprowadził tym, co zamierzał... Nigdy nie dowiemy się dokładnie, co chciał zrobić. Ja natomiast wiem, że nam chciał zaszkodzić.

Jack skinął głową. W milczeniu wracali do Lewistown. Wieźli Arniego do jego osady, gdzie był – i prawdopodobnie na zawsze by pozostał – Najwyższym Współobywatelem Związku Pracowników Wodnych w Czwartym Oddziale Planetarnym.

Manfred Steiner wspinał się ledwie widoczną ścieżką biegnącą wśród nagich skał Gór F.D.R. Nagle zatrzymał się, bo ujrzał przed sobą grupkę sześciu ciemnoskórych ludzi, którzy przypominali cienie. Nieśli pełne wody jaja paka i kołczany z zatrutymi strzałami, a każda z kobiet miała żarna. Brnęli gęsiego ścieżką i palili papierosy.

Na jego widok przystanęli.

Wychudzony, młody mężczyzna odezwał się uprzejmie:

– Deszcz, który zsyła, panie, twoja cudowna obecność, dodaje sił i ożywia.

Manfred nie zrozumiał słów, ale odczytał myśli Murzochidów, rozważne, przyjazne, bez cienia nienawiści. Chłopiec czuł, że wędrowcy nie pragną go skrzywdzić, i to było przyjemne. Zapomniał o strachu. Zaczął się przyglądać skórom, w jakie byli odziani.

„Ciekawe, z jakiego pochodzą zwierzęcia?” – zastanawiał się.

Murzochidów zaś zaintrygowała jego osoba. Zbliżali się powolutku, aż otoczyli go ciasnym kręgiem.

„W tych górach lądują straszne pojazdy – pomyślał jeden z Marsjan. – Nie mają nikogo na pokładzie. Dziwią nas i zastanawiają, bo zdają się być złą wróżbą. Chcą zmienić naszą ziemię. Czy przypadkiem nie pochodzisz z któregoś z nich?”

„Nie” – odparł Manfred w myślach i Murzochidzi go zrozumieli.

Wędrowcy wskazali środek łańcucha górskiego. Manfred skierował wzrok w tamtą stronę. W powietrzu unosiła się flota rakiet bezzałogowych, wysłana przez ONZ.

„Przybyły z Ziemi – uświadomił sobie Manfred. – Mają przygotować teren pod budowę osiedla domów spółdzielczych. Wkrótce na powierzchni czwartej planety pojawi się AM-WEB i inne potężne konstrukcje.”

Jeden ze starszych Murzochidów przekazał mu myśl:

„Z tego powodu opuszczamy góry. Nie możemy w nich dłużej pozostać, skoro to się już zaczęło. Za sprawą naszej skały od dawna wiedzieliśmy, że tak będzie. Teraz to dzieje się naprawdę.”

„Mogę pójść z wami?” – spytał w myślach Manfred.

Zaskoczeni krajowcy zbili się w gromadkę, by rozważyć jego prośbę. Nie wiedzieli, jak zareagować. Nigdy przedtem nie spotkali przybysza z Ziemi.

„Idziemy na pustynię – zakomunikował w końcu młody mężczyzna. – Nie wiadomo, czy zdołamy tam przeżyć. Możemy jedynie próbować. Jesteś pewny, że tego chcesz?”

„Tak” – pomyślał Manfred.

„A więc chodź z nami” – zdecydowali Murzochidzi.

Ruszyli w dalszą drogę. Mimo zmęczenia narzucili sobie wkrótce dość szybkie tempo. Manfred zaczął pozostawać w tyle, ale Murzochidzi zwolnili, by mógł ich dogonić. Przed Manfredem i Murzochidami rozciągała się pustynia. Nikt jednak nie żałował, że opuszcza góry – wiedzieli, że powrót w nie jest niemożliwy, że nie mogliby dostosować się do nowych warunków. „Nie będę musiał żyć w AM-WEB – ucieszył się Manfred. – Dzięki tym szarym cieniem uniknę swego losu.” Odczuwał błogość, jeszcze nigdy nie było mu tak dobrze jak teraz.

Jedna z kobiet nieśmiało poczęstowała go papierosem. Manfred przyjął go i podziękował. Szli dalej. W pewnym momencie chłopiec poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego: zachodziła w nim jakaś zmiana.

O zmierzchu, przyrządzając obiad dla siebie, Dawida i teścia, Sylwia Bohlen zobaczyła, że wzdłuż kanału idzie pieszo jakiś człowiek. „Mężczyzna – pomyślała. Przestraszona podeszła do frontowych drzwi, otworzyła je i wyjrzała na zewnątrz. – Boże, chyba nie wraca ten handlarz zdrową żywnością, ten Otto jakiśtam...”

– To ja, Sylwio – powiedział Jack Bohlen.

Z domu wyskoczył podniecony Dawid i podbiegł do ojca.

– Hej, co się stało? Nie przyleciałeś kopterem? – krzyknął chłopiec. – Przyjechałeś piaskobusem? Założę się, że tak. Kopter zepsuł się na pustyni, prawda, tato?

– Z kopterem koniec – powiedział Jack. Wyglądał na zmęczonego.

– Słyszałam wszystko w radio – odezwała się Sylwia.

– O Arniem Kotcie? – Skinał głową. – Taak, to prawda.

Wszedł do domu i zdjął płaszcz, który Sylwia powiesiła do szafy.

– To się na tobie odbija, prawda? – spytała.

– Nie mam pracy. Arnie kupił mój kontrakt. – Rozejrzył się wokół. – Gdzie jest Leo?

– Ucina sobie drzemkę. Prawie cały dzień był poza domem, załatwiał interesy. Cieszę się, że wróciłeś do domu przed jego wyjazdem. Powiedział, że jutro odlatuje na Ziemię. Wiesz, że ONZ zaczęła już przejmować tereny w Górach F.D.R.? To też mówili w radio.

– Nie wiedziałem – odparł Jack. Poszedł do kuchni i usiadł przy stole. – Jest mrożona herbata?

– Chyba nie powinnam cię pytać, ale co będzie z twoją pracą? – zagadnęła Sylwia.

Nalała mu herbaty.

– Mogę pracować w prawie każdym warsztacie. W zasadzie pan Yee mógłby przyjąć mnie z powrotem. Jestem pewny, że z oporami odsprzedał mój kontrakt.

– Więc dlaczego jesteś taki przygnębiony? – zapytała i wtedy przypomniała sobie o Arniem.

– Piaskobus wysadził mnie trzy kilometry stąd – odparł. – Jestem po prostu zmęczony.

– Nie spodziewałam się ciebie. – Była rozstrojona i przygotowywanie obiadu sprawiało jej trudność. – Mamy tylko wątróbkę, bekon, tartą marchew z masłem syntetycznym i sałatkę. Leo mówił, że zjadłby na deser jakieś ciasto. Dawid i ja mieliśmy je zrobić później na pożegnalny podwieczorek. W końcu Leo odjeżdża i możemy go już nigdy więcej nie zobaczyć.

– Fajnie, że będzie ciasto – mruknął Jack.

– Mógłbyś mi powiedzieć, o co chodzi? – wybuchła nagle Sylwia. – Nigdy jeszcze nie widziałam cię w takim stanie. Ty nie jesteś tak po prostu zmęczony: dobiła cię śmierć tego człowieka.

– Myślałem o tym, co mi powiedział Arnie przed śmiercią – odezwał się po chwili Jack. – Byłem przy nim, gdy umierał. Arnie powiedział, że nie znajduje się w rzeczywistym świecie. Znajdował się w wyobraźni schizofrenika. Ta myśl mnie prześladowa. Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, w jak wielkim stopniu nasz świat przypomina świat Manfreda, myślałem, że są całkowicie odrębne. Teraz wiem, że to raczej kwestia stopnia.

– Nie chcesz mówić o śmierci pana Kotta, prawda? W radio podawali tylko, że zginął w wypadku na dzikich obszarach Gór F.D.R.

– To nie był wypadek. Arnie został zamordowany przez człowieka, z którym miał na pieńku, na pewno źle go potraktował i uraza tamtego była uzasadniona. Oczywiście zabójca jest poszukiwany przez policję. Arnie umarł z myślą, że ginie od irracjonalnej, psychotycznej nienawiści, ale to z pewnością była nienawiść bardzo racjonalna, zupełnie pozbawiona elementów psychotycznych.

Ogarnięta poczuciem winy Sylwia pomyślała: „Taką nienawiść ty czułbyś do mnie, gdybyś wiedział, jak wstrętną rzecz dzisiaj zrobiłam.”

– Jack – zaczęła, niepewna jak to wyrazić, ale czuła, że musi zapytać. – Myślisz, że nasze małżeństwo jest skończone?

Długą chwilę mierzył ją wzrokiem.

– Dlaczego o to pytasz?

– Chcę tylko usłyszeć, że nie jest skończone.

– Nie jest – powiedział nie spuszczać z niej wzroku.

Czuła się obnażona, jak gdyby potrafił czytać w jej myślach, jakby skądś mógł wiedzieć o wszystkim, co zrobiła.

– Czy jest jakiś powód, żebyś się tego obawiała? W takim razie po co wracałbym do domu? Gdybyśmy nie byli małżeństwem, czy pojawiłbym się dzisiaj tutaj po tym, jak... – Urwał. – Mogę jeszcze dostać herbaty? -. mruknął.

– Po tym jak co? – zapytała.

– Po tym, jak umarł Arnie.

– A dokąd miałbyś pójść?

– Człowiek ma zawsze do wyboru dwa miejsca: dom i resztę świata.

– Jaka ona jest? – spytała Sylwia.

Przez długi czas milczał i już myślała, że nie odpowie na jej pytanie. W końcu odezwał się:

– Ma rude włosy. Mało brakowało i bym z nią został. Ale nie zostałem. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

– Ja też mogłam wybrać – powiedziała Sylwia.

– Nie wiedziałem – jego głos zabrzmiał matowo. – Nie przyszło mi to do głowy. – Wzruszył ramionami. – Cóż, dobrze jest zdać sobie z tego sprawę, to działa jak zimny prysznic. Nie wymyśliłaś tego, prawda? Są realne powody?

– Właśnie tak – powiedziała Sylwia.

Do kuchni wpadł Dawid.

– Dziadek Leo się obudził! – krzyknął. – Powiedziałem mu, że jesteś w domu, tato. On się bardzo ucieszył i chce się dowiedzieć, jak ci idzie.

– Jak diabli – mruknął Jack.

– Chciałabym, żeby między nami było jak dawniej – powiedziała Sylwia. – Jeśli i tobie na tym zależy.

– Jasne. Przecież wróciłem. – Uśmiechnął się do niej tak smutno, że prawie pękło jej serce. – Przebyłem daleką drogę: najpierw tym paskudnym, cholernym piaskobusem, którego nie znoszę, a potem na piechotę.

– Nie będziemy już więcej układać sobie życia na nowo, dobrze, Jack? Niech już zostanie

jak jest.

– Nigdy więcej – powiedział z naciskiem.

Podeszła do stołu, pochyliła się i pocałowała go w czoło.

– Dziękuję – złapał ją za nadgarstek – wszystko wróci do normy.

Widziała, jak bardzo jest zmęczony.

– Musisz zjeść porządny obiad – powiedziała. – Jeszcze nigdy nie byłeś taki... złamany. – Wtedy przyszło jej do głowy, że może przeżył nawrót swojej choroby psychicznej, schizofrenii. To wiele by tłumaczyło. Nie chciała jednak nalegać, by o tym mówił, i zaproponowała: – Pójdziemy dzisiaj wcześniej spać, dobrze?

Leciutko skinął głową. Sączył mrożoną herbatę.

– Cieszysz się? – spytała. – Że wróciłeś? – „Czy już zmieniłeś zdanie?” – dodała w duchu.

– Cieszę się – odparł stanowczo. Najwyraźniej mówił prawdę.

– Zajrzyj do dziadka Leo, zanim on... – zaczęła.

Nagle rozległ się krzyk. Sylwia drgnęła i spojrzała na Jacka. Zerwał się gwałtownie.

– To w domu obok. U Steinerów – rzucił.

Wybiegli z domu.

W drzwiach domu Steinerów natknęli się na jedną z ich córek.

– Mój brat...

Odsunęli dziecko i wbiegli do środka. Sylwia nic nie rozumiała z tego, co zobaczyła, ale Jack zdawał się pojmować; złapał ją za rękę i dał znak, aby nie szła dalej.

W salonie pełno było Murzochidów. Wśród nich ujrzała coś, co po części – od klatki piersiowej w górę – było żywym stworzeniem, starym mężczyzną, resztę stanowiła płatanina pomp, węży i rurek. Maszynaria terkotała nieustannie.

„Utrzymuje go przy życiu – domyśliła się Sylwia. – Zastępuje brakujące części ciała. O, mój Boże!”

Kim lub czym była istota, która siedziała w salonie z uśmiechem na wysuszonej twarzy?

– Jacku Bohlen – odezwała się chrapliwym głosem, który dobiegał z głośników, z wnętrza maszyny, a nie z ust mówiącego. – Przyszedłem pożegnać się z matką.

Sylwia słyszała, że mechanizm przyspiesza, jakby ciężko pracował.

– Teraz mogę ci podziękować – rzekł po chwili starzec.

Jack stał obok Sylwii i trzymał ją za rękę.

– Za co? Nic dla ciebie nie zrobiłem – powiedział.

– Myślę, że zrobiłeś, i to wiele.

Starzec skinął na Murzochidów, którzy przesunęli go wraz z mechanizmem bliżej Jacka i unieśli. Znalazł się twarzą w twarz z rozmówcą.

– Moim zdaniem... – zamilkł na chwilę, po czym odezwał się znowu, tym razem głośniejszym głosem. –

Wiele lat temu próbowałeś się ze mną porozumieć. Doceniam to.

– Ależ nie wiele lat temu – odparł Jack. – Przecież to się stało dzisiaj. Już zapomniałeś? Próbowałem ci pomóc w twojej odległej przeszłości, gdy byłeś chłopcem. A teraz do nas wróciłeś.

– Kto to jest? – zapytała męża Sylwia.

– Manfred.

Zakryła oczy dłońmi – nie mogła dłużej patrzeć.

– Wydostałeś się z AM-WEB? – zapytał Jack.

– Jasssne – zasyczała istota z radosnym drżeniem w głosie. – Jestem z przyjaciółmi. – Wskazała na otaczających ją Murzochidów.

– Jack – powiedziała Sylwia – zabierz mnie stąd, proszę. Już nie mogę.

Przytuliła się do niego i wyprowadził ją z domu Steinerów w ciemność wieczoru.

Leo i Dawid wyszli im na spotkanie. Byli wstrząśnięci i przerażeni.

– Co się stało, synu? Dlaczego ta kobieta krzyczała? – odezwał się Leo.

– Już po wszystkim. Nic się nie stało – powiedział Jack i zwrócił się do Sylwii: – Na pewno wybiegła z domu. Z początku nie rozumiała, co się stało.

– Ja też nic nie rozumiem i nie chcę rozumieć – powiedziała Sylwia drżącym głosem. – Nie próbuj mi tego wyjaśniać.

Podeszła do kuchenki, wyłączyła palniki i zajrzała do garnków, żeby sprawdzić, czy coś się nie przypaliło.

– Nie przejmuj się – powiedział Jack, klepiąc ją po ramieniu.

Próbowała się uśmiechnąć.

– Nic takiego się już pewnie nie zdarzy – powiedział Jack. – A jeśli nawet...

– Dziękuję – odparła. – W pierwszej chwili, gdy zobaczyłam Manfreda, pomyślałam, że to jego ojciec, Norbert Steiner. To mnie tak przeraziło.

– Weźmiemy latarki i poszukamy Erny Steiner – powiedział Jack. – Musimy się upewnić, że nic się jej nie stało.

– Tak. Idź z Leo, a ja skończę przygotowywać obiad. Muszę tego dopilnować, bo inaczej wszystko się spali.

Mężczyźni wyszli z domu. Dawid został z Sylwią i pomagał jej nakrywać do stołu.

„Co z tobą będzie? – zastanawiała się patrząc na syna. – Gdy będziesz tak stary jak on, z narządami zastąpionymi przez maszynę... Czy będziesz taki sam? Dobrze, że nie umiemy czytać w przyszłości. Bogu dzięki, że nie umiemy.”

– Żałuję, że nie poszedłem z nimi – żalił się Dawid. – Dlaczego nie możesz mi powiedzieć, czemu pani Steiner tak krzyczała?

– Może kiedyś ci powiem – odparła Sylwia. „Ale nie teraz. Jeszcze za wcześnie dla każdego

z nas.”

Obiad był już gotowy, więc odruchowo wyszła na ganek zawołać Jacka i Leo, chociaż wiedziała, że nie przyjdą: byli przecież naprawdę zajęci. Mimo to zawołała ich, tak jak robiła to zawsze.

Pośród ciemności marsjańskiej nocy jej mąż i teść szukali Erny Steiner. Latarki błyskały to tu, to tam, słychać było głosy obu mężczyzn, rzeczowe i spokojne.